Juliusz Verne

# PIĘTNASTOLETNI KAPITAN

Juliusz Verne

# PIĘTNASTOLETNI KAPITAN

Konwersja:

NEXTO PL

# CZĘŚĆ PIERWSZA

# ROZDZIAŁ I

## Na pokładzie ”Pilgrima”

W pierwszych dniach lutego 1873 r. dwumasztowy statek ”Pilgrim” znajdował się pod 43 °57' szerokości południowej i 165 °19'długości wschodniej, według południka Greenwich.

Był to bryg specjalnie przystosowany do połowu wielorybów; zbudowany był w San Francisco i należał do Jakuba Weldona, który sprzedał go przed dziesięcioma laty kapitanowi Hullowi. Aczkolwiek bryg ten był najmniejszym z całej floty tego bogatego właściciela statków, był jednak zaliczany do najlepszych.

”Pilgrim” był godny swego kapitana, zaś ten ostatni cieszył się od dawna utrwaloną już sławą wytrawnego marynarza i niezrównanego łowcy wielorybów. Ze względu na małe rozmiary statku, jego załoga była bardzo nieliczna, gdyż składała się zaledwie z pięciu majtków. Ilość ta była niewystarczająca do łowów, lecz pan Weldon, idąc za przykładem wielu amerykańskich właścicieli statków wielorybniczych, wolał kompletować załogę po przybyciu statku do Nowej Zelandii, gdzie ludzi szukających pracy jest zawsze aż nadto.

Aczkolwiek polowania miały zazwyczaj przebieg - dla ”Pilgrima ”- nader pomyślny, ostatnia ekspedycja była dziwnie nieudana. Nie poszczęściło się absolutnie. Wielorybów nie spotkano zupełnie i trzeba było polegać na kaszalotach, na które polowanie nie należy do najbezpieczniejszych. Lecz i tych upolować zdołano małą liczbę, tak iż tylko niewielką ilość beczek zdołano wypełnić tranem. Wobec takiego niepowodzenia, kapitan Hull miał zamiar skierować swój statek jeszcze bardziej na południe, ku biegunowi, lecz projektu tego

nie mógł zrealizować, ponieważ zebrana dorywczo załoga zaczęła nagle wyrażać swe niezadowolenie.

Wobec tego, kapitan Hull uznał za wskazane pozbyć się jak najprędzej wszystkich przygodnie najętych majtków, którzy mogli się okazać nader niebezpiecznymi dla całego statku. Ostrożny kapitan, tłumiąc gniew, od razu zmienił kierunek i skierował bryg ku Nowej Zelandii.

W połowie stycznia zbliżył się on ku brzegom Auckland , a następnie zarzucił kotwicę w Waitemata , gdzie pozbył się całej zbuntowanej załogi.

Na statku pozostali wtedy amerykańscy majtkowie, którzy byli, rzecz zrozumiała, krańcowo przygnębieni niepomyślnym wynikiem wyprawy, jak również przedwczesnym jej zakończeniem.

Jeszcze bardziej był zmartwiony kapitan Hull, który zły wynik uważał wprost za hańbę dla siebie. Starał się więc usilnie o zebranie nowej załogi, lecz zabiegi te nie zostały uwieńczone powodzeniem, ze względu na to, iż było już zbyt późno na zawieranie podobnych kontraktów. Z konieczności więc należało pogodzić się z losem i uważać wyprawę za zakończoną. Przeklinając w duszy zbuntowaną załogę, kapitan miał już porzucić Auckland, gdy inne okoliczności zmusiły go do dalszego przebywania w porcie, a w dodatku sprawiły, iż ”Pilgrim”, zamiast beczek z tranem, dostał najniespodziewaniej na swój pokład pasażerów, choć pasażerskim statkiem nigdy nie był.

Niezwykłym zbiegiem okoliczności zdarzyło się mianowicie, iż w Auckland znajdowała się pani Weldon ze swym pięcioletnim synkiem, Jankiem. Przybyła ona tam wraz ze swym mężem i miała z nim razem powrócić również do San Francisco , czemu jednak stanęła na przeszkodzie nagła choroba małego Janka. Pan Weldon musiał wracać, gdyż jego rozliczne interesy domagały się tego i z tej przyczyny pani Weldon pozostała w Auckland sama.

Trzy długie miesiące przeżyła pani Weldon z mężem w rozłące. Ukochany jej synek wrócił jednak w tym czasie

całkowicie do zdrowia i mógł już śmiało udać się w podróż, na nieszczęście jednak ani jeden statek nie płynął do Kalifornii i pani Weldon skazana być mogła na długie miesiące oczekiwania.

W odległych czasach Nowa Zelandia nie miała jeszcze bezpośredniego połączenia z Kalifornią i chcąc się tam dostać, należało przedtem jechać do Australii, do Melbourne, stamtąd do brzegów Panamy i tam dopiero oczekiwać na rejs do San Francisco. Taki sposób podróżowania, z licznymi przesiadkami jest niewygodny i uciążliwy dla każdego, a cóż dopiero dla młodej kobiety, obarczonej małym dzieckiem!

Toteż pani Weldon szczerze się ucieszyła, gdy posłyszała o przybyciu do portu ”Pilgrima”, i niezwłocznie zwróciła się do kapitana Hulla z prośbą, by ten zechciał przyjąć na pokład ją wraz z synkiem, a także i towarzyszącego jej kuzyna Benedykta, oraz wierną niańkę chłopczyka, Murzynkę Noon, która całe swe życie spędziła w domu Jakuba Weldona. Perspektywa odbycia długiej podróży na małym statku, o wyporności 400 ton, bynajmniej nie przerażała pani Weldon, zwłaszcza iż znała ona kapitana Hulla jako doskonałego marynarza i miała do niego olbrzymie zaufanie.

Kapitan Hull propozycję pani Weldon przyjął z radością i natychmiast oddał do jej dyspozycji swą kajutę kapitańską, ażeby mogła odbyć podróż w warunkach możliwie najdogodniejszych, co było tym konieczniejsze, iż rejs miał trwać 30 do 40 dni.

Faktem, w pewnej mierze niekorzystnym dla pani Weldon, była ta okoliczność jedynie, iż ”Pilgrim” musiał bezwarunkowo parę dni zatrzymać się w Valparaiso w Chile, gdzie miał wyładować część swych wypełnionych tranem beczek. Ale z tym trzeba się było pogodzić. Poza tym pani Weldon była młoda, silna i zdrowa - nie obawiała się więc trudów podróży.

Co do kuzyna Benedykta, ten bez jednego słowa sprzeciwu zgodził się na wszystko, zdając się całkowicie na wolę swej kuzynki. Kuzyn Benedykt był w ogóle typem człowieka, który zgadzał się zawsze i na wszystko, nie dlatego, by był tak zgodny,

lecz że wszystko było mu najzupełniej obojętne. Był on człowiekiem najzacniejszym, lat około pięćdziesięciu, lecz tak niezaradnym, iż wprost nie sposób było pozostawić go bez opieki. Było to życiowe dziecko. Pani Weldon traktowała go, jakby był jej drugim synkiem, starszym, ale o wiele mniej aniżeli jej Janek rozgarniętym. Nie szczupły, ale wprost chudy; twarz miał również wydłużoną, kościstą, włosy długie i gęste; charakterystyczną cechą tej oryginalnej postaci były bardzo długie ręce i nogi.

Natrętnym nie był, przykrym również; zanudzał jednak wszystkich, a nawet i siebie. Dodatnim rysem jego charakteru było to jednak, iż był bardzo zgodny i łatwy w pożyciu. Zaliczyć go było można raczej do świata roślin, aniżeli do istot, żyjących indywidualnym swym życiem. Był jak drzewo, wysoko strzelające ku niebu, nie dające ni cienia, ni owoców. Dobry, szlachetny, prawy... jego pragnieniem było być użytecznym, lecz nie leżało to w jego możliwościach. Każda chęć zrobienia komuś przysługi kończyła się dla kuzyna Benedykta jakąś komiczną katastrofą.

Mimo to poczciwy niedołęga cieszył się ogólną sympatią, był lubiany za swe złote serce, wypełnione zresztą po brzegi jedną jedyną namiętnością: miłością nauki.

Jego pasją była entomologia, tj. nauka o owadach. Jej poświęcał wszystkie dni, a często i nieprzespane noce.

By wzbogacić swe zbiory, kuzyn Benedykt udał się z państwem Weldon w daleką podróż do Nowej Zelandii. Gdy zaś pani Weldon zdecydowała się powrócić do San Francisco na pokładzie ”Pilgrima”, kuzyn Benedykt zgodził się bez żadnego namysłu na to, iż jej będzie towarzyszyć również i w powrotnej drodze.

Nie upłynęły trzy dni, a pani Weldon wraz z synkiem, kuzynem Benedyktem i z Noon znalazła się na pokładzie ”Pilgrima”. Gdy to się już stało, kapitan Hull chciał od razu dać rozkaz podniesienia kotwicy, lecz powstrzymał się, a następnie zbliżył się do pani Weldon ze słowami:

- Szanowna pani zechce po powrocie zakomunikować swemu małżonkowi, iż na własną odpowiedzialność wsiadła na pokład ”Pilgrima”.

- Cóż to ma znaczyć, drogi kapitanie? - ze zdziwieniem zapytała pani Weldon. - Czyżby pan przypuszczał, że mi grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- Nie, pani, tego nie musi się pani obawiać - kategorycznym tonem odpowiedział kapitan, ale widać było, iż zapytanie pani Weldon trochę go dotknęło. - ”Pilgrim” jest brygiem doskonałym, któremu śmiało można zaufać; jednak wszystko jest w ręku Boga i nigdy ręczyć nie można za to, co się stanie. Nie będzie pani również miała tutaj należnych jej wygód.

- Ależ jeżeli tylko o to chodzi, to nie ma o czym mówić, kapitanie! - zawołała z wesołym śmiechem młoda kobieta. - Możemy śmiało ruszać w drogę.

Wobec tego ”Pilgrim”, dnia 22 stycznia podniósł kotwicę, a 2 lutego znajdował się już na niezmierzonym oceanie, w punkcie, który wskazaliśmy na początku tego rozdziału.

# ROZDZIAŁ II

## Dick Sand i historia jego życia

Początek podróży był bardziej niż pomyślny. Bez względu na małe wymiary statku i brak wygodnych kajut pasażerskich, pani Weldon zdołała się ulokować wygodnie w dość prymitywnie urządzonym pomieszczeniu kapitana. Na szczęście kajuta była dosyć obszerna, więc w dzień zmieniała się ona w salon jadalny, w którym zasiadali do stołu: pani Weldon, Janek, kuzyn Benedykt i kapitan.

Ci dwaj ostatni znaleźli schronienie: pierwszy w kajucie pomocnika kapitana, zaś drugi - w obszernym pomieszczeniu, które normalnie było przeznaczone dla załogi przygodnie werbowanej.

Stali majtkowie ”Pilgrima” mieli swą oddzielną kajutę, którą od pięciu lat wspólnie zajmowali. Byli to ludzie doskonale znający morze i bardzo do swego kapitana przywiązani.

Wszyscy oni byli zadowoleni ze swej służby, ponieważ pan Weldon nagradzał szczodrze ich pracę.

Jednym jedynym człowiekiem zupełnie obcym na pokładzie ”Pilgrima ”był kucharz, Negoro, przyjęty do służby w Auckland na miejsce dawniejszego, Niemca, który zbuntował się wraz z resztą załogi.

Portugalczyk Negoro zaofiarował swe usługi i został przyjęty. Okazało się, iż był to człowiek dobrze znający swą pracę i obowiązkowy. Z morzem był on również, jak się zdawało, nieźle zaznajomiony. Choć nowo przyjęty kucharz wypełniał wzorowo swe obowiązki, był cichy, zgodny i gotował bardzo smacznie, kapitan nie był zadowolony z siebie, iż go przyjął na pokład, a to z tej przyczyny, iż nic nie wiedział o jego przeszłości. Nikt mu Negora nie polecił, bo nikt go nie znał. Uporczywe milczenie tego czterdziestoletniego, bladego i ponurego Portugalczyka,

jego stalowe, zimne, o złym wyrazie oczy, wreszcie urągliwy uśmiech na jego wąskich wargach również nie bardzo przypadały kapitanowi do gustu.

Czy Negoro posiadał jakieś wykształcenie? ... Czym się dawniej zajmował? Gdzie się urodził i wychował? ... Wszystkie te pytania pozostawały bez odpowiedzi. Kapitan wiedział tylko to, iż Negoro pragnął opuścić statek w Valparaiso. Czy miał tam rodzinę, do której zmierzał? ... Czy też stamtąd chciał się udać gdzieś dalej? - było to absolutnie niewiadome. Sternik Howick był zdania, że kucharz" posiada wychowanie, jakiego i oficer by się nie powstydził", ale były to subiektywne jedynie wrażenia, na niczym nie oparte. Prawda, iż wyrażał się on nieco wytworniej, aniżeli ogół majtków, ale to jeszcze nie dowodziło niczego. Twierdzić cokolwiek o nim stanowczo - było nie sposób. Był tajemniczy - oto wszystko. Robił wrażenie tajemniczego z tej może przyczyny jedynie, iż trzymał się w odosobnieniu, z dala od wszystkich. A tacy ludzie nie są lubiani.

Pomocnikiem kapitana na "Pilgrimie", wobec braku starszego oficer a, był tak zwany "ochotnik", młodzieniec, który dopiero się kształcił w szkole marynarzy, lecz który na statku pełnił obowiązki zwykłego majtka, nie z potrzeby, lecz by tym sposobem zdobyć wiedzę praktyczną. Dick Sand, tak się nazywał ów młodzieniec, urodzony był w Ameryce Północnej, w okolicach Nowego Jorku. Nie było to pewne, ponieważ biedny chłopiec był podrzutkiem, którego dobrzy ludzie znaleźli na ulicach tego wielkiego miasta; imię Dick - Richard otrzymał, ponieważ takie właśnie imię nosił człowiek, który go znalazł na ulicy, zaś nazwisko Sand - z racji mielizny, na której został znaleziony, a która nosi miano "Sandy Hook". Pierwsze wychowanie maleńki Dick otrzymał w ochronce, przy czym bardzo szybko pojął swe smutne położenie i ocenił, iż ochronka, choć starannie prowadzona, nic mu nie da, bo nic mu dać nie jest w stanie.

Toteż mając osiem lat zaledwie, uprosił swoich przełożonych, aby ci zechcieli go oddać na jakiś statek. Jego prośba została wysłuchana i Dick znalazł się wkrótce na pasażerskim statku,

kursującym regularnie pomiędzy portami Południowej i Północnej Ameryki.

Na statku tym nie tylko pasażerowie, ale i oficerowie zajęli się bardzo życzliwie bezdomnym sierotą i zaczęli go kształcić tak, iż Dick po trzyletniej na tym pasażerskim statku służbie, zdał egzamin do wyższej szkoły marynarskiej, do której został następnie przyjęty dzięki protekcji kapitana Hulla. Zacny ten człowiek opowiedział dzieje chłopca swemu chlebodawcy, panu Weldonowi i sprawił, iż bogaty właściciel okrętów zajął się losem Dicka, co spowodowało, że i profesorowie w szkole zajęli się gorliwie jego nauką i w rezultacie pojętny, pilny i pracowity chłopiec w piętnastym roku życia posiadał już wiedzę bardzo rozległą.

Ponadto Dick był zbudowany jak atleta: był silny, gibki i zręczny. Oczy miał niebieskie, włosy ciemne. Zawód marynarski wyrobił w nim energię, bystrość, szybką orientację i przedsiębiorczość. Nadmierna umysłowa praca wyczerpała jednak nieco organizm młodego chłopca, więc sam kapitan Hull poradził mu, ażeby przyjął on na krótko obowiązki praktykanta na ”Pilgrimie ”, co będzie z dużą korzyścią dla jego wiedzy praktycznej. Dick zgodził się na to z ochotą i tak znalazł się na pokładzie statku.

Pani Weldon znała Dicka jeszcze z San Francisco, toteż na jego widok bardzo się ucieszyła.

Jeszcze bardziej był uradowany widokiem swego przyjaciela mały Janek, dla którego Dick był zawsze bardzo dobry.

Podróż odbywała się, jak dotąd, w warunkach dość sprzyjających, chociaż kapitan uskarżał się nieco na wiatr nie najpomyślniejszy, który mógłby, dmąc dłużej w tym samym zachodnim kierunku, przedłużyć znacznie podróż.

Monotonię jazdy ożywił, dnia 16 lutego, około godziny dziewiątej rano, wypadek nie tak znów często zdarzający się na oceanie.

Pogoda w tym dniu była jasna, słoneczna i cicha. Korzystając z niej, Dick i Janek wesoło zabawiali się na pokładzie, a następnie wdrapali się po maszcie aż do bocianiego gniazda.

Gdy się tam znaleźli, na twarzy Dicka zamarł nagle niefrasobliwy śmiech, chwilę patrzył on uważnie na jakiś oddalony punkt, a następnie zawołał głośno:

- Rozbity statek!

# ROZDZIAŁ III

## Rozbity statek

Krzyk ten zwabił wszystkich na pokład. Nie mówiąc o kapitanie, pani Weldon i Noon, nawet kuzyn Benedykt oderwał się od swych zbiorów i zaciekawiony wychylił głowę zza drzwi swej wiecznie zamkniętej kajuty. Jeden tylko Negoro pozostał głuchy, jak zwykle, najzupełniej obojętny nawet na ten wypadek. Cóż go obchodzić mógł cudzy rozbity statek?

Wszyscy wpatrywali się z uwagą w daleki, ciemny punkt na morzu, znajdujący się od nich w odległości trzech mil.

- Nie ma wątpliwości, że jest to wrak! - powiedział kapitan.

- Ach, Boże! - zawołała wtedy pani Weldon - Kapitanie, śpieszmy tam! ... Przecież na tych szczątkach znajdować się mogą ludzie oczekujący pomocy!

- Przekonamy się o tym - odpowiedział spokojnie Hull, który, zwracając się następnie do sternika, zakomenderował:

- Howicku, skieruj statek ku rozbitym szczątkom.

W bardzo krótkim czasie ”Pilgrim” znalazł się w odległości pół mili od wraku. Wtedy wszyscy z całą dokładnością zobaczyli, iż statek, leżący na lewym boku, był ciężko uszkodzony i fale zalewały jego część znajdującą się już w wodzie.

- Tutaj miało miejsce zderzenie dwóch statków - powiedział z bólem w głosie kapitan Hull, pokazując pani Weldon dużą szczelinę widniejącą w prawej burcie okrętu - gdyby otwór ten znajdował się pod wodą, statek zatonąłby już dawno; na szczęście stało się inaczej.

- No, w takim razie chwała Bogu, że przynajmniej na tym nieszczęsnym statku nie ma rozbitków - rzekła z westchnieniem ulgi pani Weldon - bo przecież statek, który był winowajcą

zderzenia, musiał wziąć niewątpliwie całą załogę statku poszkodowanego na swój pokład.

- Tak przynajmniej statek ten powinien zrobić - odpowiedział kapitan - mogło się stać i inaczej, mianowicie tak, że załoga tonącego statku zmuszona została do szukania ratunku na swych własnych szalupach. Bardzo często się bowiem zdarza, iż statki, które wyszły cało z wypadku, ratują się ucieczką, ażeby uniknąć odpowiedzialności.

Pani Weldon podniosła wtedy na mówiącego swe piękne, pełne zdumienia oczy.

- Czyżby mogli się znaleźć ludzie - zawołała - do tego stopnia podli, by pozostawić bez ratunku tonących, świadomi tego, iż są winni nieszczęściu? Czyżby mógł się znaleźć kapitan do tego stopnia nieludzki?

- Niestety, podobnego rodzaju nikczemnicy trafiają się dość często pomiędzy żeglarzami wszystkich narodowości, zaś najczęściej - pomiędzy Anglikami. Chęć uniknięcia odpowiedzialności, a zwłaszcza obawa, iż w razie stwierdzenia winy trzeba płacić odszkodowanie za uczynione straty, sprawia, iż winowajcy, nie troszcząc się o załogę skazaną przez nich na zagładę, szybką ucieczką starają się zatrzeć swój ślad. I w tym wypadku tak właśnie się niewątpliwie stało, zaś moje mniemanie opieram na fakcie, że nie widzę przy burcie tonącego statku ani jednej łodzi ratunkowej. Gdyby załoga była przyjęta na pokład tamtego statku, szalupy by pozostały.

- Może jednak zostały one porwane falami - nieśmiało odważył się wtrącić swe zdanie młody Dick.

- Byłyby wtedy resztki sznurów, a tych nie widzę tutaj - odpowiedział kapitan. - Wynika stąd, iż były opuszczane na wodę przez samą załogę.

- A więc należy jedynie prosić Boga, ażeby nieszczęśliwym pozwolił cało dotrzeć do brzegów - żałosnym głosem powiedziała pani Weldon.

- Niestety! ... Stać by się to mogło cudem jedynie. Najbliższy ląd jest tak daleko, iż nadzieja ocalenia równa się zeru.

- Mamo, mamo! - wmieszał się nieoczekiwanie do rozmowy mały Janek. - Mnie się zdaje, iż z tamtego statku dochodzi do nas jakiś głos. Może więc tam ktoś został?

Te słowa chłopca zastanowiły wszystkich. Zaczęli się uważnie przysłuchiwać.

- Mam wrażenie - powiedział Dick - jakbym słyszał szczekanie psa.

- Tak jest - zawołał radośnie Janek - to piesek szczeka! My go uratujemy, prawda, mamusiu? ...

- Poproś o to kapitana, dziecino moja! On jest tutaj panem - odpowiedziała ciepłym głosem pani Weldon. - Jestem jednak przekonana, że wysłucha on twej prośby.

- Uczynię to bez najmniejszego sprzeciwu, proszę pani. Grzechem by było pozostawiać na pastwę głodowej, powolnej śmierci nieszczęśliwe stworzenie.

Po wypowiedzeniu tych słów zacny kapitan zwrócił się z rozkazem do sternika:

- Hallo! ... zatrzymać statek i spuścić na wodę szalupę. Dicku - mówił dalej kapitan, zwracając się do praktykanta - popłyniesz ze mną, aby obejrzeć szczątki i przyprowadzić na statek tego nieszczęśliwego psiaka.

- Słucham! - odpowiedział młody chłopiec, przywykły do ślepego posłuszeństwa.

Nie upłynęło pięć minut, gdy mała łódka kapitańska płynęła ku resztkom rozbitego statku, popychana dwoma parami wioseł, znajdujących się w żylastych rękach dwóch marynarzy. Młody Dick zajął miejsce przy sterze i skierował łódkę ku rufie, gdzie jak się wydawało, najłatwiej było można wydostać się na pokład.

W miarę zbliżania się statku, szczekanie słychać było coraz wyraźniej, aż na koniec wielki pies ukazał się na pokładzie, utrzymując się z trudem na pochyłości.

- Dicku! ... stop! - zakomenderował kapitan. Pies, na widok zbliżających się, zaczął ujadać gwałtownie, a następnie wyć żałośnie i podbiegać do drzwi prowadzących do wnętrza statku.

- Czyżby się tam ktoś znajdował? - krzyknął kapitan.

- Uważaj, piesku, uważaj, bo spadniesz - wołał tymczasem z oddali mały Janek, przesyłając psu pocałunki.

Pies na ten głos ucichł nagle, wyciągnął mordę i zaczął węszyć.

W tej samej chwili ze swego kuchennego państwa wyszedł na pokład Negoro i w milczeniu, jak zazwyczaj, zbliżył się ku przodowi statku.

Zaledwie Negoro zaczął się zbliżać ku rozbitemu statkowi, idąc po pokładzie ”Pilgrima”, zachowanie psa zmieniło się zasadniczo. Ze wściekłym ujadaniem zaczął się rwać ku ”Pilgrimowi” i była taka chwila, iż chciał się już rzucić do wody.

Brwi Portugalczyka na widok psa zmarszczyły się, a twarz, zawsze blada, nabrała ziemistych odcieni. Negoro niczym nie ujawnił swego wzburzenia i, równie spokojnie jak przyszedł, wrócił do swej kuchni, jakby nie znajdując nic ciekawego w widoku tonącego statku.

- Co się temu psu nagle stało, wściekł się, czy co? - zapytał kapitan Hull ze zdziwieniem.

Lecz wraz z odejściem Negora i pies uspokoił się momentalnie.

- Biedak, najwidoczniej ginie z głodu - zrobił uwagę kapitan - i to go chwilami doprowadza do szału.

Łódź tymczasem przybiła już do burty tonącego statku, wynurzającego się z wody i wtedy Dick przeczytał nazwę okrętu: ”Waldeck”. Nic ponadto. Z budowy pudła i z różnych szczegółów, które ujść nie mogły fachowemu oku, kapitan Hull wywnioskował, iż ”Waldeck” był zbudowany w Ameryce, czego dowodziła zresztą sama nazwa. Statek miał około 500 ton nośności.

Poza psem na statku nie było najmniejszego śladu żywej istoty. Stan pokładu okrętowego, z którego fale zmiotły już wszystko, ujawniał, iż katastrofa wydarzyła się dość dawno.

- Jeżeli na statku tym pozostali nawet ludzie, to od dawna musieli już poumierać z głodu i pragnienia - odezwał się smutnym głosem sternik - i jestem zdumiony, że ten pies żyje

jeszcze, wypadek bowiem zdarzył się co najmniej dwa tygodnie temu.

- Masz całkowitą rację, Howicku - przyznał kapitan - jednak obowiązkiem naszym, gdy już tu jesteśmy, jest zbadać wnętrze statku, zwłaszcza iż zachowywanie się tego psa daje do myślenia. Być może, iż znajdziemy jeszcze pod pokładem nieszczęśliwych, czekających na ratunek.

- Znajdziemy co najwyżej parę trupów - pochmurnie odpowiedział stary sternik.

- Mylisz się, Howicku - pełnym wiary głosem odezwał się Dick. - Inne byłoby zachowanie tego psa, gdyby w kajutach nie było nikogo żyjącego.

Pies, jakby zrozumiał te słowa, z głośnym skowytem podskoczył ku drzwiom prowadzącym do kajut, a następnie jednym skokiem rzucił się do wody i zaczął płynąć ku łódce, na którą wydostały go bez większego trudu silne ręce majtków i Dicka. Gdy pies znalazł się już w łodzi, natychmiast podbiegł do beczułki ze słodką wodą i zaczął pić.

- Otóż to - zawołał sternik - czyż nie mówiłem? ... biedak zdychał z pragnienia. No, teraz możemy już śmiało wracać do ”Pilgrima”.

Mówiąc to, uderzył wiosłami, które oddaliły natychmiast łódkę od rozbitego pudła.

Lecz pies spostrzegł to natychmiast, bez najmniejszego ociągania się przestał gasić pragnienie i zaczął wyć żałośnie, zwracając mordę ku okrętowym szczątkom. Jego postać i wycie były tak wymowne, że zrozumieć je musiał każdy. Nie mogło już być najmniejszej wątpliwości, iż na statku ktoś się znajdował, najprawdopodobniej właściciel psa. Lecz z jakich przyczyn nie dawał on znaku życia? Jeżeli żyje, to słyszeć musiał przecież głosy nawołujących majtków... Dlaczego więc nie odpowiada? ...

Nie można było wahać się dłużej. Łódka ponownie przybliżyła się do pudła, a gdy to się stało, pies momentalnie wydostał się na pokład i stanął przy drzwiach kajuty, przymilającym skomleniem przywołując przybyłych.

Dick i kapitan podążyli za nim i wydostali się na pokład, po którym, czołgając się z wielkim trudem, dotarli do przejścia między masztami i weszli pod pokład. Gdy się tam znaleźli, ujrzeli pięć ciał, które leżały bez ruchu na podłodze, zdawało się, że martwe. Byli to Murzyni.

- Spóźniliśmy się! - smutnie powiedział kapitan, zdejmując czapkę z głowy. - Niech ich Bóg przyjmie do Chwały Swojej.

Lecz pies najwidoczniej nie podzielał tego zdania, gdyż z głośnymi skowytami rzucał się na nieruchome ciała, liżąc ręce i twarze.

- Możliwe, iż w biedakach tych tli się jeszcze życie, że znajdują się oni w silnym omdleniu, wywołanym wycieńczeniem organizmu - odezwał się Dick. - W każdym razie nie możemy ich tak pozostawić, bez próby przyprowadzenia ich do przytomności.

Aby to zrobić, wszyscy zostali przewiezieni szalupami na pokład ”Pilgrima”, gdzie po licznych zabiegach zaczęli powracać do życia.

Wtedy kapitan zawołał Negora, ażeby ten dał bulionu i rumu dla uratowanych.

Kapitan nie zdążył wymówić słowa ”Negoro ”, gdy pies, który do tej chwili tulił się do uratowanych, skomląc cicho, stanął wyprostowany i zaczął pokazywać groźne kły.

- Negoro! - zawołał kapitan ponownie. - Ogłuchłeś, czy co? Portugalczyk ukazał się na koniec na pokładzie, lecz wtedy pies jednym skokiem rzucił się na niego, chcąc go pochwycić za gardło.

Na szczęście inni majtkowie powstrzymali rozjuszone zwierzę.

- Co to ma znaczyć? - zapytał zdziwionym głosem kapitan Hull - Dlaczego pies ten, taki łagodny dla wszystkich, tobie jednemu pokazuje zęby, Negoro? Czy go znałeś? A może wyrządziłeś mu jakąś krzywdę?

- Ja? Pierwszy raz w życiu widzę tą bestię - spokojnie odpowiedział Negoro - psisko oszalało z głodu i ma coś przeciw mnie.

- Dziwna sprawa - szepnął do siebie Dick - i myślę, że pies ten mógłby nam opowiedzieć wiele o przeszłości tego człowieka, którego nie znamy zupełnie.

# ROZDZIAŁ IV

## Ocaleni pasażerowie "Waldecka"

Choć stanowiło to hańbę cywilizacji, do samego niemal końca XIX wieku handel niewolnikami na wielką skalę kwitł nieprzerwanie w pewnych okolicach Afryki. Bez względu na międzynarodowe konwencje, jak również staranny nadzór licznych krążących po morzach okrętów wojennych wszystkich państw Europy, statki pełne niewolników odbijały od brzegów Angoli i Mozambiku , aby dowozić "heban"czyli czarnych niewolników do różnych punktów odbiorczych, pomiędzy którymi, co ze wstydem przyznać trzeba, były i zakątki świata cywilizowanego.

Wszystko to wiedział kapitan Hull, toteż pierwszą jego myślą było, iż "Waldeck" należał do tego samego typu statków i że uratowani Murzyni byli niewolnikami wiezionymi na sprzedaż.

Tak czy inaczej, ocaleni niewolnicy stali się wolnymi z chwilą, gdy wstąpili nogą na pokład okrętu płynącego pod amerykańską flagą. Toteż pani Weldon już cieszyła się myślą, że biedakom przekaże tę radosną nowinę, gdy tylko wrócą oni do przytomności. Otoczono nieszczęśliwych staranną opieką i już po upływie trzech dni wszyscy Negrzy znajdowali się w dobrym stanie.

Można było wtedy rozpocząć rozmowę. Wszyscy mówili po angielsku, wyrażając się bardzo poprawnie.

- Wasz statek rozbił się wskutek zderzenia z drugim? - zapytał przede wszystkim kapitan Hull.

- Tak jest - odpowiedział najstarszy z gromadki ocalonych, wysoki, potężny mężczyzna lat około 60- ciu, z sympatyczną twarzą, z której przebijał rozum i silna wola - stało się to nocą, gdyśmy spali w swej kajucie, musiało to nastąpić nagle, bo gdyśmy się przebudzili i wyszli na pokład, ujrzeliśmy jedynie

obie łodzie ”Waldecka ”ginące już we mgle. Zostaliśmy na statku sami - zapomniani. Winny katastrofy statek najwidoczniej uciekł.

- Skąd i dokąd płynął ”Waldeck”?

- Z Melbourne w Australii, do portów Południowej Ameryki.

- A więc nie jesteście niewolnikami? - zapytał szybko orientujący się Dick, wyciągając do starca rękę.

- Dzięki Niebiosom jesteśmy wolnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki - z poczuciem godności odpowiedział stary Tom za siebie i za swych przyjaciół. - Pamiętam okropności niewoli, ponieważ wywieźli mnie z Afryki, gdy byłem bardzo małym chłopcem, dzieckiem prawie i sprzedali do plantacji znajdujących się na południu Stanów Zjednoczonych. Szczęśliwy traf sprawił, iż stamtąd dostałem się do Pensylwanii, gdzie nie tylko uzyskałem wolność, ale uzyskałem prawa obywatelskie Stanów Zjednoczonych. Co się zaś tyczy moich towarzyszy, to jeden jest moim synem i nazywa się Baty. Tak on, jak i reszta moich przyjaciół urodziła się już z wolnych rodziców, więc wszyscy są już wolnymi obywatelami Ameryki. W poszukiwaniu pracy pojechaliśmy przed pięcioma laty do Australii, gdzie pracowaliśmy na plantacjach. Poszczęściło się nam, gdyż zarabialiśmy dosyć dużo i obecnie właśnie, na pokładzie ”Waldecka”, wracaliśmy do swych rodzin, gdy zły los nie tylko pozbawił nas pięcioletnich zarobków, ale i sami omal nie straciliśmy życia. Oto cała nasza historia - zakończył stary Tom swe przemówienie.

Wszystko to opowiedziane było z taką szczerością, że nikt nie wątpił w prawdę słów starego Murzyna.

Następnie Tom i jego towarzysze: Baty, Herkules, Austyn i Akteon gorąco dziękować zaczęli za uratowanie im życia.

Za ocalenie nie mniej wdzięczny od ludzi był i pies. Był to okaz pierwszorzędny, należący do rasy brytanów. Wabił się Dingo. Według opowieści Murzynów, należał on do kapitana, który go znalazł w warunkach dość niezwykłych, na pół martwego, w Afryce, nad brzegami rzeki Kongo.

Dingo okazywał swemu wybawcy duże przywiązanie, lecz był stale bardzo smutny i osowiały.

Jego olbrzymia siła i odwaga były ogólnie znane. Znaleziono go w obroży, na której znajdował się napis: ”Dingo” oraz litery: ”S. V.”

# ROZDZIAŁ V

## Tajemnicze litery

Wypadek z wrakiem okazał się bardzo korzystny dla jednego z pasażerów ”Pilgrima”.

Szczęśliwcem tym był mały Janek, ponieważ pozyskał dwóch przyjaciół: Dinga i Herkulesa. Ten ostatni był jednym z Murzynów, zbudowanym jak atleta, o sile niewiarygodnej wprost, łagodny przy tym jak dziecko. Chłopczyk bawił się z nim po całych dniach, co rozweselało jego matkę zmartwioną nieco tym, iż wiatr dął bez zmiany w niewłaściwym kierunku, co mogło bardzo opóźnić podróż.

Mały Janek lubił patrzeć na swego nowo pozyskanego przyjaciela, olbrzyma, mającego około siedmiu stóp wysokości. Nie tylko się go nie obawiał, lecz z najwyższą radością się z nim bawił.

Podobało mu się zwłaszcza, gdy Herkules stawiał go sobie na swych potężnych dłoniach i tak podnosił w górę, jak małą laleczkę.

- Jestem najwyższym człowiekiem na całym pokładzie - wołał chłopczyk z radosnym śmiechem.

- A czy ja jestem bardzo ciężki? - pytał.

- Bardzo! - odpowiadał Herkules. - Jak motyl bujający na trawce!

Innego rodzaju, lecz również bardzo miłym przyjacielem był Dingo. Pies ten na pokładzie ”Waldecka” - według relacji Murzynów - unikał ludzi, na ”Pilgrimie” zachowywał się zupełnie inaczej. Przepadał zwłaszcza za Jankiem, który znów lubił bardzo jeździć na brytanie, i był wierzchowcem o wiele lepszym, niż najpiękniejsze konie na biegunach.

Nie zawsze, niestety, mały Janek mógł spędzać swój czas na tak miłych zabawach, a to z tej przyczyny, iż pani Weldon,

korzystając z tego, że na pokładzie ”Pilgrima” wszyscy mieli dużo wolnego czasu, zaczęła uczyć chłopca trudnej sztuki czytania. By mu jednak ułatwić zdobycie tej wiedzy, zaczęła naukę od zabawy. Janek mianowicie rozpoznawać zaczął litery na ruchomych deseczkach, a gdy to się udało, z wolna z liter pojedynczych układał najpierw oddzielne wyrazy, jak: mama, tata, Dick, Dingo… a następnie i całe zdania. Była to doskonała zabawa, którą chłopiec polubił tak bardzo, iż się nią zajmował nawet wtedy, gdy matki przy nim nie było.

Pewnego dnia literami zaczął się zajmować również i Dingo. Naprzód obwąchał każdą deseczkę starannie, a następnie zaczął się pilnie przyglądać li terom. Aż wreszcie jedna z deseczek zwróciła jego specjalną uwagę, stał nad nią długo, machał długo swym puszystym ogonem, aż wreszcie głośno szczeknął i porwał zębami deseczkę, którą złożył potem ostrożnie z daleka od innych.

Była to deseczka z literą ”S”.

- Dingo! … co ty robisz? - zawołał przestraszony chłopczyk, pełen obawy o całość swych zabawek.

Lecz wielki brytan nie miał zamiaru niszczenia liter, nie tylko nie odstępował ich, lecz przeciwnie - stanął nad pozostałymi, wpatrywał się w nie długo, aż wreszcie pochwycił pyskiem deseczkę drugą, którą położył obok pierwszej.

Gdy to zrobił, z triumfem podniósł łeb do góry i głośno zaszczekał.

Mały Janek, jak również i stary Tom, który w tej chwili opiekował się chłopczykiem, byli jednakowo zdumieni zachowaniem Dinga. Janek był przekonany, iż jego czworonożny przyjaciel również nauczył się czytać, a przynajmniej rozpoznaje litery nie gorzej od niego.

- Mamo! Dicku! … chodźcie tutaj jak najprędzej - wołał uradowanym głosem. - Chodźcie! przekonajcie się, że nasz Dingo umie czytać.

Dick Sand pierwszy zbliżył się do psa, który nieruchomo stał wciąż nad literami przez siebie wybranymi i przeczytał: ”S. V.”

- Zechciej wymieszać litery, a zobaczysz, że Dingo wybierze je powtórnie - wołał Janek pełnym głębokiej wiary głosem.

Wołania te zainteresowały również kapitana Hulla oraz panią Weldon, która dopiero teraz miała możność oderwania się od pracy, jaką była zajęta w swej kajucie.

Dick, mimo pewnego oporu Dinga, zmieszał wszystkie litery, a następnie rozłożył je wszystkie ponownie przed psem. Wtedy ten delikatnie zaczął obwąchiwać deseczki, przyglądać się im, aż wreszcie wybrał powtórnie te same, na których były litery ”S. V.”

- Rzecz zaprawdę zdumiewająca - odezwała się pani Weldon - czyżby ten pies istotnie rozpoznawał litery?

- Zwłaszcza, że są to te same litery, które Dingo ma wyryte na swej obroży - powiedział w głębokim zamyśleniu kapitan Hull. - Tomie! ... kapitan ”Waldecka ”miał podobno znaleźć tego psa nad brzegami Konga, prawda?

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział stary Tom - kapitan ”Waldecka” niejednokrotnie opowiadał tę historię.

- Ha! w takim razie pies ten miałby wiele do opowiedzenia o sobie - zrobił uwagę kapitan - i wielka szkoda, że to rozumne zwierzę nie ma możliwości zrobienia tego, bo w takim razie powiedziałby on nam może... - tutaj kapitan Hull zamilkł i wpadł w głębokie zamyślenie.

- Litery te, przez psa wybrane, coś ci przypominają, kapitanie? - z zaciekawieniem zapytała pani Weldon.

- Być może, pani. Coś mi się tam kołacze w głowie, jakaś myśl zamglona, jakieś wspomnienie... Byłby to dziwny zbieg okoliczności w każdym razie.

Możliwe, iż te litery dają wskazówki co do losu pewnego młodego podróżnika po Afryce, który do dziś jest niewiadomy.

- O kim takim mówisz, kapitanie? - zapytała pani Weldon. - Nie przypominam sobie bowiem imienia i nazwiska, które rozpoczynały by się od liter ”S. V.”.

- O, pani mogła nie słyszeć nawet o francuskim uczonym. Samuelu Vernonie, który udał się do Środkowej Afryki przed

dwoma laty z polecenia Paryskiego Towarzystwa Geograficznego.

Miał on zamiar przejść przez Czarny Kontynent z zachodu na wschód. Otóż tę swą wyprawę rozpoczął, o ile sobie przypominam, od ujścia Konga, zaś kresem jego podróży miały być:

Przylądek Delgado i ujście rzeki Ruwumy, brzegami której iść właśnie miała wyprawa wspomnianego podróżnika.

- I uczony ten nazywał się Samuel Vernon?

- Tego ostatniego faktu jestem całkowicie pewien. Otóż możliwe, iż pierwsze litery imienia i nazwiska tego podróżnika właśnie wyryte zostały na obroży Dinga.

- I losy tego podróżnika nie są znane, bez względu na to, iż rozpoczął on swą podróż przed dwoma z górą laty? - ze wzruszeniem dopytywała się pani Weldon.

- Niestety, wszelkie wieści o nim zaginęły i nie są znane dotychczas nikomu.

Najprawdopodobniej został on zabity gdzieś po drodze przez dzikich.

- Więc pan przypuszcza, że Dingo należał do tego nieszczęśliwego podróżnika? ... Lecz czy wiadomo było, że ów Samuel Vernon wziął ze sobą psa, udając się w tę daleką drogę?

- Jest to tylko moje przypuszczenie, które przyjąłem wtedy dopiero, gdy ujrzałem, że Dingo z całego alfabetu wybierał te właśnie litery. W podobnych podróżach bywają zazwyczaj bardzo długie postoje. Otóż Samuel Vernon dla zabicia czasu mógł pojętne zwierzę wyuczyć rozpoznawania pierwszych liter swego imienia i nazwiska. Po katastrofie, zwłaszcza jeżeli miała ona miejsce zaraz na początku podróży, pies łatwo mógł wrócić do punktu, z którego wyprawa ruszyła, to jest do ujścia rzeki Kongo.

- Powiedz mi jeszcze jedno, kapitanie - czy ten Samuel Vernon samotnie udał się w swą podróż, w towarzystwie tylko psa, co zresztą jest przypuszczeniem zaledwie? - zapytała raz jeszcze młoda kobieta.

- Żadne bliższe szczegóły wyprawy Samuela Vernona nie są mi znane, pani. Lecz jest niemożliwe, by mógł się on wybrać samotnie w taką podróż. Zazwyczaj podobne wyprawy odbywają się przy udziale, bardzo licznym czasami, krajowców, którzy pełnią obowiązki tragarzy i przewodników. Bez takiej pomocy podróżowanie po Afryce jest niemożliwe. Tak więc było niewątpliwie i w tym wypadku. Czy jednak Vernonowi towarzyszył jakiś Europejczyk - nie wiem. Być może, iż Dingo mógłby nam coś o tym powiedzieć? ... Może by o to zapytać? ... - ze śmiechem zakończył słowa swe kapitan.

W tej samej chwili Dingo podniósł swój łeb w górę i zawył żałośnie, lecz prawie natychmiast jego rozumne oczy nabiegły krwią i zamigotał w nich wyraz straszliwej wściekłości.

Zdumiony kapitan rozejrzał się dokoła i jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Portugalczyka, który w tym samym momencie wychylił się ze swej kuchni.

- Z jakiego powodu pies ten tak bardzo cię nienawidzi, Negoro? - zapytał kapitan.

- Czyż ja mogę to wiedzieć? - odpowiedział kucharz - Najwidoczniej moja osoba nie znalazła w jego oczach uznania.

- Jest wprost niemożliwe, byś nie znał tego psa dawniej - stanowczym tonem powiedział kapitan. - Przyznaj się, gdzie się z nim spotkałeś? ... Może to było w Afryce?

- Możliwe, iż pies ten widział mnie kiedyś i być może również, że go wtedy gdzieś tam kopnąłem - urągliwym głosem odpowiedział Negoro. - Z psami bowiem w bliższe, przyjazne stosunki nie wchodziłem nigdy, trudno więc wymagać, bym fakt ten zapamiętał.

Po wymówieniu tych słów Portugalczyk cofnął się do swej kajuty, rzuciwszy przedtem psu pełne nienawiści spojrzenie.

- Dziwne jest to wszystko, bardzo dziwne - powiedziała pani Weldon - bo tylko spójrz, kapitanie, gdy Negoro stał się niewidoczny, Dingo jest znów spokojny, gdy przed chwilą było to straszne i niebezpieczne zwierzę.

- Musi być w tym jakaś tajemnica, niewątpliwie - odpowiedział kapitan - przecież Dingo, mimo swej siły, jest

psem najłagodniejszym w świecie, a tylko widok Negora doprowadza go do wściekłości.

Lecz Dinga wprawiał w szaleństwo nie tylko widok Portugalczyka. Wystarczało samo wymówienie imienia Negoro. I w tym wypadku, gdy usłyszał słowo to z ust kapitana, momentalnie wyrwał się z rąk obejmującego go za szyję Janka i jak wściekły rzucił się ku drzwiom kuchni, które na szczęście były dobrze zamknięte.

# ROZDZIAŁ VI

## Ukazanie się wieloryba

Dnia 19 lutego, po uporczywej ciszy, wiać zaczął lekki wiatr północno- zachodni, który pozwalał ”Pilgrimowi” na szybkość sześciu węzłów na godzinę w niezupełnie dobrym kierunku, na nieszczęście. Statek już trzy tygodnie prawie znajdował się w drodze, lecz mimo to zbliżył się niewiele do celu swej podróży.

Dnia tego pani Weldon, jak zazwyczaj, przechadzała się rankiem po pokładzie, gdy wtem jej uwagę zwrócił dziwny odblask wód oceanu, które były tak jasne, że aż wzrok raziły; zabarwienie wody było przy tym najwyraźniej czerwone.

- Dlaczego morze ma dziś kolor czerwony? - zapytała przechodzącego Dicka młoda kobieta.

- Powodem tego - odpowiedział zapytany - są miliardy maleńkich skorupiaków w rodzaju drobnych krewetek, którymi zazwyczaj karmią się wielkie, morskie ssaki.

- O mamo, mamo! - zawołał wtedy Janek. - Więc to są raki? W takim razie proszę cię bardzo, byś kazała Negorowi nałowić ich trochę, bo ja tak bardzo lubię zupę rakową!

Dick roześmiał się głośno.

- Podzielasz gust wielorybów, Janku kochany - odpowiedział chłopcu - na nieszczęście raczki, które widzimy, są tak drobne, że ich łowić nie sposób. Zaś widzimy je, bo są w dużej ilości; są ich miliardy miliardów.

Ławica, na którą myśmy się dostali, ciągnie się na parę mil dookoła. Jest to prawdziwe ”pastwisko wielorybów”, według wyrażenia rybaków.

- Ach! gdybyśmy spotkali takie pastwisko przed miesiącem, gdyśmy na wieloryby polowali - odezwał się Howick - zaraz byśmy się wzięli do porządkowania harpunów. Bo poszedłbym o zakład, że niedługo natkniemy się na wieloryba.

Jakby na rozkaz, w tej samej chwili rozległ się głos majtka, stojącego na pokładzie okrętu:

- Wieloryb z prawej burty, pod wiatr!

Kapitan, prawdziwy zapalony myśliwy, aż podskoczył z radości.

- Co, wieloryb? - cóż to za miła niespodzianka, co za traf szczęśliwy!

Istotnie, niespokojne ruchy fal wskazywały, iż o cztery mile od statku, musi się znajdować jakieś wielkie zwierzę.

Kapitan Hull i cała załoga z zajęciem przyglądali się olbrzymiemu ssakowi, który mieć musiał, sądząc na oko, około 70 stóp długości; należał więc do bardzo wielkich.

- Pół tuzina takich okazów, a zapełniłoby się wszystkie nasze próżne beczki - odezwał się Howick.

- Z pewnością tak by było - odpowiedział kapitan.

- Jeżeli byśmy zdecydowali się na złowienie go, choć w części powetowalibyśmy sobie nasze poprzednie niepowodzenia - raz jeszcze odezwał się Howick, zwracając się do kapitana, przyczym w jego głosie wyczuć było można wyraźną prośbę.

- To prawda - rzekł Dick - połów jednak nie zawsze się udaje, niesie on zawsze pewne niebezpieczeństwo... A nas jest teraz tak niewielu na pokładzie! - Rozsądek przemawia przez usta twoje, Dicku - wmieszał się do rozmowy kapitan. - Wieloryby mają do tego stopnia silne ogony, że najmocniej zbudowana łódź nie wytrzymuje ich uderzenia.

- Z drugiej jednak strony złowienie takiego kolosa dałoby nam ogromne korzyści - dokończył kapitan, a cała załoga te jego ostatnie słowa przyjęła z wyrazami głośnego uznania.

- Można by wytopić ze sto beczek tranu! - wołano. Kapitan milczał, lecz widać było, iż ma ogromną ochotę ulec prośbom marynarzy.

Wtem odezwał się cieniutki głosik:

- Mamo, poproś kapitana, ażeby mi złowił tego wieloryba, bo mam wielką ochotę przypatrzeć mu się z bliska.

To mały Janek rzucał na szalę wagę swego głosu.

- Tak, maleńki? - wesoło zawołał Hull - A więc dobrze, postaram się spełnić to twoje życzenie.

- Prawda, zuchy? - mówił dalej, zwracając się do majtków - Niewielu jest nas wprawdzie, lecz może by się dało temu jakoś zaradzić?

- Ależ, kapitanie - chórem zawołali majtkowie - nas sześciu w łodzi wystarczy, zaś statkiem zaopiekuje się przecież pan Dick!

- Widzę, że będę musiał ulec waszym prośbom... - powiedział po chwili zmagania się ze sobą kapitan.

- Tak, tak! - odpowiedzieli majtkowie. - Wyruszamy na łowy!

- Kapitanie, będzie was zbyt mało, a to wieloryb wyjątkowo potężny - odważył się wystąpić z protestem Dick.

Ale podniecony i ogarnięty namiętnością łowów kapitan nie zwrócił większej uwagi na słowa chłopca.

- Toż to drobnostka, Dicku - odpowiedział - czyż to dla mnie pierwszyzna? Sam rzucać będę harpunem i zobaczysz, jak szybko załatwię się z tym olbrzymem.

- Hurra! ... niech żyje nasz kapitan - wołała cała załoga ogarnięta już szałem mordowania i nadzieją pokaźnych zysków.

# ROZDZIAŁ VII

## Przygotowania do połowu

Pragnienie polowania było do tego stopnia w całej załodze mocne, że nawet pani Weldon nie śmiała protestować. Niepokoiła ją jednak zbyt mała liczba marynarzy.

Lecz kapitan Hull ją uspokoił.

- Nie po raz pierwszy zdarza mi się wyruszać na połów w jednej tylko łódce, a wynik był zawsze pomyślny. I niech pani mi wierzy, że nam nic nie zagraża. Jest, oczywiście pewne ryzyko, lecz niebezpieczeństwo towarzyszy każdemu naszemu krokowi.

Pani Weldon, uspokojona tymi słowami, nie sprzeciwiała się więcej, zwłaszcza iż nie mogła wiedzieć, że kapitan nie był zupełnie szczery. Wyprawa bowiem na wieloryba w jednej tylko łodzi była zawsze bardzo ryzykowna. Jedno wadliwe uderzenie wiosłem groziło nieuchronną zgubą.

W dodatku, wobec małej liczby majtków, kapitan był zmuszony sam wziąć udział w wyprawie, pozostawiając dowództwo statku piętnastolatkowi! . . .

Cofać się jednak już było niemożliwe.

- Dicku! - rzekł do młodego chłopca, odprowadzając go na stronę. - Oddaję statek pod twoją opiekę. Pamiętaj, iż na twej głowie będzie teraz bezpieczeństwo żony naszego chlebodawcy i jego małego synka. Mam jednak nadzieję, iż moja nieobecność nie potrwa zbyt długo.

- Dołożę wszelkich sił, ażeby podołać zadaniu - odpowiedział poważnie chłopiec.

Dick miał niekłamaną ochotę wziąć udział w łowach, zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że na łodzi pożądane jest przede wszystkim silne ramię, podczas gdy na statku tylko on

jeden z całej załogi był zdolny w pewnej choć mierze zastąpić kapitana.

W końcu przyszła chwila odjazdu; czterech marynarzy zajęło miejsca przy wiosłach, sternik Howick ulokował się na swym zwykłym miejscu przy sterze, zaś kapitan Hull stanął na przedzie łodzi, z harpunem w ręku.

Pogoda zdawała się sprzyjać wyprawie, morze było spokojne, co sprzyjało manewrowaniu szalupą.

Rzuciwszy okiem na łódź, dla sprawdzenia, czy wszystko jest w niej w porządku, kapitan raz jeszcze przywołał do siebie Dicka.

- Chłopcze - powiedział - żagle postawiłem ci tak, że będziesz mógł manewrować statkiem bez większych trudności. Brałem pod uwagę słaby wiatr, jaki mamy już od dość dawna; gdyby nagle się zmienił, to Tom i jego towarzysze są już dosyć dobrze zaznajomieni z rzemiosłem majtków i będą zdolni niewątpliwie pomóc ci w każdym wypadku.

- Możecie płynąć spokojnie, panie kapitanie - odpowiedział na te słowa Tom - my wszyscy z radością i bardzo starannie spełnimy każdy rozkaz pana Dicka Sanda i ręczymy za porządek na statku.

- Widzisz, Dicku, jakich mieć będziesz wiernych i chętnych pomocników - mówił dalej kapitan. - Pamiętaj tylko o jednym, że tobie nie wolno opuścić teraz, jako jedynemu odpowiedzialnemu kapitanowi, statku pod żadnym pozorem. Jeżeli połów nasz zmusi łódź do zbytniego oddalenia się od statku, to podążaj za nami. Gdybyśmy nie wrócili przed nocą, pozapalaj latarnie na masztach. A gdyby wyłoniła się potrzeba bliższego podpłynięcia ku nam, dam ci wtedy znak, przez podniesienie w górę tej oto bandery.

- Wszystkie twe rozkazy, kapitanie, będą z pewnością wypełnione, bądź spokojny o to. Nie spuszczę zwłaszcza z oka waszej łodzi - odpowiedział Dick.

- Ufam ci całkowicie, znam przecież twą przedsiębiorczość, ostrożność i rozwagę. Gdyby było inaczej, nigdy bym się nie zdecydował na opuszczenie statku. I wiedz, że ciężkie

obowiązki masz do spełnienia teraz, wiedz i to również, że w obecnej chwili jesteś absolutnym panem na statku, na którym wszystko podlega twojej woli. Jesteś niewątpliwie pierwszym w dziejach kapitanem, mającym piętnaście lat.

Dick Sand słowa te przyjął w głębokim milczeniu. Zarumienił się tylko mocno, a oczy błysnęły mu energią.

- Zuch chłopak! - pomyślał sobie kapitan Hull. - Szczęśliwy statek, na którym będzie on obejmował w przyszłości dowództwo.

Mimo to, mimo całej wiary w Dicka, kapitan nie bez niepokoju oddalał się od swego brygu.

- Szczęśliwych łowów! - wesoło wołała pani Weldon. - Choć prawda - dodała po chwili ze śmiechem. - Mąż mówił mi zawsze, że takie życzenia nieszczęście przynoszą!

- O ile są wypowiedziane przez usta stare i brzydkie - z galanterią odpowiedział kapitan. - Życzenia łaskawej pani pobudzić mogą jedynie do pokazania całej naszej energii.

Mały Janek rozproszył resztki chmur na czole kapitana.

- Wujku kapitanie - wołał chłopczyk przesyłając rączkami gesty pożegnania - proszę cię, nie męcz zbytnio biednego wieloryba, gdy będziesz go łowić. Delikatnie weź go za płetwy, jak to robi wujek Benedykt, gdy pochwyci motyla.

Słowa te cała załoga przyjęła głośnymi wybuchami śmiechu.

- Panie kapitanie - wołał jeszcze kuzyn Benedykt - o ile wiem, to na skórze tych wielkich ssaków znaleźć można czasami nader rzadkie okazy owadów, jeżeli bym więc mógł prosić...

- Czyż tak jest istotnie? - pełnymi już ustami śmiał się kapitan - O! ... jeżeli tak, to mieć będziesz, panie Benedykcie, pełną swobodę czynienia swych poszukiwań, gdy nasz wieloryb znajdzie się już na pokładzie.

Łódź coraz bardziej się oddalała. Wszyscy przesyłali ostatnie, głośne pożegnania i wyrazy radości. Nawet Dingo wsparł się na swych potężnych łapach i wychylił daleko olbrzymi łeb poza barierę okalającą pokład, lecz zamiast szczekać radośnie - zaczął posępnie wyć.

Wycie to przeraziło panią Weldon.

- Dingo! - zawołała. - Brzydki, niepoczciwy Dingo! To ty w ten sposób żegnasz swych zbawców i przyjaciół? No, szczeknij mi zaraz, tylko głośno, wesoło i radośnie!

Pies nie posłuchał jednak rozkazu, zwiesił tylko smutnie łeb ku ziemi, potem podszedł ku pani Weldon i lizać zaczął jej ręce.

- Zawył... zły to znak! . o, zły! - mruknął do siebie stary Tom. Dingo krótko jednak tulił się do kolan pani Weldon, po chwili odskoczył, sierść mu się najeżyła i momentalnie się wyprężył, jakby do skoku.

Pani Weldon odwróciła się natychmiast i ujrzała na przedzie okrętu ukrytego Negora, który opuścił kuchnię, żeby przypatrzeć się odjazdowi. Dingo, nie zważając na wołania pani Weldon, rzucił się ku Portugalczykowi z wściekłością. Lecz Negoro nie stracił przytomności, pochwycił szybko dobrze okuty drąg i stanął w obronnej postawie, plecami opierając się o maszt.

Pani Weldon rzuciła się jednak na pomoc Portugalczykowi i była na tyle szybka, że zdołała jeszcze pochwycić psa za obrożę, czym go w szalonym skoku powstrzymała.

Negoro nie wyrzekł słowa, tylko jego bladożółta twarz, stała się popielata zupełnie, jakby ją kto popiołem przysypał. Stał jeszcze chwilę z podniesionym w górę harpunem, lecz wkrótce opuścił broń i wycofał się do swej kuchni.

Dick Sand, z wyrazem nietajonego niepokoju przyglądał się całej tej scenie.

- Herkulesie - odezwał się głosem powolnym i cichym, jakby rozkaz ten nie chciał mu przejść przez gardło - proszę cię, zwracaj pilną uwagę na tego człowieka. Jest on dla mnie podejrzany.

- O, nie jest on wrogiem tak bardzo groźnym - odpowiedział Herkules, wstrząsając pięścią, którą z pewnością powalić by mógł bawoła - gdybym tylko zauważył coś podejrzanego, nie wyszedłby on żywy z pewnością z mych rąk.

Na tym zakończył się ten przykry epizod. Pani Weldon i Dick znów całą swą uwagę poświęcać mogli oddalającej się łódce,

która pędzona potężnymi uderzeniami wioseł szybko mknęła naprzód, wciąż się oddalając od statku.

# ROZDZIAŁ VIII

## Walka z wielorybem

Tak doświadczony łowca wielorybów, jakim był kapitan Hull, z góry przewidział wszystkie niespodzianki, jakie się mogą zdarzyć. Wiedział on dobrze, iż upolowanie wieloryba większych rozmiarów nie należy bynajmniej do rzeczy łatwych i że należy zachowywać się jak tylko można najostrożniej.

Z tego powodu sternik kierował łodzią tak, ażeby podpłynęła do wieloryba pod wiatr.

- Uwaga, moje dzieci! - wesoło zakrzyknął kapitan - Postaramy się zbliżyć do naszego łupu tak, by naprzód poczuł harpun w swoim cielsku, a dopiero potem spostrzegł naszą obecność. By się to jednak stało, musimy się zachowywać o ile to możliwe najciszej i płynąć ciągle pod wiatr.

- Ostrożnie, cicho i równo zanurzajcie chłopcy wiosła w wodę - przemówił po dłuższej chwili milczenia wódz wyprawy.

Wieloryb ani się poruszył, co wskazywało, że nie zauważył dotychczas łodzi.

Szalupa płynęła, jakby była poruszana czarodziejską siłą, bez najmniejszego szelestu, zupełnie cicho, jak widmo.

Mimo to poruszała się z szybkością jaskółki.

Wieloryb trwał nieruchomo.

Po upływie dwóch godzin łódź znalazła się dostatecznie blisko wieloryba, by można już było rozpocząć działania zaczepne.

Kapitan Hull uniósł harpun i wziął zamach, by z tym większą siłą go rzucić, gdy nagle sternik Howick szepnął cicho z niepokojem w głosie:

- Podnieście w górę wiosła, chłopcy, zdaje mi się, że wieloryb poczuł nas wreszcie, oddycha bowiem teraz znacznie wolniej, aniżeli przed chwilą.

- Cicho, Howick! Nie czas teraz na robienie uwag i spostrzeżeń. Trochę już za późno na to. W obecnej chwili powinniśmy się starać jedynie o to, ażeby zbliżyć się do ssaka z jego lewego boku, by tym samym mieć możność ugodzenia go harpunem wprost w serce - cierpko powiedział kapitan.

W milczeniu wioślarze opuścili wiosła, zaś Howick tak zaczął manewrować łodzią, by zatoczywszy szeroki łuk zbliżyć się niepostrzeżenie do lewego boku wieloryba. Kapitan Hull stał na przedzie łodzi na wyprężonych jak stal nogach, z podniesionym w górę harpunem w ręku, gotowy w każdej chwili do zadania śmiertelnego ciosu.

Howick trwożnie spoglądał na ogon kolosa, lękając się uderzenia które w jednej chwili mogło zamienić łódkę w drobne drzazgi.

Wieloryb trwał ciągle w spokoju, być może nie zauważył jeszcze niebezpieczeństwa lub też je sobie lekceważył, co nie na żarty niepokoić już zaczynało starego Howicka. Zdarzało się, choć bardzo rzadko, zbliżyć się do śpiącego wieloryba i zabić go jednym, celnie wymierzonym ciosem. Lecz wieloryb, na którego polowano, nie spał przecież! Śpiący wieloryb nie wyrzuca w górę strumieni wody na dziesięć metrów! Ta uporczywa nieruchomość kolosa, nienormalna z pozoru, niepokoiła bardzo sternika.

- Coś tutaj jest nie w porządku, kapitanie! - odezwał się w końcu ledwo dosłyszalnym szeptem. - Z jakich przyczyn ten potwór się nie porusza? Przecież nie śpi, kanalia. Czy tylko w tym bezwładzie nie szykuje on nam jakiegoś straszliwego, a niespodziewanego ciosu?

Kapitan przyznał w duchu słuszność Howickowi, za późno było jednak, by się cofać. A zresztą, znajdowali się w doskonałym położeniu, które dawało nadzieję, iż pierwszy zadany cios może okazać się śmiertelnym.

Zmierzywszy więc wytrawnym okiem odległość, kapitan ”Pilgrima” obniżył harpun do wysokości oka i zaczął mierzyć, następnie podniósł go wysoko w górę, okręcił parokrotnie

ponad głową i rzucił. Harpun ze świstem przeciął powietrze i nieomal do połowy pogrążył się w ciele wieloryba.

- W tył - zakomenderował kapitan po zadaniu ciosu - w tył! ... od szybkości cofnięcia się bowiem zależy teraz nasze życie!

Jak lotna strzała ślizgać się zaczęła łódka po powierzchni fali . Kapitan tymczasem zaczął wyrzucać w wodę przygotowane zwoje lin, których jeden koniec był do harpuna przymocowany.

Wtem stary Howick krzyknął wzburzonym głosem:

- Niech to wszyscy diabli wezmą, kapitanie! ... to przecież jest samica! ... Spójrzcie! ... karmiła ona właśnie swe małe! I z tego powodu pozostawała nieruchomo, gdyśmy się do niej zbliżali!

Kapitan zasępił się, usłyszawszy te słowa. Istotnie, do prawej piersi wieloryba tuliło się małe, jeżeli użyć wolno takiego określenia, gdy się mówi o stworzeniu, mającym parę metrów długości. Okoliczność ta zwiększała bardzo poważnie niebezpieczeństwo łowów, ponieważ jest rzeczą ogólnie wiadomą, że samica w obronie swego małego potrafi stanąć do walki z ogromną zaciekłością. Na razie jednak wieloryb nie rzucał się na łódź, nie istniała więc konieczność odcinania liny i szukania ratunku w ucieczce.

Wieloryb jedynie zanurzył się nieco, a następnie bardzo szybko zaczął płynąć. Nie mniej szybko odwijała się lina, a i łódź mknęła bystro po powierzchni fal, nie mogła jednak ona dorównać szybkości wieloryba, więc trzeba było wkrótce dowiązać linę drugą, a następnie i trzecią.

Najwidoczniej wieloryb otrzymał bardzo powierzchowną ranę i nie stracił nic ze swych sił.

- Patrzcie, jak pędzi to zwierzę przeklęte - mruczał stary Howick - powiedziałby kto, że to jakiś pierwszej klasy rumak na wyścigach.

W krótkim czasie w nurtach pogrążyła się cała lina czwarta, a następnie odwijać zaczęto i piątą, już ostatnią. Na szczęście pogrążyła się ona w wodzie do połowy zaledwie.

- W końcu! - zawołał kapitan. - Wieloryb zmęczył się. Teraz więc zbliża się chwila ostatecznej z nim rozprawy. Czas najwyższy, ażeby dać sygnał naszemu ”Pilgrimowi”.

Mówiąc to, kapitan powiewać zaczął białą chorągiewką.

Dick znak ten dostrzegł natychmiast i bez chwili zwłoki, przy pomocy Murzynów, starał się wykonać rozkaz. Na nieszczęście jednak wiatr dął w przeciwnym akurat kierunku, tak, że statek miał możliwość bardzo powolnego zbliżania się do łodzi.

Tymczasem ranny wieloryb wypłynął na powierzchnię, aby odetchnąć powietrzem, lecz i teraz, ku ogólnemu zdziwieniu, trwał nieruchomo. Hak tkwił w jego grzbiecie, lecz harpun nie uszkodził żadnych wewnętrznych organów olbrzyma, gdyż znajdował się on w pełni swych sił, jak to wnioskować można było z iście szalonych uderzeń jego ogona.

- Oczekuje na małego - odpowiedział Howick w odpowiedzi na pytający wzrok kapitana - małe, rzecz zrozumiała, nie mogło nadążyć za matką i z tej przyczyny jedynie ona zatrzymała się, lecz nie z braku sił . Dobrze by było może fakt ten wykorzystać i skończyć z matką jak najprędzej.

Wszyscy uznali słuszność tej rady. Dwóch majtków pochwyciło więc za włócznie, ażeby ugodzić nimi olbrzymie zwierzę.

- Baczność, dzieci! - zawołał kapitan. - A dobrze mierzcie, bo zdarzyć się może, że nie będziemy w stanie powtórzyć ciosów.

Howick zawrócił łódkę wprost na wieloryba; umiejętnie pogrążone w wodzie wiosła potężnie pchnęły szalupę. Minuta jedna, druga... a wątła łódeczka prawie już wpadła na olbrzyma.

Majtkowie już podnieśli w górę włócznie, gdy wieloryb uczynił nagły zwrot i zwrócił się przodem do atakujących; Howick tak zręcznie manewrował jednak, iż olbrzym nie mógł dosięgnąć łodzi. Rzucono włócznie, jedną, drugą, trzecią... Po chwili walki wieloryb uspokoił się, znieruchomiał i zaczął wyrzucać w górę słupy wody zabarwionej ciemną krwią. Jego odpoczynek był bardzo krótki i zwierzę ponownie rzuciło się do walki, do ostateczności rozwścieczone. Tym razem udało mu się końcem płetwy dosięgnąć łodzi, tak iż ta mocno się przechyliła i nabrała wody.

- Do wiader, prędzej na Boga, bo inaczej potoniemy! - komenderował kapitan. - A ty, Howicku, uważaj, by wieloryb nie zaatakował nas niespodziewanie.

Dwóch majtków porzuciło wiosła i zaczęło wiadrami wylewać wodę. Kapitan przeciął bezużyteczną już teraz linę, ponieważ rozszalały wieloryb nie myślał o ucieczce, lecz raczej o napaści; ze ściganej zwierzyny sam zmienił się w myśliwego.

Trzeci atak zapowiadał się bardzo groźnie, zważywszy przede wszystkim, iż łódź w połowie była napełniona wodą, to znaczy, iż utraciła swą dawniejszą łatwość zwrotów. Kapitan Hull ze swą załogą w obecnej chwili myślał już nie o połowie, lecz o własnym ocaleniu.

Lecz i tym razem Howickowi udało się uchronić szalupę od rozbicia, wieloryb zdołał jednak otrzeć się swą płetwą o tył łodzi i uczynił to z taką siłą, że Howick aż spadł z ławy, łamiąc swoim ciężarem drąg steru.

- Mój Boże! - zawołał kapitan, widząc upadek swego przyjaciela. - Howicku, czy aby nic ci się nie stało? ... nie połamałeś sobie rąk lub żeber?

- Ech! mniejsza o to, gorzej, iż złamałem drąg steru.

- A zapasowego nie ma? Jeżeli jest, to zakładać go żywo, bo wieloryb szykuje się do nowego ataku!

W tejże chwili w pobliżu łodzi woda silnie zawrzała i z otmętu wynurzył się mały wieloryb.

Gdy matka ujrzała go, jednym potężnym uderzeniem ogona zbliżyła się do niego.

Niebezpieczeństwo stało się jeszcze większe.

Ruchami pełnymi beznadziejnej już rozpaczy kapitan Hull dawać zaczął białą chorągiewką ”Pilgrimowi” sygnały, wzywające ratunku.

Lecz jakąż pomoc dać mógł bardzo daleko się znajdujący statek? ... Dick Sand robił wszystko, co tylko leżało w jego mocy, lecz nie miał sił, by zbliżyć się z odpowiednią szybkością. Bezsilny z zamierającym z bólu sercem przyglądał się jedynie toczonej w oddali walce.

A wieloryb, własnym ciałem osłoniwszy przede wszystkim swe małe, z tym większą wściekłością rzucił się do ostatecznej szarży. A ponieważ łódź była już bez steru, swój straszny cios ogonem wymierzyć mógł bez żadnego już oporu.

Załoga łodzi zrozumiała, że jest zgubiona.

Uderzenie było straszne. Dno szalupy momentalnie rozpadło się na niezliczoną ilość drobnych części, a ludzie znajdujący się w łódce naprzód zostali wyrzuceni w górę, a następnie głęboko zapadli się we wzburzone fale oceanu.

Gdy ”Pilgrim ”zdołał dopłynąć w końcu do miejsca katastrofy, na powierzchni fal gdzieniegdzie zabarwionych krwią unosiły się tylko nikłe szczątki strzaskanej szalupy.

Poza tym nie było na falach nic więcej.

# ROZDZIAŁ IX

## Kapitan Sand

Jakie wrażenie zrobiła śmierć kapitana Hulla i jego towarzyszy, na wszystkich tych, którzy tylko z dala, bezradni, przypatrywali się przebiegowi katastrofy? Pisać o tym nie sposób. Nazbyt bolesne są to sprawy.

Dość powiedzieć, że byli naocznymi świadkami całego przebiegu zdarzeń i nie byli w stanie udzielić najmniejszej pomocy. Było to naprawdę straszne.

Gdy ”Pilgrim” znalazł się wreszcie na miejscu wypadku, tuż obok resztek strzaskanej łodzi, zalana łzami pani Weldon padła na kolana pod wielkim masztem z głośnym okrzykiem:

- Przyjaciele moi! ... módlmy się. To jedno już tylko możemy zrobić dla nich.

Mały Janek upadł również na kolana obok swej matki. Biedne dziecko widziało wszystko i wszystko rozumiało, dlatego też wielkie przerażenie przeniknęło całą jego niewinną duszyczkę.

Dick Sand, kuzyn Benedykt, Noon i reszta Murzynów naśladowali młodą kobietę i pobożnie powtarzali za nią słowa modlitwy za przedwcześnie zmarłych przyjaciół.

Po ukończeniu tej krótkiej, lecz gorącej modlitwy, pani Weldon otarła swe zapłakane oczy i rzekła:

- A teraz, przyjaciele, błagajmy Najwyższego, aby zechciał dodać nam sił i odwagi w ciężkiej naszej doli.

Słowa te otworzyły wszystkim oczy na grozę położenia. Było ono bardzo ciężkie. Statek, na którym się znajdowali, nie miał teraz nie tylko dowódcy, ale nawet załogi. A znajdował się pośrodku olbrzymiego oceanu! Byli oddaleni o setki mil od najbliższego lądu, na łasce burz i wichrów.

Co za fatum postawiło wieloryba na drodze ”Pilgrima”?

Niespodziewana śmierć kapitana i całej załogi postawiła w strasznym położeniu statek i wszystkie znajdujące się na nim osoby. Na ”Pilgrimie ”nie było teraz ani jednego wyszkolonego, obeznanego z morzem i żeglugą marynarza, za wyjątkiem jednego jedynego młodzieńca, mającego zaledwie piętnaście lat! Na niego spadły teraz wszystkie obowiązki, cała odpowiedzialność za los statku! Prawda, na pokładzie znajdowało się pięciu dorosłych i silnych mężczyzn o nieposzlakowanej moralności, lecz nie mieli oni najmniejszego pojęcia o żegludze.

Trudno dziwić się temu, iż nieszczęśliwy piętnastoletni kapitan stał długo na pokładzie ze wzrokiem utkwionym w morze, w którym zginął jego przełożony i opiekun. Niewesołe myśli krążyły po głowie biednego chłopca; z ciężkim westchnieniem zwrócił on wzrok na horyzont, w nadziei, iż być może dojrzy jakiś okręt, któremu można by powierzyć panią Weldon i jej synka.

On sam ”Pilgrima ”nie opuściłby w żadnym wypadku, byłby jednak bardzo szczęśliwy, gdyby los dopomógł mu uratować żonę i dziecko jego dobroczyńcy.

Niestety jednak nieobjęty wzrokiem ocean był całkowicie pusty. Nigdzie nie było widać najmniejszego choćby śladu żagla. I nie mogło być inaczej. Dick Sand wiedział przecież lepiej od innych, że ”Pilgrim” znajdował się w okolicy bardzo odległej od normalnych szlaków, po których pływały statki, co się stało z powodu wciąż nie sprzyjającego wiatru.

Te smutne i ciężkie myśli biednego chłopca przerwane zostały ukazaniem się na pokładzie Negora, który, choć w czasie katastrofy przebywał pod pokładem, niewątpliwie wiedział o tragicznym przebiegu łowów.

Nikt nie mógł odgadnąć, jakie myśli krążyły w głowie tego tajemniczego człowieka. Teraz przyglądał się tylko z lekkim uśmiechem na zaciśniętych wąskich wargach pustemu pokładowi i milczał.

Po chwili podszedł do Dicka znajdującego się wtedy już w budce kapitańskiej i stanął przed nim nieruchomo, patrząc nań

wyzywająco.

Młody chłopiec pod wpływem tego wzroku bezwiednie uniósł głowę w górę i rzekł:

- To ty, Negoro! Czego chcesz tutaj?

- Chciałbym porozmawiać z kapitanem, albo też, w przypadku jego nieobecności, ze sternikiem - odpowiedział zimno Portugalczyk.

Dick Sand spojrzał ze zdumieniem na mówiącego.

- Czyż nie wiesz, że oni zginęli?

- Któż jest więc teraz dowódcą statku? - zapytał Negoro z odcieniem ironii w głosie.

- Ja - spokojnie odpowiedział młody chłopiec.

Portugalczyk lekceważąco wzruszył ramionami.

- Ty? ... Ty chcesz być kapitanem mając piętnaście lat?

- Tak jest, ja - z naciskiem odpowiedział Dick Sand - i bądź pewien, iż pomimo mego wieku potrafię każdego zmusić do posłuszeństwa. Powtarzam: bądź tego pewien, Negoro.

Portugalczyk wobec tej pewności w głosie chłopca zmieszał się i odszedł w tył parę kroków.

Pani Weldon, przysłuchująca się z daleka rozmowie, podeszła ku nim.

- Tak jest, Negoro - powiedziała - kapitan Hull, odjeżdżając, tutaj obecnemu Dickowi Sandowi powierzył dowództwo statku, a teraz ja, jako żona właściciela statku, wybór ten potwierdzam. I myślę, że woli mojej sprzeciwiać się nikt nie ma prawa.

Negoro przyjął te słowa w milczeniu, uśmiechnął się tylko z jakimś dziwnym skrzywieniem ust, następnie skłonił się uniżenie pani Weldon i odszedł do kuchni.

Tak się zakończyło pierwsze starcie pomiędzy Dickiem a Negoro, a młody kapitan pokazał, iż w razie potrzeby potrafi narzucić swawolę nieposłusznym.

Po odejściu Portugalczyka, Dick rzucił wzrokiem po całym pokładzie, a następnie spojrzał na twarze wszystkich pozostałych na statku, na twarze Murzynów, którzy oczekiwali od niego słów pociechy. Oczy wszystkich, zacnych, szczerych i

uczciwych ludzi, wyrażały miłość i pełne posłuszeństwo. To go znacznie pokrzepiło i dało mu poczucie siły.

Wtedy przemówił do nich. Ze spokojną pewnością siebie człowieka, który postanowił wypełnić swój obowiązek do końca, w krótkich słowach zawiadomił swych słuchaczy, że choćby miał to przypłacić życiem, postanowił dołożyć wszelkich starań, aby doprowadzić statek do szczęśliwej przystani i ma nadzieję, że mu nie odmówią swej pomocy.

Słowa młodego przełożonego znalazły uznanie i wszyscy rozeszli się do swych zajęć, pełni nadziei i wiary, że wszystko, przy Boskiej pomocy, zakończy się dla nich szczęśliwie.

Po rozmowie tej Dick Sand powierzył ster dłoniom starego Toma, który z prowadzeniem statku był już nieco zaznajomiony, sam zaś udał się do kajuty zmarłego kapitana Hulla, by się upewnić, w jakim punkcie statek właściwie się znajduje.

Na podstawie pomiarów dokonanych przez zmarłego stwierdził, iż ”Pilgrim” rankiem tego dnia znajdował się pod 43 °35'szerokości i 13 °1'długości geograficznej. Ponieważ od chwili tej, z przyczyny słabego wiatru, statek przebył zaledwie parę mil, można więc było śmiało uważać, iż znajdował się on w tym samym mniej więcej miejscu co rankiem.

# ROZDZIAŁ X

## Pierwsze dni rządów piętnastoletniego kapitana

Młody kapitan obmyślił następujący plan: ponieważ nie zna w sposób wystarczający wszystkich tajników kierowania statkiem, doprowadzi go nie do Valparaiso, lecz do pierwszego lepszego portu Ameryki Południowej, a choćby nawet i Północnej. I miał nadzieję, że mu się to uda. Byle tylko statek płynął nieprzerwanie na wschód - w końcu musiał dotrzeć do Ameryki?

Cała trudność polegała więc na tym, by kierować statkiem według wskazówek kompasu i mierzyć szybkość, ażeby mieć możność oznaczania na mapie punktu, w którym ”Pilgrim” w danej chwili się znajduje.

Oprócz dwóch kompasów będących w budce kapitańskiej i w kajucie zmarłego kapitana, bryg posiadał na pokładzie tak zwany log , który wskazywał z dużą ścisłością ilość robionych węzłów w pewnym, z góry określonym czasie. Przy pomocy tych dwóch narzędzi Dick miał nadzieję określić ilość przebytych przez ”Pilgrima” mil, a także to, w jakim płyną kierunku.

Murzyni z wolna coraz sprawniej wykonywali swe prace, a że wiatr w końcu zaczął dąć i to w pomyślnym, wschodnim kierunku, ”Pilgrim” coraz szybciej posuwał się do celu, czyli ku wybrzeżom z utęsknieniem wyczekiwanej Ameryki.

Dick mając busolę i log, który dzień w dzień parokrotnie był wrzucany do morza, był zupełnie pewien iż płynie w dobrym kierunku, wiedział też z jaką szybkością.

Pewnej nocy, w chwili gdy Dick zajmował właśnie swe zwykłe stanowisko przy sterze, zdarzył się smutny wypadek, spadł

mianowicie ze ściany kompas, znajdujący się w kajucie kapitana i potłukł się w drobne kawałki.

Na statku pozostał już tylko jeden kompas. Gdyby i ten miał ulec zniszczeniu, położenie mogłoby się stać groźne, toteż Dick postanowił zwracać na ocalały przyrząd jak najbaczniejszą uwagę.

Dodać musimy, że młody kapitan nocami zawsze sam kierował statkiem, a tylko przy dziennym świetle oddawał ster w ręce starego Toma, lub jego syna Baty'ego.

W trzy dni po nieszczęśliwym wypadku z kompasem pogoda zmieniła się na gorsze. Wiatr ucichł zupełnie, a jak to się zwykle zdarza gdy opadają mgły, powietrze ochłodziło się bardzo, przy czym przesycone było wilgocią. Z nadejściem nocy mgły stały się gęste do tego stopnia, że z pokładu nie można było dojrzeć najniższych nawet żagli. W czasie takiej pogody pływanie po europejskich morzach staje się bardzo niebezpieczne, lecz w tak mało uczęszczanym zakątku Oceanu Spokojnego ryzyko było prawie żadne, toteż nad ranem, gdy w normalnych warunkach robiło się już jasno, wyczerpany czuwaniem i wytężoną uwagą Dick postanowił udać się na spoczynek, a przywołany Tom zastąpił go u steru.

Oprócz Toma na pokładzie czuwał jeszcze Akteon.

Mimo wschodzącego dnia, wskutek gęstej mgły, panowały zupełne ciemności.

Nie upłynęła jeszcze godzina od chwili, jak młody kapitan wszedł do swojej kajuty, gdy starego Toma ogarniać zaczęła niczym nie przezwyciężona senność. Był to stan podobny do snu letargicznego; absolutny bezwład, graniczący z martwotą. Ręka Toma wciąż trzymała ster, a nawet nim poruszała, lecz były to tylko odruchy nie kierowane wolą.

Stan ten doskonale zauważył tajemniczy osobnik, który od dłuższego już czasu obserwował starego Murzyna. Od jakiejś pół godziny Portugalczyk Negoro stał cicho, wstrzymując oddech i wyczekując na odpowiednią chwilę. Wreszcie się odważył. Jak cień przeszedł koło pogrążonego w letargicznym śnie Toma i zbliżył się do stoliczka, na którym był umieszczony

kompas, a nawet się przy nim na krótką chwilę zatrzymał. Czego ręka Negora w tej krótkiej chwili dokonała? - nie wiadomo. Zdawało się, jakby jakiś drobny przedmiot umieściła pod busolą.

O, gdyby Dick Sand mógł wiedzieć o tym! Z jakim pośpiechem i przestrachem odrzuciłby on wtedy jak najdalej przedmiot podstępnie podłożony pod strzałkę igły magnesowej! Lecz nieszczęsny piętnastoletni kapitan spał snem spokojnym i silnym. Zaś stary Tom, gdy się ocknął ze swego letargicznego snu, przetarł jedynie ze zdziwienia oczy, nie pojmując, jakim sposobem statek mógł aż tak bardzo zboczyć ze swej drogi.

Kawałek żelaza, ukryty pod busolą, dobrze spełniał swe złowrogie zadanie. Zdołał zmienić kierunek, w jakim płynął dotychczas statek, który biegł teraz nie na wschód, lecz na południowy wschód, nieomal wprost ku południowemu biegunowi.

# ROZDZIAŁ XI

## Huragan

Mijały dni. Cały następny tydzień upłynął spokojnie, bez najmniejszej zmiany. Wiatr północny, który Dickowi zdawał się być zachodnim, z dnia na dzień zyskiwał na sile i ”Pilgrim” robił teraz przeciętnie 160 mil na dobę, co było szybkością najzupełniej zadowalającą.

Wszystko więc zdawało się iść całkiem pomyślnie, jednak Dick był mocno zaniepokojony tym, iż mimo zbliżania się do brzegów Ameryki, ocean pozostawał bez zmiany tak pusty, iż ani razu załoga nie dojrzała dymu z kominów parowca lub żagla. Dziwiło go to niepomiernie; niejednokrotnie już przepływał tę część Oceanu Spokojnego i zawsze spotykał okręty amerykańskie bądź angielskie, w drodze z przylądka Horn lub z portów Ameryki Południowej, albo też powracające do tych miejscowości.

Działo się tak ponieważ ”Pilgrim” znajdował się na wiele wyższym stopniu geograficznej szerokości, aniżeli Dick przypuszczał, więc statek o wiele bardziej był wysunięty na południe i o wiele bardziej oddalony od wybrzeży Ameryki.

Dla winowajcy natomiast, który rozmyślnie uszkodził kompas, tak że ten obecnie błędnie wskazywał kierunek, fakt ten był najzupełniej zrozumiały.

Negoro wiedział, że statek dąży nie ku brzegom Ameryki, lecz ku przylądkowi Horn, który stanowi, jak wiadomo, kraniec Ameryki na południu.

Dick ukrywał starannie przed wszystkimi swój niepokój, a nawet mówił wesoło do pani Weldon:

- Jeszcze jakieś kilkanaście dni, dwa tygodnie najwyżej, a znajdować się już będziemy na stałym lądzie, w którymkolwiek

z miast Ameryki Południowej, a wtedy skończą się wszystkie nasze kłopoty.

- Mam nadzieję, iż słowa twe się sprawdzą, mój mały przyjacielu, lecz nie kłopocz się zbytnio - odpowiadała łagodnym i pełnym serdeczności głosem młoda kobieta, z uczuciem smutku patrząc na pobladłą twarz Dicka.

Dnia 26 lutego barometr zaczął opadać gwałtownie, co mogło zapowiadać długotrwały deszcz, a nawet burzę.

Po tym pierwszym ostrzeżeniu, na które Dick odpowiedział zwinięciem większości żagli, czarne chmury zasłaniać zaczęły cały widnokrąg. Morze stawało się coraz bardziej burzliwe.

Bałwany piętrzyły się i stawały się coraz wyższe, lecz jeszcze, na szczęście, nie ścierały się ze sobą. Wszystko wskazywało na to, że burza szaleje już gdzieś na zachodzie lecz jeszcze nie nadeszła w przepływane przez statek rejony. To wszystko, co było dotychczas, a co już tak przerażało nie obeznanych z morzem Murzynów, to był jedynie tak zwany ”świeży wiatr”, według określenia doświadczonych wilków morskich.

Dwa tygodnie przeszło trwało na statku pełne gorączki życie, krążące pomiędzy obawą śmierci, a nadzieją. ”Pilgrim” w tym czasie nieprzerwanie płynął wciąż przed siebie i przed siebie, w tym samym kierunku - na wschód... jak się Dickowi wydawało.

I coraz większe ogarniać zaczynało go przerażenie. Według jego obliczeń, ląd powinni zobaczyć już dawno. Dick wypatrywał go bezustannie, a tymczasem dni mijały za dniami, a tak samo za statkiem, jak i przed nim był tylko ocean.

- Czy my, Dicku, jesteśmy bardzo oddaleni od brzegów? - zapytywała codziennie nie domyślająca się jeszcze niczego pani Weldon.

I Dick co dzień był zmuszony do dawania tej samej odpowiedzi:

- To, że nie jesteśmy już u brzegów Ameryki, jest dla mnie absolutnie niezrozumiałe. Według moich bowiem obliczeń, przebyliśmy już dawno tę odległość, jaka nas od lądu oddzielała.

- Może pomyliłeś się w obliczeniu szybkości, chłopcze?

- Nie, pani - z nietajoną troską w głosie odpowiadał Dick - z największą uwagą zawsze śledziłem dane, które nam dawał log. Instrument ten jest zresztą do tego stopnia prosty i łatwy w obsłudze, że zrobienie błędu przy jego zastosowaniu jest wprost niemożliwe. Ot, teraz właśnie zarzuca go stary Tom, sama się pani przekona o prawdziwości moich słów.

Głośny krzyk starego Murzyna nie pozwolił Dickowi na dokończenie zdania. W jego głosie brzmiał taki przestrach i żal, że młody kapitan pędem pobiegł ku niemu.

- Co się stało. Tomie? - zapytał drżącym głosem.

- Ach, kapitanie! Log, log! ... Lina się urwała... - zaledwie był zdolny wybełkotać przerażony Murzyn.

- Co? - zawołał Dick rozpaczliwie. - A więc i log straciliśmy bezpowrotnie?

Tom pokazał koniec liny, która pozostała w jego ręku.

Chmurnie marszcząc brwi, Dick zaczął oglądać ów oberwany koniec sznura. Miał pewność, że lina była nowa i bardzo mocna, gdyż specjalnie do tych celów była przygotowana. A jednak się zerwała i to w dodatku na samym początku? Zaczął się jej pilnie przyglądać i wtedy doszedł do wniosku, że sznur został rozmyślnie przecięty, a nie przetarty.

Fakt ten przypomniał Dickowi nieszczęście, które się zdarzyło z kompasem, w kajucie kapitana. Czyżby i tamten wypadek był spowodowany zbrodniczą ręką? Biedny chłopiec, przygnębiony opuścił głowę. Niczego nie rozumiał, niczego nie pojmował.

Odtąd Dick nie miał już możliwości obliczania szybkości, z jaką płynął statek i nie posiadał żadnego innego instrumentu oprócz busoli.

Biedak nie wiedział, że i ten ostatni przyrząd dawno już ta sama zbrodnicza ręka uszkodziła w ten sposób, że strzałka kompasu fałszywie wskazywała kierunek, co sprawiało, że ”Pilgrim” nie zmierzał do Ameryki, lecz płynął daleko od niej, równolegle do jej brzegów.

Nazajutrz barometr spadł do tego stopnia nagle i gwałtownie, że szybkie nadejście burzy było niewątpliwe. Mógł to być jeden z tych przerażających huraganów, jakie aż nazbyt często

zdarzają się na tym oceanie, przez ironię chyba nazywanym ”Spokojnym”.

By uniknąć zagłady, należało jak najszybciej usunąć resztę żagli, a nawet pospuszczać wszystkie reje. Momentalnie, ryzykując w każdej chwili upadek do morza, Dick, bez niczyjej pomocy, wdrapał się na reje i pozwijał żagle.

Po ciężkich zmaganiach udało mu się wykonać całą pracę, to znaczy zwinąć żagiel bocianiego gniazda oraz przedni, pozostawiając jedynie żagiel trójkątny i jeszcze jeden, pomocniczy.

Mimo to, ”Pilgrim” posuwał się z zawrotną szybkością, do tego stopnia wielka była siła wiatru. Dzięki swej doskonałej budowie, bryg był posłuszny naciskom steru i Dick miał pełną możliwość kierowania nim, zależnie od kierunku już ścierających się fal, które czasami wznosiły statek do wysokości najwyższych kościołów, to znów pogrążały go w niezgłębione, zdawało się z pozoru, przepaści.

W nocy barometr spadł jeszcze bardziej i Dick już się rzucił, by zwinąć wszystkie żagle, gdy gwałtowne uderzenie wiatru porwało je w strzępy.

Tym ostatnim zdarzeniem Dick przeraził się już ostatecznie. Przecież ląd mógł być blisko! W każdej więc chwili teraz mogli wpaść na podwodne skały, w które, jak wiedział, obfitują wybrzeża Chile i Peru.

By zapobiec groźnemu niebezpieczeństwu, Dick oddał ster Tomowi, sam zaś udał się na przód okrętu i przez lunetę począł badać fale, czy nie dojrzy na nich dużej ilości pian, które są zawsze zwiastunem podwodnych raf.

W tej samej chwili ukazał się na pomoście Negoro niosąc ranny posiłek składający się, jak zazwyczaj, z herbaty i sucharów. Gdy już porozdzielał pomiędzy wszystkich należne porcje, przystanął na moment na przedzie statku, gdzie nie było już w tej chwili Dicka, gdyż ten udał się właśnie na śniadanie do kajuty pani Weldon, i zaczął bystrym wzrokiem wpatrywać się w dal.

W pewnej chwili wyciągnął rękę w stronę północy, w mgłach której majaczyły jakby kontury skał, czy też gór dalekich…

Nikt jednak nie dojrzał tej wyciągniętej ręki Negora, nikt nie zwrócił uwagi na jego triumfujący uśmiech.

Nikt się nie dowiedział, co dojrzał Portugalczyk w oddali i co go tak bardzo ucieszyło.

# ROZDZIAŁ XII

## Ziemia!

Huragan tymczasem szalał z nieustającą prędkością. Wiatr pędził statek z szybkością 90 mil na godzinę. Podobny wiatr na lądzie jest zdolny do wyrywania z ziemi drzew z korzeniami, do obalania stuletnich dębów, do zrywania dachów z murowanych domów! ... Na Gwadelupie huragan podobny, dnia 23 czerwca 1825 roku, powyrywał z lawet dwudziestoczterofuntowe armaty. Jak bardzo jest więc dramatyczne położenie drobnego statku znajdującego się na oceanie w czasie trwania huraganu! Jedynym ratunkiem dla jednostki pływającej jest wówczas ciągły ruch. Doświadczeni marynarze doskonale zdają sobie z tego sprawę, toteż starają się zawsze wtedy ”iść przed burzą”, to znaczy: płynąć z wiatrem, z szybkością, o ile tylko jest to możliwe, największą. To może przynieść ocalenie. By statek był do tego zdolny, musi być doskonale zbudowany. Na szczęście ”Pilgrim” był właśnie takim statkiem.

Jak już była mowa, bryg płynął bez żagli od pierwszego uderzenia huraganu. Bez względu na to, płynął on i bez nich bardzo szybko.

Uciekającemu przed burzą statkowi grozi jednak duże niebezpieczeństwo. Mianowicie to, że fale płyną szybciej aniżeli on. Co chwila więc olbrzymie bałwany, wysokie jak ośmiopiętrowe domy, uderzają w ster i, o ile nie wyniosą statku w górę, zalewają go.

By uniknąć katastrofy, Dick rozkazał szczelnie pozamykać wszystkie drzwi, okienka kajut, najmniejsze nawet otwory i sam pozostał na pokładzie, rozkazawszy się uprzednio mocno przywiązać do kapitańskiej ławki.

Trzy dni i trzy noce huragan szalał bez przerwy. Przez ten czas Dick na jedną choćby minutę nie opuszczał kapitańskiej

budki. Wreszcie rankiem czwartego dnia, prawie nieprzytomny ze zmęczenia, poszedł na chwilę do swej kajuty, żeby rozgrzać się, osuszyć i choć trochę odpocząć.

Czyhający od dawna na sposobność Negoro, ukazał się na pokładzie gdy tylko Dick Sand zniknął za drzwiami swej kajuty; podszedł do starego Toma, zajmującego w tej chwili miejsce sternika i zaczął z nim rozmowę, nie zwracając uwagi na zalewające fale. W czasie rozmowy wpadł niby przypadkiem na Toma i razem z nim upadł na pokład; gdy zaś podnosił się, chwycił, niby bezwiednie, za skrzynkę z kompasem i wyjął zręcznie ukryty tam kawałek żelaza.

Stary Tom, padając, głośno krzyknął z przestrachu. Czujny Dick usłyszał to i momentalnie zjawił się na pokładzie.

- Co się stało? - zakrzyknął - Może z kompasem zdarzyło się znów jakieś nieszczęście?

Stary Tom uspokoił jednak młodego kapitana słowami:

- Nie, nie! Dzięki Bogu wszystko jest w porządku. To tylko fala rzuciła na mnie Negora i razem upadliśmy na ziemię. Ja zaś krzyknąłem, bo i ja się przeląkłem, by się busoli nie stało coś złego. Negoro wprawdzie przechylił nieco stolik, lecz szybko wrócił on do równowagi.

Gdy Dick to usłyszał, z zapartym oddechem rzucił się ku kompasowi, lecz na pierwszy rzut oka ocenił, że wszystko jest w najlepszym porządku.

To go uspokoiło, lecz z surowym wyrazem twarzy zwrócił się do Portugalczyka:

- Po co tu przyszedłeś?

- Tak sobie - zuchwale odpowiedział Negoro, wzruszając ramionami - i sądzę, że spacer po pokładzie nie jest nikomu zabroniony?

- Zabraniam ci zbliżać się do kapitańskiej budki i radzę trzymać się jak najdalej od kompasu!

Czy mnie zrozumiałeś, czy słyszysz?

- Słyszeć, słyszę, tylko słuchać bynajmniej nie mam zamiaru. Dick milcząc wyjął rewolwer zza pasa i wymierzył lufę w pierś pobladłego kucharza.

- Posłuchaj mnie, Negoro - powiedział młody chłopiec, najzupełniej spokojnie, bez emocji - jeżeli jeszcze raz ośmielisz się w podobny sposób mi odpowiedzieć, będzie to ostatnia chwila twego życia.

Dick nie zdołał dokończyć tych słów, gdy nagle ujrzał Portugalczyka na kolanach, u swych nóg.

Ciężka dłoń Herkulesa tak bardzo zaciążyła na ramionach Negora, że aż musiał uklęknąć.

- Kapitanie - przemówił olbrzym - czy rozkażesz, abym wrzucił do morza tego nędznika?

- Wstrzymaj się jeszcze, Herkulesie - odpowiedział Dick - pamiętaj jednak, Negoro, że przy pierwszym zuchwalstwie rozkażę rzucić cię w fale tak obojętnie, jakby to dotyczyło zdechłego psa.

- Pozwól mu powstać, Herkulesie - dokończył Dick Sand, zwracając się do olbrzyma.

Negoro powstał, a następnie odszedł bez słowa. Gdy był przy drzwiach swej kuchni, odwrócił się i nienawistnym wzrokiem obrzucił Dicka i Herkulesa, szepcząc do siebie: ”Poczekaj smarkaczu i ty, przeklęty Murzynie - porachujemy się jeszcze ze sobą.”

Dick po odejściu Portugalczyka jeszcze raz jak najstaranniej zbadał instrument i z radością przekonał się, że znajduje się on w jak najlepszym stanie. O zajściu z Negoro nie myślał dłużej, niepokój tylko jakiś, od woli niezależny, bezustannie podsuwał mu myśl, czy czasem ten ostatni wypadek nie miał jakiegoś związku ze zniszczeniem pierwszego kompasu? Lecz jaki cel mógłby mieć Negoro w niszczeniu przyrządów, od których zależało bezpieczeństwo wszystkich osób znajdujących się na statku, a więc i jego?

Tak mówił rozsądek. A jednak niepokój wciąż targał sercem Dicka.

Chcąc mieć pewność, że nie ma sobie nic do wyrzucenia, Dick Sand postanowił trzymać stale Dinga w budce kapitańskiej. Wtedy Negoro nie odważy się do niej zbliżyć. Na pewno!

Jeszcze cztery dni minęły w tym samym dusznym niepokoju, potęgowanym tym, iż siła huraganu nie słabła, ale zdarzały się godziny względnego spokoju, w czasie których wiatr przycichał i wygładzało się morze. Po jednej z takich przerw wicher ponownie uderzył z całą siłą, lecz zmienił nagle kierunek i pędzić zaczął ”Pilgrima” ku północy.

Oddalało to statek od Ameryki, ale Dick nic nie mógł na to poradzić nie mając żagli - był bezsilny.

Minął i dzień 25 marca, a nadal nie można było zauważyć najmniejszych śladów lądu. Statek pędził wciąż naprzód z szybkością wprost niewiarygodną. Cóż się więc stało z tym niedosięgłym lądem? … Czyżby Ameryka zapadła się nagle w morze? Dickowi czasami się zdawało, że stracił rozum, że oszaleje!

Czyżby płynął w złym kierunku? Ale to przecież było niemożliwe! Kompas najwyraźniej wskazywał, iż statek cały czas płynął nieprzerwanie na wschód. A płynął tak już całe dwa miesiące! I to z zawrotną chwilami szybkością. A więc już od dawna powinien był dotrzeć do lądu. Jakże więc wytłumaczyć to, że lądu nie było?

Biedny chłopiec chwytał się za głowę, uważając się chwilami za przeklętego przez jakiegoś demona!

Istotnie, statkiem kierował i rządził demon zła, lecz w ludzkiej postaci. Jeden Negoro, który stał właśnie w drzwiach swej kajuty i uśmiechał się szatańsko, patrząc na horyzont, był świadomy tego, z jakiego powodu igła kompasu tak długo mylnie wskazywała północ. On jeden znał prawdę.

Wreszcie, 26 marca, z piersi Herkulesa, który stał na straży, wydobył się radosny okrzyk ”Ziemia”!

Dick jednym skokiem znalazł się przy nim.

- Ziemia? … Gdzie? … Z której strony? … Czy się aby nie mylisz? … Bo ja niczego dojrzeć nie mogę!

Lecz Herkules z całą pewnością wyciągnął rękę w kierunku północno- wschodnim i powiedział:

- Tam, tam jest ziemia!

- A więc nareszcie! - zawołał Dick oddychając z ulgą. W tym samym momencie na pokładzie ukazała się pani Weldon, która niezmiennie zapominała o tym, że zostało jej zabronione wychodzenie na pomost w czasie trwania huraganu.

Gdy usłyszała słowo ”ziemia” aż pobladła ze wzruszenia.

- Tak jest, mamy przed sobą ląd - drżącym głosem powiedział Dick.

Młody kapitan od razu zdał sobie sprawę z tego, iż upragniona ziemia, od tak dawna oczekiwana, w warunkach, w jakich się do niej zbliżali, mogła się stać dla nich grobem. Gnany wichrem bryg leciał wprost na nią. Gdy się do tej upragnionej ziemi zbliży - cóż się stanie? ...

Po prostu rozbije się o jej brzeg skalisty.

Zjawienie się Negora na pokładzie przerwało te niewesołe myśli.

Portugalczyk nieśmiało, skurczony, skierował swe kroki ku przodowi okrętu, a gdy tam się znalazł, zaczął uważnie przyglądać się lądowi, coraz wyraźniej wyłaniającemu się z mgieł.

Patrzył długo, aż w końcu pokiwał głową, jak człowiek, który już zbadał niewiadome, który poznał prawdę, który wie, czego ma się trzymać. Następnie wymówił szeptem jakąś nazwę, której nikt, na nieszczęście, nie dosłyszał i wrócił do swej kajuty, nie powiedziawszy już ani jednego słowa. Upłynęły dwie godziny. I dziwna rzecz, ów ląd, który powinien być już zupełnie widoczny - zaczął jakby znikać! Nie mogło być dłużej wątpliwości. To nie był ląd stały, lecz tylko jakaś wyspa.

- Jakaż to mogła być wyspa? - zadał sobie Dick pytanie. - W pobliżu zachodnich brzegów Ameryki wysp żadnych przecież nie ma? Chociaż jest, prawda! Wyspa Wight-Hoo, tak mała, że tylko na bardzo dokładnych mapach jest zaznaczana.

O fakcie tym Dick zawiadomił natychmiast panią Weldon.

- Ależ Dicku - zrobiła wtedy uwagę pani Weldon - sam przecież przed tygodniem mówiłeś, że wyspę tę od dawna już mamy za sobą!

- Mogłem się mylić, pani.

- W jakiej odległości znajduje się ta wyspa od amerykańskich wybrzeży?

- W odległości 35 stopni, to znaczy około dwóch tysięcy mil.

- Boże miłosierny! - z przestrachem wykrzyknęła młoda kobieta. - Więc jesteśmy jeszcze tak daleko od Ameryki? A tacy pewni byliśmy, że dotarliśmy nieomal do jej brzegów!

- Pani - odpowiedział Dick, przesuwając ręką po czole - przyznam, że nie rozumiem, co się z nami dzieje. Wprost nie może mi się to pomieścić w głowie, w jaki sposób znajdować się możemy dopiero koło tej wyspy, jak przebyć mogliśmy tak niewielką część drogi? ... Jedno jedyne można znaleźć wytłumaczenie tego nieprawdopodobnego faktu, takie mianowicie, że busola źle nam wskazywała kierunek. Lecz i to jest wątpliwe, bo przecież rankami mieliśmy zawsze słońce przed sobą, to znaczy, że płynęliśmy stale w kierunku na wschód, zbaczając tylko nieco na południe. A i to również wziąć należy pod uwagę, że kompas jest zupełnie sprawny.

Więc nie rozumiem, pani, nic z tego wszystkiego. Dzięki tej wyspie niedawno napotkanej wiem z pewnością, gdzie się znajdujemy, to znaczy - dokąd nas burza zapędziła. Bo to była wyspa Wight- Hoo! Nie czuję się teraz zagubiony w tych nieogarniętych przestrzeniach wielkiego oceanu. Dzięki temu, że wysepkę tę spotkaliśmy na swej drodze, wiem, że teraz płyniemy w dobrym kierunku i że za jakieś dwanaście do piętnastu dni będziemy już na pewno w Ameryce, jeżeli tylko huragan się uciszy.

Huragan jednak szalał dalej z niesłabnącą siłą.

# ROZDZIAŁ XIII

## U BRZEGÓW

Na szczęście, w dniu 28 marca siła wiatru słabnąć zaczęła tak, że pod wieczór bezmiary morza przyjęły normalny swój wygląd. Kołysanie statku ustało.

Gdy tylko pani Weldon to zauważyła, wyszła natychmiast na pokład, by zmusić Dicka do udania się na spoczynek.

Lecz chłopiec, jak prawdziwy kapitan, nie chciał słyszeć o tym.

- Co - ja mam się wysypiać, gdy żagli nie mamy jeszcze na rejach? Nie pora myśleć teraz o spoczynku, lecz raczej gorączkowo wziąć się do pracy. A zresztą, czuję się zdrów i silny.

- Ani ja, ani mój mąż nigdy ci, Dicku, nie zapomnimy twego poświęcenia. Twa przytomność umysłu, roztropność, odwaga i energia, jakiej złożyłeś dowody, potwierdzają, że jesteś już mężczyzną. Toteż, jak tylko skończysz szkołę wyższą, otrzymasz nominację na kapitana jednego z okrętów Jakuba Weldona. A mówię ci to nie tylko w swoim imieniu, ale i mojego męża.

Twarz Dicka zaczerwieniła się i łzy zabłysły w jego oczach.

- O, pani Weldon - zawołał - jesteś zbyt dobra dla mnie.

- Dicku - odpowiedziała młoda kobieta poważnie - dotychczas był eś dzieckiem przybranym, odtąd będziesz naszym synem, który ocalił swą matkę i swego młodszego braciszka. Bo gdyby nie twoje bohaterskie wysiłki, huragan zatopiłby ”Pilgrima” na pewno. Ja pierwsza uznaję cię za syna i ściskam jako matka.

Po tej rozmowie dzielny chłopiec uczuł się bardzo pokrzepiony, spotęgowała się jego energia i moc ducha. Toteż natychmiast wziął się do umieszczania nowych żagli na rejach. Ciężka i trudna to była praca, lecz pod wieczór ”Pilgrim” znów płynął pod żaglami, jak na to pozwalał cichy i sprzyjający wiatr.

Szybkość statku zwiększyła się znacznie i dochodziła do 15 węzłów.

Z jaką bezmierną radością stanął wtedy Dick u rudla. Jego ”Pilgrim” nie był już bezwolną igraszką wichru i fal, lecz płynął pod żaglami we właściwym kierunku.

Po paru dniach pogoda jednak znów zmieniła się na gorsze. Barometr ponownie zaczął opadać, a siła wiatru się wzmogła.

Lęk ogarnął Dicka. Czyżby los kazał im przetrwać jeszcze jedną burzę?

Gwałtowność wiatru wzmagała się jednak bardzo powoli, fale również były o wiele mniejsze.

I tak minęło parę dni.

Aż dnia 6 kwietnia, Herkules, obdarzony z natury wyjątkowo dobrym wzrokiem, zawołał drżącym z radości głosem:

- Kapitanie, ziemia! Teraz już Amerykę mamy przed sobą na pewno!

Dick spojrzał. W dali widniało wybrzeże, lecz nadspodziewanie płaskie, bez śladu gór. Być może, iż mgły przysłaniały wysoki łańcuch Andów i z tej przyczyny nie było jeszcze widać szczytów.

”Pilgrim”płynął wprost ku lądowi, toteż rósł on w oczach. Wybrzeże wbrew nadziejom zdawało się być zupełnie pustynne, bez śladu ludzkich osad. Nie było również ani zatoki, ani ujścia rzeki, do której można by wpłynąć.

Co gorsza, okazało się, iż brzeg jest skalisty, poprzedzony licznymi rafami, o które z szumem rozbijały się fale. Z przyczyny niewystarczającej ilości żagli, Dick nie miał możliwości skierowania ”Pilgrima” na pełne morze, aby szukać dogodniejszego miejsca do przybicia, zwłaszcza, że wiatr z siłą wciąż wzrastającą pędził statek wprost na wybrzeże.

Nie było innego wyjścia. Trzeba było dopłynąć do lądu.

Dick długo się wpatrywał w ciągnący się nieprzerwanie rząd raf i skał wysoko w górę wystrzelających z morza, a następnie w milczeniu, z pochyloną głową, wrócił do steru, przy którym jego obecność była już niezbędna, ponieważ ”Pilgrim ”był od brzegu nie więcej niż o milę.

Pani Weldon, Janek i inni w milczeniu spoglądali na niegościnne wybrzeże, gdy wtem drgnęli wszyscy.

To Dingo zaczął wyć przejmująco.

- Co to ma znaczyć? - z przestrachem, instynktownie zniżając głos, zapytała pani Weldon - Dlaczego Dingo tak żałośnie i długo wyje, patrząc na ten brzeg? Czyżby był on już tutaj kiedykolwiek?

- Albo przeczuwa nieszczęście - zrobił uwagę stary Tom - pamięta pani, jak wył w chwili odjazdu kapitana Hulla? Zwierzęta więcej wiedzą od nas i niech nas Bóg ma w swej opiece.

Pani Weldon, po usłyszeniu słów tych uklękła i zaczęła się modlić.

Dingo wył nieprzerwanie.

W tej samej chwili i Negoro ukazał się na pokładzie. Lecz był zupełnie inny jak zazwyczaj.

Zamiast zuchwalstwa w jego oczach widniał niepokój. Był blady, zmieszany; wargi mu drżały.

- Spojrzyj, Tomie - szepnęła pani Weldon do ucha starego Murzyna, który najbliżej niej się znajdował. - Portugalczyk zdaje się również poznawać ten brzeg.

- O, gdyby Dingo mógł mówić! - odpowiedział również cicho stary Murzyn. - Mógłby on nam opowiedzieć bardzo wiele o tym człowieku.

Dingo przestał wyć, jakby wyczerpany bólem. Ucichł, a następnie się odwrócił, chcąc najwidoczniej udać się na swe zwykłe legowisko.

Wtem oczy nabiegły mu krwią. Wściekły ryk wydarł mu się z gardła i jak oszalały rzucił się w stronę Negora, lecz ten momentalnie znikł za drzwiami swej kuchni, od których na szczęście się nie oddalał, gdyż inaczej rozjuszony pies rozszarpałby go chyba.

Podczas tego wydarzenia na przedzie okrętu, Dick w swej budce kapitańskiej wytężał wzrok, żeby znaleźć jakąś lukę pomiędzy rafami, która dałaby mu możliwość pomyślnego dotarcia do brzegu. Lecz rafy wyłaniały się z morza jedna po

drugiej. Stawało się pewne, że statku nie da się uratować, należało więc jedynie myśleć o tym, aby choć jego pasażerowie zostali ocaleni.

Gdy piętnastoletni kapitan podobnie gorzkimi myślami zatruwał swą duszę, zbliżyła się do niego pani Weldon. Wtedy Dick postanowił powiedzieć jej wszystko.

- Nim upłynie pół godziny, pani, statek wpadnie na te skały i już na nich pozostanie rozbity.

Nam jednak nic złego się nie stanie, ponieważ i bez statku zdołamy się łatwo wydostać na brzeg.

”Pilgrima” Bóg nie pozwolił mi ocalić, niestety.

- Chłopcze! Wiem przecież - odpowiedziała pełnym serdeczności głosem pani Weldon - iż uczyniłeś wszystko, co tylko było możliwe. Nie martw się więc i może dobry Bóg ocali nas jeszcze.

Młoda kobieta, mówiąc to, była bardzo blada i konwulsyjnie przyciskała Janka do piersi.

Poznała całą grozę położenia, lecz mimo to głos miała spokojny. Nieustraszenie patrzyła w oczy niebezpieczeństwu, przygotowana na wszystko.

- A teraz, Dicku - odezwała się po chwili - wydaj rozkazy: co mamy robić, by ci nie utrudniać ratunku?

- Rozkazuj, kapitanie Sand - zawołali chórem Murzyni - jesteśmy na śmierć gotowi, byle tylko uratować dobrą panią i jej synka.

Dick z wyjątkową przytomnością umysłu zaczął wydawać rozkazy. Przede wszystkim pani Weldon, Janek, kuzyn Benedykt i Noon włożyli na siebie kapokowe kamizelki, a Herkules miał czuwać nad bezpieczeństwem pani Weldon i Janka. Pozostali Murzyni wszyscy zręczni pływacy, mieli włożyć pasy dopiero wtedy, gdy statek zbliży się do brzegu i trzeba będzie skoczyć do wody, aby przenieść niezbędne rzeczy. Nie upłynęło pół godziny, a wszystko to było zrobione. I to był czas najwyższy. Złowróżbna bowiem linia raf zbliżała się z szaloną szybkością. Szum rozbijających się fal już zagłuszał słowa komendy, gdy Dick rzucił ostatni rozkaz wyniesienia na pokład kilku beczek z

tranem. Tłuszcz ten miał uspokoić, w razie potrzeby, wzburzone fale.

Gdy wszystkie przygotowania zostały już zakończone, Dick miał znów możliwość zwrócenia baczniejszej uwagi na ster. ”Pilgrim ”w tym momencie dopływał właśnie do linii raf, o które w każdej chwili uderzyć mógł spód brygu.

W ostatniej sekundzie Dick ujrzał wąski przesmyk pomiędzy skałami. Bez chwili namysłu skierował tam statek. Lecz w tym miejscu morze wprost szalało, zamknięte między dwiema ścianami skalnymi.

- Rozbić beczki, prędko! - wydał rozkaz Dick.

Pod ciężarem obficie spływającego tłuszczu morze uspokoiło się nagle jakby zaklęte i bryg, ocierając się o skały, nie uwiązł w nich, lecz jakby je przeskoczył.

- Jesteśmy uratowani! - zdołała wymówić pani Weldon, której wzruszenie odebrało oddech i wstrzymało obieg krwi.

Statek rozbił się wprawdzie następnie o skały nadbrzeżne, lecz stało się to już poza linią odmętów i wirów, na spokojnej stosunkowo wodzie, o paręset zaledwie kroków od suchego brzegu.

Statek był stracony, lecz cała załoga i pasażerowie wyszli cało z katastrofy.

Po 73 dniach podróżowania znaleźli się oni wreszcie na stałym lądzie i gorąco zaczęli dziękować Bogu, że ich wyprowadził z morskich odmętów.

# ROZDZIAŁ XIV

## Co dalej?

Jakie by nie było położenie naszych podróżników, mogli być wdzięczni niebiosom za to, że rozbicie statku miało miejsce tak blisko brzegu, a także, iż ląd ten był Ameryką, skąd prędzej czy później będą się mogli łatwo dostać do San Francisco.

Co do ”Pilgrima ”, to o jego uratowaniu nie mogło być mowy. A zresztą, za parę dni rozniosą go fale, jego kadłub był bowiem całkiem strzaskany.

Dalszymi losami gromadki, jego opiece powierzonej, Dick nie martwił się zbytnio.

Przypuszczalnie znajdowali się oni na wybrzeżach Peru, toteż zdawało się być pewne, iż w krótkim czasie dojdą do siedzib ludzkich, gdzie znajdą pomoc, która da im możliwość dalszej podróży.

Na razie znajdowali się w miejscu zupełnie pustynnym. Była to piaszczysta równina, usiana licznymi skalami i pełna rozpadlin, w odległości paru kilometrów widniał las, a na północy, o dwa, trzy kilometry od miejsca katastrofy toczyła swe wody jakaś mała rzeczka, nad brzegami której rosły nieznane im drzewa, podobne nieco do platanów. Gór nie było widać, lecz Dick tłumaczył to sobie faktem, że las rósł na wzniesieniu, a więc zasłaniał gęstwiną swych drzew łańcuch górski.

Wszędzie nad brzegiem unosiły się stada najrozmaitszego ptactwa, roślinność również była bardzo bujna i bogata, nigdzie natomiast nie było widać najmniejszego choćby śladu ludzkich siedlisk. Nigdzie słupy dymu nie wznosiły się w powietrze, słowem nic nie wskazywało na to, aby ta część lądu była zamieszkana.

Dick patrzył na to wszystko z wciąż narastającym zdumieniem, nie bez trwogi pytając siebie, dokąd to, w jakie miejsce rzucił ich kaprys wichrów i fal?

Tego, że nigdzie nie było ludzkich siedzib, dowodziło również zachowanie się Dinga. Gdyby ludzie znajdowali się w pobliżu, pies na pewno dałby znać o tym głośnym szczekaniem. Dingo natomiast, po wydostaniu się na brzeg, ani razu jeszcze nie wydobył z siebie głosu, biegał jedynie na wszystkie strony jak oszalały, jakby w poszukiwaniu czegoś, czy kogoś; to znów z łbem opuszczonym zdawał się węszyć jakieś ślady, przy czym chwilami skomlał cicho, nieomal niedosłyszalnie.

- Co się temu psu stało, spojrzyj no, Dicku? - ze zdziwieniem zapytała pani Weldon.

- Mam wrażenie, jakby pies ten odnajdywał jakieś dawne ślady. Można by przypuszczać, że Dingo już kiedyś był tutaj - odpowiedział chłopiec, który od dłuższego już czasu nie spuszczał wzroku z psa.

- Pies robi zupełnie to samo, co Negoro - niespodziewanie odezwał się stary Tom, wskazując ręką na północ w stronę rzeczki - niech pan spojrzy, kapitanie, przecież Negoro najwyraźniej bada starannie brzeg strumienia, jakby na nim czegoś szukał.

- Chyba masz słuszność, Tomie - odpowiedział Dick Sand w głębokim zamyśleniu. - O, gdybyśmy mogli znać myśli tego człowieka!

- Cóż w tym trudnego, kapitanie? - odezwał się Herkules - Rozkaż tylko, a można by go bez większego trudu zmusić do mówienia.

Lecz Dick pokręcił głową, a następnie powiedział:

- Nie, nie, Herkulesie, uciekać się do takich czynów nie mamy żadnego prawa. Nie mieliśmy go nawet na statku, a cóż dopiero tutaj, na lądzie, na którym Negoro jest już zupełnie swobodny, nie skrępowany żadnymi zobowiązaniami. Od tej chwili jest wolny i wolno mu robić, co tylko chce.

A Portugalczyk znał niewątpliwie to swoje prawa. Gdy tylko wydostał się na brzeg, oddalił się natychmiast od reszty

rozbitków, bez jednego słowa usprawiedliwienia, bez zapytania, czy może odejść.

Wkrótce przestano o nim myśleć, zwłaszcza, iż rozbitkowie mieli ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim znaleźć należało jakieś schronienie na noc. Pozostanie na brzegu było niebezpieczne. Ponadto Murzyni zajęci byli wyławianiem sprzętów, które wyrzucały fale z rozbitego ”Pilgrima”.

W ten sposób na brzeg dostały się skrzynie z konserwami, z sucharami i innymi zapasami, tak iż o żywność troszczyć się nie było potrzeby. Herkules przyniósł następnie parę galonów wody z rzeczki. Co zaś dotyczy schronienia, to małemu Jankowi udało się je znaleźć. Była to pieczara, przed wiekami wyżłobiona przez fale morza.

Istotnie grota ta znakomicie nadawała się na schronienie, była bardzo obszerna i zupełnie sucha.

Było już pod wieczór, toteż wszyscy bardzo szybko znaleźli się w grocie, w której Baty z Austynem rozpalili ogień, przy którym Noon przygotowała w krótkim czasie gorący posiłek, który wszyscy zjedli z wielkim apetytem.

W czasie tej zaimprowizowanej wieczerzy przy wejściu do pieczary ukazał się Negoro, który mimo samodzielności uznał najwidoczniej za korzystne dla siebie wziąć udział w posiłku przez innych przygotowanym.

Sam nie brał udziału w rozmowie, natomiast z uwagą przysłuchiwał się wszystkiemu, o czym mówiono.

Przede wszystkim pani Weldon podziękowała Dickowi za jego dotychczasowe trudy, mówiąc, iż tylko dzięki niemu nie spoczywają teraz na dnie oceanu, zaś zakończyła swą przemowę słowami:

- Byłeś naszym kapitanem na statku, Dicku, bądź i teraz naszym nie tylko przywódcą, ale i opiekunem, naszym zbawcą.

- Hurra, niech żyje nasz wódz i opiekun, kapitan Dick Sand! - zawołali jednym głosem Murzyni, powstając z entuzjazmem ze swych miejsc.

- A więc - mówiła dalej pani Weldon - jesteś naszym wodzem, Dicku, rozkazuj nam, kieruj i radź, co mamy robić, aby się

wydobyć z naszego trudnego położenia.

Oczy wszystkich zwróciły się wtedy na pobladłą twarz młodego dowódcy. Nawet Negoro nie spuszczał z niego wzroku.

Dick, wzruszony dowodami uznania, po dłuższej chwili namysłu odpowiedział z wolna:

- Dziękuję ci, droga, przybrana matko, za zaufanie jakim mnie niezasłużenie obdarzasz. I wam dziękuję, przyjaciele moi. Co zaś dotyczy naszego położenia, to przede wszystkim zastanowić by się należało nad tym, gdzie się w obecnej chwili znajdujemy? Otóż ja przypuszczam, że statek nasz rozbił się na wybrzeżach Peru, lecz zastrzegam się, iż jest to mój osobisty sąd, który może okazać się błędny. Zaś te moje przypuszczenia opieram na tym, iż nadbrzeżna linia Peru jest właśnie pustynna, niezamieszkała. Ciągnie się na bardzo długiej przestrzeni; dotarcie więc do ludzkich siedzib może okazać się nie takie łatwe.

- Cóż więc mamy teraz zrobić, jak sobie radzić? - zapytała pani Weldon - Nie powinniśmy przecież oczekiwać tutaj nadejścia pomocy, która może nigdy nie nadejść.

- Otóż to - rzekł Dick - nie możemy tutaj czekać, to znaczy: musimy udać się w podróż. I to w podróż bardzo uciążliwą a być może i bardzo daleką. Musimy się do niej przygotować.

Niezbędne są dla nas zapasy żywności, narzędzia, broń. By to wszystko zdobyć, musimy raz jeszcze udać się na statek, by zabrać zeń wszystko, co może być nam przydatne.

Ta rada wydała się zebranym doskonała, toteż wszyscy Murzyni pod przewodnictwem Dicka, nie bacząc na noc, udali się na statek, do którego dostać się było można suchą nogą. Gdy cała gromadka dostała się na pokład, od razu przekonała się, że część ładunku, znajdującego się na przedzie okrętu, porwały już fale, jednak reszta nie została jeszcze zalana wodą i była w dobrym stanie. Zabrano przede wszystkim broń, wśród której znalazły się dwa dalekonośne karabiny, kilka dubeltówek i parę rewolwerów. Proch i naboje znajdujące się w kajucie kapitana Hulla, zachowały się w najlepszym stanie. Zabrano wystarczającą ilość żywności, trochę bielizny i parę ciepłych

pledów dla pani Weldon i jej synka. Wzięto potrzebną ilość siekier i długich myśliwskich noży.

Gdy już mieli opuścić statek, Dick przypomniał sobie polecenie pani Weldon zabrania z podręcznej szkatułki znajdujących się tam pieniędzy i kosztowności. Nie znalazł ich jednak. Kto mógł zabrać złoto i brylanty? Na Murzynów podejrzenie paść nie mogło, z tej choćby przyczyny, iż ani jeden z nich nie odłączał się na moment od reszty. Uczynić to mógł jedynie Negoro. Fakt ten do tego stopnia wzburzył Dicka, iż chciał już wydać Herkulesowi rozkaz pochwycenia Portugalczyka, rozwaga jednak nie pozwoliła mu tego zrobić. Jeżeli Negoro był złodziejem, to przecież nie nosi swego łupu przy sobie, lecz na pewno zdążył go już zakopać. Winy nie można mu więc udowodnić.

I tak Portugalczykowi kradzież uszła na sucho, gdyż i pani Weldon zgodziła się z Dickiem, iż nie można oskarżać nikogo, nie mając w ręku dowodów winy.

Zresztą Negora karać byłoby już bardzo trudno, ponieważ zniknął bez śladu i na noc nie powrócił. Nazajutrz, po doskonale przespanej nocy, Dick wyszedłszy z groty ze smutkiem stwierdził, że w czasie przypływu fale uniosły ”Pilgrima” w górę, a następnie rozbiły go o skały, tak że tylko pływające po morzu szczątki świadczyły o niedawnym istnieniu pięknego statku.

# ROZDZIAŁ XV

## Mr Harris

Gdy były kapitan ”Pilgrima” przyglądał się szczątkom swego brygu, nagle omal go nie przewrócił Dingo, który z głośnym szczekaniem pędził jak szalony ku rzece.

- Oho! - zawołał Dick. - Mamy coś nowego. Nie ma wątpliwości, iż przy ujściu tej rzeczki znajduje się człowiek. I nie Negoro, bo pies ujadałby wtedy zajadlej. Trzeba będzie pójść za nim.

- Hej! ... Baty, Akteonie i Herkulesie - zawołał głośno, zwracając się w stronę groty - weźcie broń, mnie również podajcie karabin i chodźcie za mną.

Dick podszedł jeszcze do groty, aby powiedzieć pani Weldon z jakiego powodu odchodzi, a następnie na czele swego oddziału pospieszył ku rzece, kierując się głosem Dinga.

Gdy doszli, ujrzeli brytana ze zjeżoną sierścią, szczekającego bezustannie bez specjalnej jednak nienawiści.

W odległości kilkudziesięciu kroków stał jakiś człowiek, Europejczyk, lecz niepodobny zupełnie do Portugalczyka.

Dick zaczął przypatrywać się nieznajomemu. Stał on nieruchomo, przestraszony nieco, a nawet mocno zdziwiony widokiem przybyłych. W ręku miał broń gotową do strzału.

Gdy jednak usłyszał przyjazne okrzyki Dicka i Murzynów, zarzucił broń na ramię i również przesłał kapeluszem znak powitania.

Był to mężczyzna lat około czterdziestu, mocno opalony, na jego pełnej twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Potężna łysina wskazywała, iż był to człowiek w sile wieku. Poza tym jego postać charakteryzowała się siłą i zręcznością. Z rudawych włosów Dick wywnioskował, iż był to prawdopodobnie Anglik lub Amerykanin.

Gdy nieznajomy zbliżył się do Dicka, przemówił pierwszy po angielsku z niezwykle przyjaznym uśmiechem:

- Pozdrawiam was na amerykańskiej ziemi i mam nadzieję, że jesteście Amerykanami?

- Tak jest, urodziliśmy się w Ameryce - odpowiedział Dick.

- Jesteście zapewne mieszkańcami Ameryki Południowej? - pytał dalej nieznajomy uprzejmym tonem, jakby przepraszając za swą ciekawość.

- Nie, panie, jesteśmy obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej - odpowiedział chłopiec. - Nazywam się Richard Sand i pochodzę z Nowego Jorku.

Nieznajomy ucieszył się z tej odpowiedzi i serdecznie wyciągnął dłoń, którą Dick przyjął grzecznie, lecz bez wylewności.

- Muszę przyznać, iż jest to dla mnie niezwykle miłe spotkanie. Któż mógłby się spodziewać znaleźć rodaka w takiej pustyni! Zechciej mi opowiedzieć, mój młody przyjacielu, co za niezwykłe losy sprowadzić cię mogły te pustkowia?

W tejże chwili ku rozmawiającym zbliżyła się pani Weldon, na widok której nieznajomy z galanterią zdjął kapelusz, składając przybyłej głęboki ukłon.

- Statek nasz rozbił się o nadbrzeżne skały i byliśmy zmuszeni do wylądowania na tym pustynnym brzegu.

Na twarzy nieznajomego odbiły się wyraźnie uczucia bólu i współczucia, zaś jego wzrok pobiegł w dal, ku morskiemu brzegowi, jakby pragnął zobaczyć ślady katastrofy, o której przed chwilą się dowiedział.

Młoda kobieta domyśliła się znaczenia tego spojrzenia i odpowiedziała nań ze smutnym uśmiechem:

- Niestety, po naszym statku nie ma już śladu. Dzisiejszej nocy fale przypływu rozniosły jego szczątki. Wybrzeża tej krainy okazały się dla nas bardzo niegościnne.

- Jej nazwę próżno staramy się odgadnąć - wtrącił zręcznie do rozmowy pytanie Dick Sand.

Nieznajomy ze zdziwieniem spojrzał na młodzieńca.

- Jesteście państwo na wybrzeżach Ameryki Południowej. Jak mogliście nie wiedzieć o tym?

- Że jesteśmy w Ameryce, wiedzieliśmy sami - odpowiedział z małą urazą w głosie Dick - przypuszczaliśmy nawet, że burza wyrzuciła nas na brzegi Peru... Czy tak jest istotnie?

- Niezupełnie, mój młody przyjacielu. Peru znajduje się nieco bardziej na północ. Znajdujecie się w Boliwii.

- Czy to możliwe? - zawołał Dick ze zdziwieniem.

- A nawet w południowej Boliwii - spokojnym głosem uzupełnił daną informację nieznajomy - w pobliżu Chile.

- W takim razie jak się nazywa ta zatoka? - zapytał Dick, ręką wskazując na morze.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć, mój młody przyjacielu, a to z tej przyczyny, że po raz pierwszy jestem nad brzegami morza w tej okolicy, aczkolwiek środek kraju znam dosyć dobrze.

Dick z uwagą zaczął rozmyślać nad słowami nieznajomego. Zgadzały się one w gruncie rzeczy z jego obliczeniami. Zamiast pod 27 lub 35 stopniem szerokości, znajdowali się pod 25.

Drobna to była omyłka. Wątpić w prawdę słów obcego mężczyzny nie było najmniejszej przyczyny, tym bardziej, iż tłumaczyły one w sposób oczywisty pustynność wybrzeża. Boliwia w ogóle jest krajem bardzo słabo zaludnionym, na południu zwłaszcza, z powodu swego bardzo niezdrowego klimatu, a także dzięki niedostępności swych brzegów, usianych rafami i skałami.

Po zastanowieniu się nad tymi faktami, Dick zwrócił się do nieznajomego z zapytaniem:

- Sądząc ze słów pańskich, jesteśmy więc bardzo daleko od Limy?

- Oczywiście. Lima znajduje się dość daleko stąd, na północy. Ot, należałoby iść do niej w tym kierunku.

I nieznajomy ręką wskazał las, dając do zrozumienia, iż przezeń właśnie wiedzie droga do Limy.

Pani Weldon uważnie śledząca każdy ruch nieznajomego i ważąca każde słowo, ze względu na zniknięcie Negora, musiała przyznać, iż absolutnie nic nie upoważnia jej do podejrzeń.

Odpowiedzi nieznajomego były jasne, proste, szczere, nacechowane nawet pewną życzliwością.

- Wybaczyć mi pan zechce me niewłaściwe, być może, zapytanie - odezwała się wreszcie - lecz mam wrażenie, że pan nie jest stałym mieszkańcem tego kraju?

- Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, tak samo jak i państwo. Nazywam się William Harris - odpowiedział Amerykanin, kłaniając się nisko.

- Ja zaś jestem żoną znanego w San Francisco właściciela statków, Jakuba Weldona - odpowiedziała młoda kobieta uprzejmie, wyciągając ku nieznajomemu swą drobną, nieco opaloną dłoń.

- Od bardzo dawna nie byłem już w swej ojczyźnie - ciągnął dalej rozmowę Amerykanin - urodziłem się w Filadelfii, lecz przed dwudziestu laty przesiedliłem się do Boliwii, ze względu na rodzinę, która tutaj się znajduje.

- I mieszka pan już tutaj stale?

- Nie, pani. Mój dom znajduje się o wiele dalej na południe, na samej granicy Chile. W obecnej chwili udaję się w kierunku znajdującej się na północnym wschodzie Atakamy.

- Czyżbyśmy się znajdowali na granicach tej pustyni? - zapytał z niepokojem Dick.

- Tak jest, mój młody przyjacielu. Równina, albo jeżeli chcecie tak ją nazwać, pustynia Atakama, rozpoczyna się tym lasem, kończy się zaś łańcuchem gór, które zamykają horyzont.

Jest to okolica bardzo ciekawa, a jednocześnie bardzo mało znana.

- I pan, panie Harris, sam odbywasz tę podróż? - zainteresowała się pani Weldon - myślę, że nie jest to zbyt bezpieczne, z tej choćby przyczyny, że samotny człowiek może przecież łatwo zabłądzić.

- O, ja nie po raz pierwszy będę się znajdować w tym lesie. Oprócz tego o jakieś 200 mil stąd w kierunku północnym znajduje się farma San Felice, należąca do mego brata, do którego się udaję w sprawach rodzinnych. Jeżeli państwo zechcieliby przyjąć mnie do swego towarzystwa - o ile macie

zamiar udać się do Limy - to moglibyśmy odbyć część drogi razem.

Ręczę, iż bylibyście przyjęci przez mego brata jak najgościnniej; ponadto moglibyście uzyskać tam pomoc, która pozwoliłaby wam na odbywanie dalszej podróży w warunkach wygodniejszych i gwarantujących wszelkie bezpieczeństwo.

Tak bardzo uprzejme zaproszenie chwyciło za serce panią Weldon, która zaczęła serdecznie dziękować.

Amerykanin podziękowania te przyjął w uprzejmym milczeniu, a chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał obojętnie:

- Ci czarni, to niewolnicy państwa zapewne?

- W Stanach Zjednoczonych niewolnictwo zostało zniesione. Czyżby pan o tym nie wiedział? - z pośpiechem odpowiedziała pani Weldon, chcąc zatrzeć przykrość, jaką pytanie Amerykanina musiało sprawić Herkulesowi i jego towarzyszom.

Pan Harris naprzód chłodnym okiem spojrzał na Murzynów, a następnie ozięble odpowiedział:

- Ach, prawda! ... Zapomniałem, że wojna w 1862 roku rozwiązała tę sprawę na niekorzyść białej rasy!

- Ale my ciągle stoimy w lesie, a przecież mamy tutaj swe apartamenty, do których najuprzejmiej zapraszamy pana - z wesołym uśmiechem odezwała się pani Weldon.

Pan Harris zaproszenie to przyjął w milczeniu, dziękując za nie ukłonem. W czasie powrotnej drogi Dick głęboko zastanawiał się nad propozycją Amerykanina i odbyciem wspólnej podróży do farmy San Felice. Udanie się w głąb kontynentu, aby w ten sposób dotrzeć do ludzkich siedzib, było nieodzowne, lecz podróż zapowiadała się nie najlepiej; wszystko wskazywało, iż będzie ona długa i bardzo uciążliwa. Dick wahał się, czy wolno mu narażać panią Weldon i jej małego synka na podobne trudy? ... Czy nie lepiej by było, ażeby w podróż udał się on sam w towarzystwie jedynie Baty'ego na przykład, pozostawiając panią Weldon pod opieką starego Toma i potężnego Herkulesa?

Postanowił te wszystkie wątpliwości wyjawić nowemu znajomemu i poprosić go o radę. Ale pan Harris uspokoił go całkowicie.

- Istotnie - mówił - droga do Limy, a nawet i do farmy San Felice jest długa i dosyć uciążliwa, bo przecież przechodzić będziemy przez puszczę nieomal dziewiczą. Pani Weldon może korzystać z mojego konia, którego pozostawiłem nad rzeczką, a którego oddaję jak najchętniej do dyspozycji mojej rodaczce i jej małemu synkowi. Co zaś do odległości, to idąc brzegami rzeczki, przy której się spotkaliśmy, mielibyśmy istotnie 200 mil do zrobienia; jeżeli jednak pójdziemy wprost przez las, to skrócimy sobie znacznie drogę, o połowę przynajmniej, tak, iż robiąc po dziesięć mil dziennie - 16 kilometrów, co nikogo zmęczyć zbytnio nie może, dotarlibyśmy do San Felice po upływie jakiegoś tygodnia. I jeżeli państwo macie wystarczające zapasy żywności, to możemy śmiało choćby dziś jeszcze wyruszyć. Prowiant, który ja mam ze sobą, wystarczy dla jednego zaledwie człowieka.

- O, żywności mamy dosyć i chętnie podzielilibyśmy się nią z panem w razie potrzeby - odpowiedziała pani Weldon.

- W takim razie i ta ostatnia trudność już nie istnieje wesoło powiedział Amerykanin - i moim zdaniem zrobilibyśmy bardzo dobrze, gdybyśmy wyruszyli w drogę natychmiast, nie tracąc czasu.

Dick wciąż miał jednak pewne wątpliwości. Jako marynarzowi, ciężko było mu rozstawać się z morzem, perspektywa zagłębienia się w nieznany las niezbyt mu się uśmiechała. Swe wahania wyraził on w całej serii pytań, z którymi zwrócił się do pana Harrisa.

- Niech mi pan zechce powiedzieć czy nie byłoby rozsądniej, byśmy, zapominając o Limie, udali się brzegami morza do pierwszego lepszego nadmorskiego miasta? Trudności podróży są wszędzie mniej więcej takie same, droga brzegiem z wielu względów wydaje się mi nie tylko bardziej racjonalna, lecz nade wszystko bezpieczniejsza.

Harris, gdy usłyszał te słowa, nachmurzył się, niczym jednak nie pokazał, że uwagi chłopca nie przypadają mu do gustu, co wyraziło się w jego odpowiedzi.

- Bardzo możliwe, iż słuszność byłaby po pana stronie, gdyby nie okoliczność, że najbliższe portowe miasto znajduje się w odległości 600 mil.

- A czy nie moglibyśmy tutaj doczekać nadpłynięcia jakiegoś statku linii, które obsługują wybrzeża Peru, Boliwii i Chile? Niechby to była choćby mała łódź rybacka.

Harris, usłyszawszy to pytanie, uśmiechnął się tylko, a potem odpowiedział:

- Czyżby pan nie zauważył, do jakiego stopnia brzegi tego morza są niegościnne? Wszystkie statki trzymają się, o ile to możliwe, jak najdalej od nich. A i pan, mój młody przyjacielu, czy spotkał choć jeden statek w czasie swej podróży?

Dick Sand ze smutkiem opuścił głowę.

- A więc decyzja zapadła - rozstrzygnęła wątpliwości Dicka pani Weldon - przyjmujemy pańską pomoc, panie Harris i z góry za nią dziękujemy.

- Pozwolę sobie w takim razie doradzić, byśmy wyruszyli w podróż jeszcze dziś; w początkach kwietnia bowiem rozpoczyna się tutaj pora deszczowa, w czasie której podróżowanie jest bardzo trudne.

- W takim razie trzeba zająć się przygotowaniami - powiedział Dick Sand energicznie.

- Hej, towarzysze - zawołał, zwracając się do Murzynów - musimy się przygotować do drogi.

Trzeba będzie zabrać wszystkie potrzebne przedmioty oraz zapasy żywności, a następnie podzielić to wszystko tak, by każdy z nas miał coś do niesienia.

- Panie Sand - odezwał się Herkules - niech mi pan pozwoli, bym ja poniósł wszystko.

- Nie, nie mogę się na to zgodzić, poczciwy Herkulesie, byłoby to niesprawiedliwe, by jeden z nas tylko uginał się pod nadmiernym ciężarem, inni zaś szli swobodnie.

- No, tego kolosa nie tak łatwo byłoby zamęczyć pracą - zauważył Harris, obrzucając młodego atletę chciwym spojrzeniem - drogo zapłacono by za ciebie na afrykańskich targach!

- Nie jestem na sprzedaż - odparł mrukliwie Murzyn.

Gdy zostało zdecydowane, że zapasów wziąć należy tyle tylko, by starczyło ich na dwanaście dni, pani Weldon zaprosiła Harrisa na śniadanie.

- Uprzejmie dziękuję za łaskawe zaproszenie i przyjmuję je chętnie - odpowiedział Amerykanin - lecz pozwolą mi państwo, iż przedtem przyprowadzę tutaj mego konia?

- Czy pan pozwoli, bym mu towarzyszył? - zapytał Dick.

- Ależ z największą przyjemnością, mój młody przyjacielu. Przy sposobności pokażę ci kierunek, w jakim płynie widziana przez nas rzeczka.

Gdy para nowych znajomych udała się w niedaleką drogę, pani Weldon pośpieszyła do groty, ażeby pomóc Noon w przygotowaniu śniadania, które pragnęła uczynić, o ile to możliwe, najwspanialszym. Wydobyła najsmakowitsze konserwy i wkrótce zapach gotowanej szynki i aromatycznej kawy w najlepszym gatunku wypełniły całą grotę.

W tym czasie Harris i Dick zapuścili się w las, w którym znaleźli przywiązanego do drzewa konia.

W powrotnej drodze Dickowi przyszła do głowy myśl zadać Amerykaninowi pytanie, którego ten z pewnością się nie spodziewał:

- Niech mi pan wybaczy to pytanie, panie Harris; czy nie spotkał pan kiedykolwiek w swych podróżach Portugalczyka imieniem Negoro?

- Negoro? - zapytał Amerykanin, z miną człowieka kompletnie zaskoczonego. - A któż to taki?

- Był on naszym kucharzem na statku - powiedział Dick, nie spuszczając wzroku z nieznajomego - uratował się razem z nami, a następnie przepadł nie wiadomo gdzie.

- Może utonął, biedaczysko? - dobrodusznie zapytał Harris, udając, że nie zauważył badawczego spojrzenia chłopca.

- Nie, nie utonął, mogę to stwierdzić z całą pewnością, gdyż cały wczorajszy wieczór spędził on w grocie wraz z nami. Następnie znikł. Więc pomyślałem, że może pan go spotkał nad brzegami tej rzeczki.

- Nie spotkałem nikogo. Jeżeli jednak ten wasz kucharz, jak pan przypuszcza, udał się istotnie do lasu, to go może, błąkającego się, gdzieś spotkamy?

- Możliwe - odpowiedział zamyślony Dick, uspokojony widocznie jasnymi odpowiedziami Amerykanina.

Ze śniadaniem, które mówiąc nawiasem było wyborne, załatwiono się bardzo prędko i jeszcze przed południem karawana ruszyła w drogę.

# ROZDZIAŁ XVI

## W DRODZE

Nie bez trwogi zagłębiał się wódz wyprawy w leśne ostępy. Jakieś smutne przeczucia targały jego sercem. Pani Weldon natomiast, wprost przeciwnie, była w doskonałym humorze. W ten pogodny stan ducha wprawiły ją dwie udzielone przez Harrisa informacje: po pierwsze, iż w okolicach tych nie ma powodu obawiać się krajowców jak również dzikich zwierząt, a po drugie, że w bardzo krótkim czasie dotrą wszyscy do miejsc zamieszkałych przez ludzi.

Mała gromadka wędrowców szła w następującej kolejności: na czele kroczył Harris, jako przewodnik, w towarzystwie Dicka, obydwaj dobrze uzbrojeni; za nimi podążali Baty i Austyn, zbrojni w dubeltówki i noże myśliwskie. Za tą przednią strażą jechała konno pani Weldon z synkiem, mając przy swym boku z jednej strony starego Toma, zaś z drugiej wierną Noon.

Pochód zamykali: Akteon, z dubeltówką w każdej chwili do strzału gotową, i Herkules, z olbrzymią maczugą w dłoniach i rewolwerem za pasem.

Wiemy Dingo biegał luzem, tak samo kuzyn Benedykt, którego nie można było zmusić, aby trzymał się porządku. Z pudełkiem na ramieniu, siatką w ręku i z pokaźnej wielkości lupą zawieszoną na szyi, uganiał się bez wytchnienia za owadami, których obecnie miał pod dostatkiem.

Podróż była męcząca, w lesie bowiem nie było śladu drogi, najmniejszej choćby ścieżki. W dodatku panowała tam niezwykła duchota. Nie prażyły wprawdzie promienie słońca, lecz z wilgotnego gruntu podnosiły się opary, tak, że wędrowcy nasi byli jak w łaźni. Pan Harris starał się tłumaczyć, że na otwartych przestrzeniach podróżowanie byłoby jeszcze bardziej przykre, z powodu większego upału.

Zdumiewać mogła bogata flora okolicy, przez którą kroczyła karawana. Wielka szkoda, iż kuzyn Benedykt nie był botanikiem, lecz entomologiem, bo na nieznane owady natrafić jakoś nie mógł, natomiast poważnymi odkryciami mógłby wzbogacić botanikę. Na drodze, po której przechodził, rósł bezmiar drzew, krzewów i roślin, o istnieniu których w podzwrotnikowych lasach Ameryki Południowej nikt dotąd nie wiedział!

Co prawda, warunki dla bujnej wegetacji były sprzyjające. Grunt wszędzie był bardzo wilgotny, miejscami błotnisty, przy temperaturze bardzo wysokiej. Podobne warunki są dla roślin idealne. Bardzo liczne strumienie utrudniały podróż; niektóre z nich były do tego stopnia głębokie, że należało je przebywać w bród, a niekiedy woda dochodziła aż do końskiego brzucha.

Pod wieczór pierwszego dnia podróży, grunt zaczął być pofałdowany i było widoczne, że podróżnicy nasi piąć się zaczynali na płaskowzgórze. Jednocześnie drzewa nie rosły już tak gęsto, a i roślinność stawała się stopniowo coraz mniej bogata.

Czujną uwagę Dicka zaniepokoiło, iż mimo tak bardzo bujnej i różnorodnej wegetacji, nie napotkał w ciągu całego dnia ani jednego drzewa kauczukowego, którego ojczyzną jest Ameryka Południowa… Wiedząc o tym, Dick od dawna obiecywał Jankowi, że drzewa te mu pokaże.

Chłopczyk teraz bezustannie dopominał się o nie; wyobrażał sobie bowiem, że wszystkie gumowe zabawki dziecinne, jak lalki czy piłki, wiszą jak owoce na gałęziach!

- Gdzież są te kauczukowe drzewa, Dicku? - pytał ustawicznie.

- Cierpliwości, dziecino - uspokajał chłopczyka Harris - będziesz miał całe sady tych drzew w San Felice i dostaniesz tam nawet prześliczną, jasnobrązową piłkę ogromnej wielkości!

Tymczasem zaś skosztuj tego oto jabłuszka.

- Mówiąc to, Harris zerwał z najbliższego drzewa owoc nadzwyczaj soczysty, z wyglądu podobny do brzoskwini i podał go Jankowi.

- Czy nie zaszkodzi mu ten owoc zupełnie mi nieznany? - z niepokojem zapytała pani Weldon. - Mój mąż zawsze ostrzegał mnie, bym nie próbowała owoców, których nie znam.

Zamiast odpowiedzi, Harris zerwał jeszcze kilka brzoskwiń i zajadać je zaczął z ogromnym apetytem.

- Są to owoce drzewa mangowego - powiedział.

- I ty zjedz, mamusiu takie jabłuszko - mówił Janek - przekonasz się wtedy, iż są one o wiele bardziej soczyste i słodsze, niż prawdziwe. Ale ja mimo to chcę kauczukowego drzewa, a Dick obiecał jeszcze, że mi pokaże kolibry. Kiedy je zobaczę?

- Ależ wkrótce, wkrótce - odpowiedział, śmiejąc się, Harris - w San Felice jest ich bardzo dużo. Jeżeli jednak pragniesz ujrzeć je jak najprędzej, to powinniśmy iść nieco szybciej niż teraz.

Dick puścił tę uwagę mimo uszu. Zastanawiał się, dlaczego nie napotkali drzew kauczukowych i dlaczego nie widzieli dotychczas kolibrów, których w lasach Południowej Ameryki jest, jak wiadomo, mnóstwo.

Wędrowcy do zachodu słońca przebyli około ośmiu mil bez większego zmęczenia. Był to jednak dopiero pierwszy dzień podróży.

Na nocleg zatrzymano się pod olbrzymim drzewem mangowym, którego potężne konary zastępowały dach, mogący w razie potrzeby osłonić od słońca lub deszczu oddział wojska składający się z setki żołnierzy.

- Należałoby, myślę, rozpalić ognisko - odezwała się pani Weldon - nie tylko dlatego, iż ogień jest konieczny dla zagotowania wody na herbatę, lecz również z tego powodu, że chroni od napadu dzikich zwierząt.

- Obawiać się dzikich zwierząt nie mamy powodu, nie ma ich bowiem wcale w tych okolicach - rzekł Harris, - a i herbata jest zbędna, przecież i bez niej jest nam ciepło. Zaś ogień mógłby sprowadzić jakichś nieproszonych gości czyli krajowców, spotkanie z którymi nie jest dla nas pożądane. Są to na ogół rabusie i złodzieje. Powtarzam raz jeszcze mą radę: najlepiej

będzie dla nas, gdy przejdziemy przez puszczę zupełnie cicho i bez śladów, bez ognia i bez zbytecznych wystrzałów.

# ROZDZIAŁ XVII

## Sto mil w dziesięć dni

Noc minęła spokojnie i wszyscy dobrze się wyspali, za wyjątkiem może Herkulesa i Austyna, którzy tej nocy stali na straży.

Mały Janek, gdy tylko się obudził, zapytał, czyjego przyjaciel, Herkules, poszarpał w nocy lwa, lub zjadł na surowo choćby wilka? Na nieszczęście, w ciągu całej nocy ani jeden zwierz nie pojawił się w pobliżu obozowiska i biedny olbrzym był tak samo głodny, jak i wszyscy pozostali.

Toteż ochoczo zabrano się do spożywania śniadania, po skończeniu którego Harris osiodłał konia, zaś pani Weldon zupełnie przypadkowo musiała odegrać rolę sędziego w sporze, wynikłym pomiędzy kuzynem Benedyktem a Herkulesem.

Entomolog obwinił czarnego kolosa o to, iż ten ostatni z niewiadomych przyczyn przeszkadza mu z rozmysłem w jego pracach, które, być może, unieśmiertelniłyby jego - Benedykta - imię.

- Nie na to pojechałem najpierw do Australii, a następnie aż do Południowej Ameryki, by się tutaj wysypiać jedynie i jeść - wołał zirytowany.

Wobec gniewu kuzyna, pani Weldon zmuszona była prosić Herkulesa, by ten nie śledził uczonego i pozwalał mu na odłączanie się od gromadki, byle tylko namiętność łowcy owadów nie oddalała go zbytnio od reszty.

Około godziny siódmej rano wędrowcy byli już gotowi do podróży i natychmiast wyruszyli w drogę, idąc w tej samej kolejności, jak w dniu poprzednim. Upał był tak wielki, jakby podróżnicy znajdowali się w pobliżu samego równika, a nie w strefie umiarkowanej, biorąc jeszcze pod uwagę, iż była to dość

wczesna wiosna, a nie upalne lato. Niezmiernie dziwiło to Dicka.

Las ciągnął się nieprzerwanie. To również dziwiło młodego wodza. Znajdować się mieli bowiem, jak utrzymywał Harris, w kraju pampasów , a te przecież, jak to sobie z opisów podróży przypominał, są rozległymi, porosłymi trawą równinami i charakteryzują się tym, że pozbawione są wody, drzew i kamieni. Latem wyglądają one jak pusty step, w porze deszczowej zamieniają się w pastwiska porosłe trawami, które dochodzą czasami do takiej wysokości, iż mogą ukryć jeźdźca na koniu.

Jakże las ten nie był podobny do pampasów!

Karawana bezustannie przedzierała się przez gęstwinę drzew, a grunt był częściowo błotnisty, częściowo kamienisty; w dodatku nawet na wzniesieniach klimat był wilgotny, co w połączeniu z upałem zmieniało las w duszną cieplarnię.

Przyglądając się temu wszystkiemu Dick zapytywał siebie, czyżby przyroda aż do tego stopnia mogła się zmienić, by być zdolną do stworzenia w krainie pampasów o klimacie umiarkowanym - podzwrotnikowej puszczy typowej dla równikowych okolic Afryki?

Dick zadawał wiele pytań Harrisowi, na które ten zawsze najchętniej odpowiadał, bardzo rzeczowo, ujawniając tym swe wyższe wykształcenie.

- Masz rację, młodzieńcze - mówił - przyznaję ci ją w pełni. Prawdziwe pampasy są takie właśnie, jak je sobie wyobrażasz. Nasze, boliwijskie pampasy, na równi ze stepami Patagonii, na ogół biorąc są bardzo podobne do wielkich równin Stanów Zjednoczonych, zwanych preriami.

Wszystkie stepy, bez względu na to, jak się nazywają, są do siebie podobne - aczkolwiek zdarzają się i pewne różnice: sawanny na przykład bywają niekiedy błotniste. Lecz tutaj nie jesteśmy na stepach, czy pampasach, lecz na pustyni Atakama, która jest prawie nieznana cywilizowanemu światu. Przyznaję, że ja sam jestem zdziwiony ogromem tego lasu i nigdy nie przypuszczałem, by coś podobnego mogło się znaleźć na

pustyni. Gdybym wiedział o tym, udałbym się do farmy mego brata zwykłą drogą, którą niejednokrotnie podróżowałem. Lecz ostatecznie nie żałuję tego, poznałem nowe i tak niezwykłe okolice, no i miałem szczęście, dzięki wyborowi innej drogi, zawrzeć tak miłą znajomość.

Wszystko to wypowiedział Harris głosem umiarkowanym, cichym i spokojnym, jakby wykładał w szkole. Jego słowa brzmiały przekonująco. A jednak... nie zdołał rozproszyć niewytłumaczonego niepokoju, jaki ogarnął Dicka.

- Czy nie obawia się pan zabłądzić, będąc po raz pierwszy w życiu w tym lesie? - niepewnie odezwał się chłopiec, badawczym wzrokiem ogarniając twarz nieznajomego.

- Nie lękam się tego - odpowiedział pewnym głosem Amerykanin - las jest dla mnie tym samym, czym morze dla żeglarza. Cóż z tego, że ten oto las nie jest mi znany? Poznałem olbrzymie przestrzenie innych puszcz, więc i ta nie ma dla mnie tajemnic, czuję się w niej tak, jakbym się znajdował w swym ogrodzie. Drogę wśród lasu rozpoznam zawsze po formie pni drzew, po budowie łodyg, po układzie liści, po mchach... i po tysiącu innych cech, które dla oka profana są niezrozumiałe lub niewidzialne. Toteż raz jeszcze mogę zapewnić cię, mój młody przyjacielu, iż całą waszą gromadkę doprowadzę do farmy mego brata.

Te ostatnie słowa wypowiedziane zostały tonem tak pełnym serdeczności, że na duszę chłopca spłynął wielki spokój.

Dick zaś, mimo ziarnka niepokoju, które tkwiło jeszcze w jego sercu, powiedział sobie, iż nie ma racji nie dowierzając Harrisowi. Jaki by zresztą mógł mieć cel w okłamywaniu ich?

Kolejne pięć dni minęło zupełnie spokojnie, bez najmniejszych przygód. Nie wędrowali więcej jak osiem do dziesięciu mil dziennie, zatrzymywali się na południowy odpoczynek, zaś wieczorem rozkładano się zawsze w jakimś staranniej upatrzonym miejscu na nocleg. Zmęczenie stopniowo zaczynało się już przejawiać u niektórych, lecz na ogół stan zdrowia całej gromadki był dobry. Jedynie mały Janek

coraz częściej zaczynał się nudzić monotonią leśnej podróży, sposępniał i pobladł.

I cztery następne dni minęły bez zmiany. Karawana, jeżeli tak nazwać można małą gromadkę przyjaciół, szła nieprzerwanie na północ. Co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości, ponieważ Dick miał przy sobie kompas, który mu się udało zabrać z ”Pilgrima”.

Jeżeli więc Harris nie pomylił się w swych obliczeniach, to farma San Felice znajdować się powinna w odległości dwudziestu, dwudziestu pięciu mil. Za trzy dni można było mieć nadzieję, iż podróż będzie skończona. Było to konieczne, ponieważ już nie tylko Janek, ale i pani Weldon oraz Noon omdlewali ze zmęczenia.

Tymczasem nic nie wskazywało na bliskość ludzkich siedzib. Przeciwnie - okolica nabierała coraz bardziej dzikiego wyglądu. Nocami rozlegały się coraz częściej jakieś groźne ryki. Nawet w dzień, coraz częściej dostrzec można było przemykające pomiędzy drzewami zwierzęta.

Jeszcze większy lęk wzbudził dziewiątego dnia podróży ostry świst w powietrzu, który rozległ się z gęstwiny, znajdującej się bardzo blisko miejsca postoju.

- Żmija - rozpaczliwym głosem krzyknęła pani Weldon i podskoczyła, aby unieść w górę Janka.

Lecz Harris natychmiast uspokoił przestraszoną matkę.

- Ależ tu wcale nie ma węży - rzekł z dobrotliwym uśmiechem - to był cienki bek antylopy.

Warto by było je zobaczyć, bo są to prześliczne stworzenia, wątpliwe jednak, aby się to nam udało, ponieważ są one bardzo płochliwe i rzucają się do ucieczki, usłyszawszy choćby szelest.

Dick pośpieszył ku gęstwinie, z której ów syk było słychać, lecz nic tam nie znalazł.

Uczynił to z instynktownej potrzeby sprawdzenia słów Amerykanina, do którego nie mógł jakoś nabrać zaufania.

Tego samego dnia wędrowcy mieli okazję ujrzenia najrozmaitszych okazów fauny. Jedno z tych spotkań było

nawet na tyle udane, że do zwierząt zbliżyć się było można bardziej niż na odległość strzału.

Zdarzenie to miało miejsce około godziny szóstej po południu. Pod wieczór w gęstwinie leśnej, mimo dość wczesnej jeszcze godziny, robiło się już mroczno. Gromadka nasza znajdowała się wtedy na większej polance, gdy nagle w odległości kilkuset zaledwie kroków, z gęstwiny leśnej wypadły jakieś zwierzęta, trzy czy cztery sztuki, i bardzo szybko zniknęły w przeciwległej ścianie drzew.

Na ich widok Dick aż zakrzyknął ze zdziwienia.

- Ależ to żyrafy! - zawołał zdumiony.

- Cóż za nonsens, Dicku! Zastanów się, co mówisz! Żyrafy w Ameryce? - ze zgorszeniem powiedział Amerykanin - To były strusie, jak mogłeś ich nie poznać! ?

- Ależ struś jest ptakiem i jako taki ma dwie nogi, zaś ja widziałem najdokładniej, że przebiegające zwierzęta miały po dwie pary nóg.

- Ha! to w takim razie odkryłeś nowy gatunek strusi... czworonożnych. Można ci tego powinszować - wołał Harris, śmiejąc się głośno.

- I zechciej mi wierzyć - ciągnął dalej, już poważnym tonem - że to były strusie. Omyliłeś się, lecz to nie czyni ujmy twemu wzrokowi, podobne omyłki bowiem zdarzają się dość często najlepszym myśliwym nawet. Niech ci Akteon powie, że omyłka taka jest możliwa.

- Mnie także się zdaje, panie Harris - rzekł Akteon - że to były żyrafy, przyznaję jednakże, iż stwierdzić tego z całą pewnością nie można. Stworzenia te biegły zbyt szybko i w bardzo zbitej masie, a w takim przypadku popełnienie omyłki przy ocenie gatunku jest zawsze możliwe.

Harris uśmiechnął się triumfująco.

- Omylił cię wzrok, mój młody przyjacielu, w czym zresztą nie ma nic tak bardzo dziwnego ani nieprawdopodobnego. Patrząc z dużej odległości bowiem, łatwo wziąć stadko, składające się z ośmiu strusi, za grupę czterech żyraf. Stworzenia te są tej samej mniej więcej wysokości i mają tak samo długie szyje. A zresztą

najlepszym dowodem na to, że się mylisz, jest chyba to, że żyraf w Ameryce nigdy nie było, z wyjątkiem ogrodów zoologicznych, oczywiście.

- Lecz i strusi w Ameryce nie ma również, jak mi się wydaje?

- Wybacz, mój drogi, że ci muszę zaprzeczyć. Strusie w Ameryce Południowej spotkać można częściej, niż ci się to może wydawać. Nie mówiąc już o specjalnych farmach, w których są one hodowane. Są jeszcze dzikie, a nazywane nandu.

Słuchając tych wywodów Amerykanina, który zdawał się znać jak najdokładniej obyczaje strusi, Dick zaczął przypuszczać, że istotnie omylił go wzrok. Zamilkł więc i zamyślił się głęboko. Znów wątpliwości zakradły się do jego duszy.

Koniec podróży się zbliżał. Harris twierdził nawet, iż farma jego brata znajduje się w odległości nie większej, jak pięć do siedmiu mil.

- Jutro wieczorem znajdować się już będziemy wszyscy pod dachem mego brata - orzekł.

- Żeby tylko udało nam się dotrzeć do tej farmy, panie Harris - odpowiedziała z ciężkim westchnieniem pani Weldon - przyznaję, że niecierpliwie oczekuję tej chwili, bo jestem już bardzo zmęczona.

- Tak, widzę to - odpowiedział głosem współczującym Amerykanin - twarz pani mocno przybladła.

- Ach, mniejsza o mnie! Ale mój drogi Janek zaczyna nie na żarty mnie niepokoić - odpowiedziała drżącym głosem biedna matka - jestem pewna, iż zachorował na febrę, od trzech dni ma gorączkę.

- Powinno się na tę chorobę znaleźć skuteczne lekarstwo - odezwał się Dick, przysłuchujący się od dłuższego już czasu rozmowie - Ameryka Południowa jest przecież ojczyzną chininy.

- Tak jest - odpowiedział Harris - i w głębi kraju dość często spotkać można drzewa chinowe, w pobliżu brzegów morskich występują o wiele rzadziej. Jestem zresztą przekonany, że i tym lesie znaleźć by je można, czy są jednak - nie wiem, bo dotychczas nie zwracałem na to uwagi.

Zresztą uważam za konieczne uprzedzić, że rozpoznanie ich jest dosyć trudne, ponieważ rosną one w gąszczu innych drzew. Krajowcy rozpoznają je zazwyczaj wczesną wiosną po ich wonnych kwiatach, bladoróżowego koloru.

- Panie Harris, błagam, zechciej teraz zwracać na nie większą uwagę - prosić zaczęła pani Weldon - jeżeliby ci się udało znaleźć jedno takie drzewo, powiedz mi o tym.

- Z całą przyjemnością, szanowna rodaczko. Lecz zdaje mi się, że jest to zbędne. Po przybyciu do San Felice znajdziesz tam, pani, proszki chininy, które są o wiele skuteczniejsze, aniżeli niespreparowana kora drzewa.

Ostatni nocleg w lesie był poprzedzony niezwykłym odkryciem, jakie zrobił kuzyn Benedykt.

W ciszy zupełnej, gdyż wszyscy bardzo zmęczeni od razu ułożyli się do snu, rozległ się nagle głośny, pełen bólu krzyk. W jednej chwili wędrowcy zerwali się na nogi. Krzyżować się zaczęły pytania.

- Co się stało? ... Kto krzyknął?

Winnym zamieszania okazał się kuzyn Benedykt, który przemówił wzburzonym głosem:

- To ja krzyknąłem, coś mnie bardzo boleśnie ukąsiło w twarz.

- Boże kochany! ... Żmija? - trwożliwie zawołała pani Weldon.

- Jaka tam żmija! - gniewnie odpowiedział uczony. - Gdzieżbym ja mógł zwracać uwagę na jakiegoś tam płaza, na jakąś nieinteresującą żmiję! ? Nie, kuzynko, mnie ukąsił jakiś owad, którego złapałem i mam wrażenie, iż jest to owad niezwykły.

- A więc go pan zgnieć i daj nam spać spokojnie - gniewnym głosem zawołał Harris.

- Zgnieść... owada? ... - ze zgorszeniem zaoponował uczony. - Szanowny pan zapomina, że rozmawia z entomologiem. W dodatku mówiłem przecież, że to być musi jakiś nadzwyczajny owad, toteż cierpliwie doczekam świtu, aby mieć możność rozpoznania mej zdobyczy.

Dick wyjął z kieszeni elektryczną latarkę i poświecił nią uczonemu.

- Boże miłosierny - zawołał ten wtedy radośnie - oto jestem wynagrodzony za wszystkie me trudy! Wielkie, nadzwyczajne odkrycie, które rozsławi moje imię! Czy wiesz, kuzynko, co za owad mnie ukąsił? Mucha tse-tse!

- Czy nie jadowita? - zapytała młoda matka, okrywając zasłoną twarzyczkę swego Janka.

- Jej ukąszenie, rzecz dziwna, nie jest bynajmniej dla ludzi szkodliwe; bywa natomiast często śmiertelne dla zwierząt, nawet dla słoni.

- Ależ w takim razie istnienie tej muchy jest znane, jak widzę - zrobiła uwagę pani Weldon - na czym polega to twoje wielkie odkrycie?

- Bo dotychczas przypuszczano, iż owad ten pleni się wyłącznie w Afryce. Ja pierwszy w Ameryce go napotkałem!

# ROZDZIAŁ XVIII

## To Afryka!

Dwunastodniowa podróż przez dziewiczy, pozbawiony dróg las, w powietrzu dusznym i gorącym, a jednocześnie przesyconym wilgocią, z noclegami pod gołym niebem, na ziemi przeważnie wilgotnej, przy niedostatecznym odżywianiu się, składającym się z zimnych konserw mięsnych, sucharów i owoców mangowego drzewa - wszystko to, nie mówiąc już nic o moralnych cierpieniach, wyczerpało do ostatka kobietę przyzwyczajoną do wygód, w jakich żyła dotychczas pani Weldon. Podróż ta była tak uciążliwa, biorąc pod uwagę zabójczy klimat, iż wyczerpani krańcowo nią byli nawet Murzyni, za wyjątkiem Herkulesa, siły którego zdawały się być niewyczerpane.

Doskonale czuł się również i pan Harris. Dick jedynie siłą woli trzymał się na nogach.

Najgorzej działo się z małym Jankiem. Dziecko najwidoczniej było chore. Jego wychudła twarzyczka była stale rozpalona, zaś drobnym ciałkiem wstrząsały bezustannie ataki febry, z dnia na dzień silniejsze.

Według zapewnień Amerykanina, miał to być już dzień ostatni podróży. Nadzieja odpoczynku podtrzymywała więc sterane siły.

Nadzieja ta sprawiła właśnie, iż z ostatniego noclegu wyruszono w drogę z wyrazami wesela na twarzach. Uwagę Dicka zwrócił fakt, że jedynie Harris nie brał udziału w tej ogólnej radości, lecz pochmurniał coraz bardziej i coraz niechętniej odpowiadał na pytania. Nie mniej dziwne było również i zachowanie się jego konia, który kroczył osowiały, jakby nie czuł, że zbliżają się do domu.

Coraz mocniejsze podejrzenia powstawały w umyśle Dicka. Las co prawda rzedniał chwilami, lecz nigdzie nie było najmniejszych śladów, które by wskazywały na bliskość większej farmy.

Nie napotkali ani jednej drogi ani ścieżki, lub uprawnego pola. Nie było widać nigdzie drzew zrąbanych. Wszędzie tylko głucha pustka, bez śladu obecności człowieka.

Co to wszystko mogło znaczyć?

Zwróciło to w końcu uwagę nawet pani Weldon.

- Czy pan Harris nie zabłądził aby w lesie? - zapytała przybranego syna.

A Dick nie umiał dać jej odpowiedzi.

Mijały godziny, zbliżała się noc, a w dzikim wyglądzie lasu nie zaszły żadne zmiany.

Zmieniło się jedynie zachowywanie Dinga, który niespodziewanie zaczął ujadać wściekle i rwać się ku odległym zaroślom, jakby wyczuwał w nich jakiegoś swego straszliwego wroga.

Tom pierwszy to zauważył:

- Niech pan tylko spojrzy, kapitanie. Dingo, taki spokojny w czasie całej podróży przez las, teraz znów zaczyna szaleć, jak to było na pokładzie ”Pilgrima”, gdy zobaczył Negora.

Dick Sand aż się wstrząsnął cały, gdy usłyszał te słowa.

- Negoro mógł iść naszymi śladami - mówił dalej stary Murzyn - a teraz bardziej się do nas zbliżył.

- Nie mamy jednak żadnej pewności, czy tam jest Negoro, czy też może jakieś dzikie zwierzę, którego Dingo nienawidzi, a którego jednocześnie się obawia? Można by jednak zrobić próbę...

- Hej, Dingo! ... do nogi - zawołał następnie na psa - chodź tutaj, mój dobry, wiemy psie! A teraz: Negoro, Negoro! ... bierz go! ... huzia!

Ledwo Dingo usłyszał nienawistne imię, jak oszalały, ze złowrogim naszczekiwaniem, rzucił się w gęstwinę.

- No, teraz mamy pewność. Tam, w tej gęstwinie, z pewnością kryje się Negoro, nie inny człowiek lub zwierzę.

Amerykanin widział i słyszał wszystko, natychmiast też zbliżył się do rozmawiających.

- Cóż to za zabawę urządziliście sobie z tym psem? - zapytał z najnaiwniejszą miną.

- Ech! nic takiego - odpowiedział stary Tom. - Mówiliśmy tylko psu, że tam, w tych gąszczach, znaleźć może człowieka, z którym przyjaźnił się na statku.

- Ach tak? ! ... Tera? już przypominam sobie. Mówicie o dawniejszym waszym... kucharzu, jeśli się nie mylę? I przypuszczacie, iż szedł on w ślad za nami? ... Jest to możliwe, choć mnie osobiście nie wydaje się prawdopodobne. Lecz w takim razie należałoby może udać się za Dingiem, bo ten Ne... Negoro? ... bo tak ten Portugalczyk się nazywa? ... może jest ranny, chory... potrzebuje naszej pomocy? ...

- O, niech pan się o niego nie martwi - odpowiedział Dick tonem ostrym, choć spokojnym - jest to łotr skończony, który zawsze i wszędzie da sobie radę. Dingo ostrzegł mnie, że nikczemnik ten krąży gdzieś blisko. Jestem mu za to bardzo wdzięczny, gdyż będę miał się teraz na baczności.

Ściemniało się już, gdy wędrowcy natknęli się na ślad naprawdę zdumiewający. Drogą, po której szli, przechodzić musiały niedawno potężne i rosłe zwierzęta, jak to bez trudu można było wywnioskować ze śladów, jakie pozostawiły. Na wysokość wzrostu człowieka, a nawet i wyżej, gałęzie drzew były połamane, zaś trawa zupełnie stratowana, wreszcie na błotnistym gruncie widniały odciski potężnych stóp, które nie mogły być z pewnością pozostawione przez zwierzęta w rodzaju jaguarów. Spustoszenie podobne uczynić mogły swym przemarszem jedne słonie.

Dick zakomunikował to natychmiast staremu Tomowi.

- Słonie? Ależ słoni nie było nigdy w Ameryce!

- Wiem o tym doskonale - rozdrażnionym głosem odpowiedział Dick - lecz w takim razie myśmy nie widzieli śladów żadnych, a gałęzie tych drzew nie zostały połamane, lecz po prostu nigdy ich nie było!

Nie próbował nawet pytać Amerykanina o wytłumaczenie niezrozumiałego faktu, w jaki sposób słonie znaleźć się mogły w Ameryce Południowej? Jaką mógł otrzymać odpowiedź? Taką może, że były to strusie!

Dick już nie wątpił, iż Harris zaofiarował swe usługi w tym jedynie celu, ażeby oddalić ich od morskich wybrzeży i wciągnąć w głąb kraju.

Nie pojmował jedynie, z jakiego powodu mógł to robić?

Biedny wódz wyprawy zdawał sobie doskonale sprawę, że jego odpowiedzialność wzrosła ogromnie wraz ze zwiększeniem się niebezpieczeństw. Przyrzekał sobie święcie, iż stawi czoło każdemu niebezpieczeństwu, nie chciał jednak przerażać biednej matki i postanowił nic jej nie mówić.

Toteż, gdy w pewnej chwili ujrzał gromadę olbrzymich, ciemnych zwierząt, szybko pędzących ku przepływającej rzece, w falach której się pogrążył y, już chciał krzyknąć: hipopotamy - lecz powstrzymał się w porę i udał, że nic nie widział.

- Żyrafy, mucha tse-tse, słonie, hipopotamy... wszystko to w Ameryce! Czy ja rozum tracę? - mówił do siebie Dick, ściskając rękami głowę - Boże miej litość nade mną! - kończył błagalnym wezwaniem.

Chwilami rozwiązanie tej zagadki pojawiało mu w głowie, niejednokrotnie na ustach miał jedno okropne słowo, którego jednak nie odważył się wymówić.

Z nikim nie mógł się podzielić swymi myślami. Pani Weldon była zajęta chorym synkiem i o niczym innym wiedzieć nie chciała. Niepokój Dicka podzielał jedynie stary Tom.

Pół godziny po spotkaniu hipopotamów, Dick, idąc na czele całej karawany, ujrzał nagle jakiś przedmiot błyszczący; schylił się natychmiast i podniósł nóż niezwykłego kształtu, z zaokrąglonym ostrzem, oprawiony w kość słoniową, bardzo prymitywnej roboty. Milcząc, pokazał przedmiot ten Harrisowi i przemówił z naciskiem:

- Czyż to możliwe, aby dzicy krajowcy ośmielili się podchodzić tak blisko do farmy pańskiego brata? Amerykanin zmieszał się.

- Wie pan, nie pojmuję, jak to się mogło stać, widzę, iż zboczyłem nieco z drogi. Farma musi się znajdować gdzieś blisko, wątpię jednak, byśmy dziś zdołali dojść do niej. I myślę, że może byście się państwo tutaj gdzieś rozłożyli na nocleg, ja zaś udam się na poszukiwanie drogi?

- O nie, panie Harris, lepiej będzie, byśmy się już teraz nie rozstawali - rzekł stanowczym tonem Dick Sand i niby przypadkiem oglądać zaczął swój rewolwer.

- Zatrzymamy się na nocleg w tej okolicy, pan pozostanie teraz przy karawanie - mówił dalej Dick, tonem nie dopuszczającym sprzeciwu - ja zaś udam się na poszukiwanie odpowiedniego miejsca.

- Herkulesie - zawołał następnie wódz wyprawy - pomożesz panu Harrisowi rozsiodłać konia - i opiekuj się nim aż do mego powrotu, bo czuje się on dziś nieco zmęczony.

Następnie, wziąwszy ze sobą Toma, chłopiec udał się w dalszą drogę z zamiarem znalezienia odpowiedniego miejsca na nocleg.

Po paru minutach wyszli na małą polankę, pośrodku której wznosił się baobab potężnej wielkości.

- Otóż doskonałe miejsce - zawołał stary Tom - niech pan wraca do naszej karawany, ja zaś zajmę się rozpaleniem ognia dla biednej pani.

I z tymi słowami poczciwy Murzyn ruszył w stronę drzewa. Gdy jednak zbliżył się do niego, cofnął się nagle i krzyknął przerażony:

- O, panie Sand! Chodź, chodź tutaj prędko!

- Co się stało. Tomie drogi? ! - zawołał Dick podbiegając szybko.

- Niech pan spojrzy! Krew! ... Krew na ziemi i na drzewie. I to ludzka krew, bo oto tutaj leży odrąbana ręka, a tutaj topór, najwidoczniej przez oprawców zapomniany! A tutaj - łańcuch... i kajdany!

- Cicho, Tomie, na miłość Boga, cicho! Nie strasz biednej, słabej kobiety i jej chorego dziecka.

- Boże miłosierny! ... jak możesz dopuszczać, by na ziemi działy się tak okropne i ohydne rzeczy? ! Pamiętam, dobrze pamiętam i przypominam sobie te narzędzia tortur, chociaż gdy je widziałem, miałem zaledwie sześć lat! Ubiegłej nocy pod tym drzewem był postój karawany handlarzy niewolników, mogę to przysiąc! Nie możemy dłużej się łudzić, panie Sand! Jesteśmy w Afryce, krainie niewolnictwa!

Dick milczał. Podniósł tylko ręce w górę gestem największej rozpaczy.

Wybrali inne miejsce na odpoczynek, nieco bardziej odległe. Noon, jak zwykle, przygotowywała posiłek. Nikt się niczego nie domyślał. Jedynie Dingo wył bezustannie i nie można go było niczym uspokoić.

Pani Weldon nie tknęła pożywienia, wpatrując się w swego chorego synka, rozpalonego gorączką.

Około północy w oddali dał się słyszeć potężny ryk. Dick zerwał się na nogi i wzrok jego padł na Dinga, który - tak śmiały zawsze - drżał teraz i tulił mu się do nóg.

- Co to takiego, Tomie? - zapytał chłopiec.

- To jest ryk lwa, panie!

Dickowi pociemniało w oczach, spojrzał na panią Weldon i z karabinem gotowym do strzału rzucił się naprzód. Lecz król zwierząt oddalił się widocznie, gdyż jego ryk już się więcej nie powtórzył.

Wtedy Dick, nie mogąc już dłużej zapanować nad sobą, zarzucił karabin na plecy, zza pasa wydobył rewolwer i skoczył do miejsca, na którym spoczywał Harris.

Lecz Amerykanin zniknął.

Nikczemnik osiągnął swój cel. Gromadka wędrowców została wciągnięta w głąb dziewiczego lasu, bez żadnej pomocy i bez przewodnika.

# CZĘŚĆ DRUGA

# ROZDZIAŁ I

## Handel niewolnikami

Każdy człowiek jest w stanie ocenić, jaka ohyda mieści się w określeniu: ”handel niewolnikami”. W teorii, nikczemna działalność handlarzy tego rodzaju, hańbiąca całą ludzkość, była zabroniona już w początkach tego stulecia, w praktyce jednak istniała także u końca XIX wieku.

Handel Murzynami przeniknął do Europy w XV wieku, w warunkach następujących:

Po wygnaniu Maurów z Hiszpanii, ruchliwe i przedsiębiorcze plemiona muzułmańskie schroniły się na wybrzeża Afryki północnej, przedostawszy się tam przez przesmyk Gibraltarski.

Portugalczycy, do których wtedy Afryka Północna należała, z zaciekłością tępić zaczęli nieszczęśliwych uchodźców, pewna ilość zbiegów została pochwycona i odstawiona do Portugalii w charakterze niewolników. I to się stało początkiem tego ohydnego handlu.

Maurowie byli więc pierwszymi niewolnikami w chrześcijańskiej Europie.

Bogate rodziny pochwyconych proponowały często okup za wyzwolenie swych krewnych, lecz propozycje te były przeważnie odrzucane. Portugalczycy bowiem w owych czasach mieli, dzięki koloniom, dosyć złota, brakowało im natomiast rąk do pracy.

Wtedy Maurowie wystąpili z propozycjami innego rodzaju; ofiarowywać zaczęli dwóch Murzynów za jednego muzułmanina. Ta propozycja została przyjęta o wiele chętniej. Wymiana ta przeobraziła się następnie w handel nieszczęsnymi Murzynami.

Ohydny proceder osiągnął szczyt swego rozwoju w wieku XVI. Sprzyjało mu barbarzyństwo owych czasów. Wszystkie

ówczesne państwa ”cywilizowanej” Europy nie tylko nie stawiały mu najmniejszych przeszkód, lecz przeciwnie - popierały go w trosce o rozwój swych zamorskich kolonii, które bez pracy czarnych rąk nie mogłyby się już obejść. Toteż przywóz niewolników był prowadzony na wielką skalę, stając się źródłem ogromnych bogactw, przypadających nie tylko jednostkom, ale i całym narodom.

Murzyni w Afryce byli tani, a handel nimi dawał do 100%zysku.

W rasie białej, na szczęście, nie zamarł jednak całkowicie wstyd, toteż bez względu na korzyści przeciwko handlowi budzić się zaczął w szlachetniejszych duszach sprzeciw i coraz głośniej opinia domagać się zaczęła, aby rządy ogłosiły prawo, znoszące niewolnictwo.

Inicjatywa tego ruchu pochodziła od kwakrów . W 1751 roku wysłali oni do swego rządu zbiorowe żądanie zakazu handlu niewolnikami. Stany Ameryki Północnej: Wirginia, Kentucky, Pensylwania i Massachusetts pierwsze usłuchały ich głosu, wyzwalając jednocześnie z niewoli tych wszystkich, którzy się w niej znajdowali. Ruch abolicjonistyczny szerzyć się zaczął coraz bardziej, przebył Atlantyk i dotarł do Europy, przy czym w Anglii i we Francji pozyskał od razu bardzo licznych zwolenników. ”Niech raczej przepadną kolonie, niż miałyby być deptane sprawiedliwość i słuszność” - wołano. Wzniosłe to hasło obiegło stary świat i - mimo sprzeciwów - wywierać zaczęło coraz silniejszą presję na rządy poszczególnych państw. W rezultacie Anglia zniosła handel niewolnikami w swych koloniach w 1807 r. , a Francja w 1814 r. Jednakże traktat, jaki te dwa wielkie mocarstwa zawarły pomiędzy sobą w tej sprawie, istniał początkowo tylko na papierze.

Handlarze, bez względu na jego istnienie, uwijali się po morzach, dowożąc do wszystkich portów Ameryki, Azji i Australii swój ładunek ”hebanu”.Koniecznym się stało rozpoczęcie akcji, która w sposób skuteczny nakazałaby poszanowanie prawa. I oto Stany Zjednoczone w 1820 roku, uznały handel niewolnikami za rozbój morski. Za ich

przykładem w roku 1823, poszła również Anglia, ogłaszając, iż każdy pochwycony na zajmowaniu się handlem niewolnikami, będzie karany śmiercią. W ślad za prawami poszły i czyny. Okręty wojenne Ameryki Północnej, Wielkiej Brytanii i Francji bardzo wytrwale ścigać zaczęły statki przewożące Murzynów. Stany Południowe Ameryki, a także Hiszpania i Portugalia, nie uznały zniesienia niewolnictwa; wywóz ”hebanu” do Ameryki Południowej oraz kolonii portugalskich i hiszpańskich nie ustawał. Te trzy państwa bez zmiany prowadziły dalej handel niewolnikami zupełnie otwarcie, a statki niewolnicze płynące pod ich banderami miały pełną swobodę krążenia po morzach.

Poza tym nowe prawa dotyczące niewolnictwa nie mogły obowiązywać wstecz. Nie wolno było handlować niewolnikami, nie wolno było również nowych kupować, lecz dawniejsi nie odzyskali wolności. Dopiero gdy Anglia dekretem z 14 maja 1833 roku wyzwoliła wszystkich niewolników w swych koloniach, przeszło sześćdziesiąt tysięcy osób odzyskało swobodę. W piętnaście lat potem, w 1848 roku, podobne prawo uchwaliła dla swych kolonii Francja, co dało wolność dwustu sześćdziesięciu tysiącom nieszczęśników. W 1859 roku rozpoczęła się bratobójcza wojna między stanami północnymi a południowymi Ameryki, która zakończyła się triumfem sprawiedliwości, bowiem po zwycięstwie Unii w całej Ameryce Północnej niewolnictwo zostało zniesione.

Po tej wojnie handel niewolnikami mógł być prowadzony jedynie tajnie, dla zaspokojenia potrzeb kolonii hiszpańskich i portugalskich, a także państw muzułmańskich: Maroka, Turcji i Zanzibaru. W Brazylii niewolnicy nie odzyskali jeszcze wtedy wolności, jednak wwóz ich był już zakazany.

Mimo zniesienia niewolnictwa na całym niemal świecie, w samej Afryce łowy na ludzi trwały nadal z niesłabnącą siłą. Plemiona bez wytchnienia walczyły między sobą, aby tylko mieć możność dostawienia na targowiska potrzebnej ilości towaru. Nierzadko całe szczepy szły w niewolę. Karawany niewolników wędrowały z Afryki Centralnej w dwóch przeciwległych kierunkach: na zachód, ku portugalskiej Angoli i

na wschód, ku Mozambikowi, skąd nieszczęśliwi Murzyni byli transportowani dalej, do państw muzułmańskich.

A teraz, gdy czytelnicy nasi znają całą grozę tego procederu - mogą sobie wyobrazić, jak przerażające były wypowiedziane przez starego Toma słowa:

- Jesteśmy w Afryce, krainie niewolnictwa!

Nieszczęśliwy chłopiec od razu zdał sobie sprawę, jak straszne niebezpieczeństwo grozi wszystkim tym, którzy byli pod jego opieką, bez względu na to, w jakim punkcie czarnego kontynentu się znajdowali.

Dick na razie wiedział jedynie to, że ”Pilgrim” się rozbił na zachodnich wybrzeżach Afryki - a to pogarszało bardzo ich położenie, ponieważ najprawdopodobniej znajdowali się teraz gdzieś w pobliżu Angoli, dokąd zmierza większość niewolniczych karawan.

Młody kapitan nie mylił się w swych przypuszczeniach. Zły los rzucił go istotnie wraz z całą gromadką w tą złowrogą część Afryki, którą w parę lat później przeszedł Stanley. Kraina ta, w chwili opowiadanej przez nas historii, była białym absolutnie nieznana; zbadano jedynie okolice nadbrzeżnych miast: Bengueli na południu i Luandy na północy, obydwu należących do Portugalii.

W głąb kraju natomiast nikt wtedy nie odważyłby się zapuścić. Klimat zabójczy, bo nazbyt gorący, a jednocześnie wilgotny; tubylcy dzicy i okrutni, niekiedy ludożercy; wojny staczane przez różne plemiona, dzikie zwierzęta - oto trudności, na które narażał się każdy, kto miał odwagę przedrzeć się w głąb Angoli, tej najbardziej dzikiej prowincji Afryki.

Na poznanie tych ziem pierwszy odważył się w 1816 roku angielski podróżnik Tuckey, który zbadał ujście rzeki Kongo i dotarł do wodospadów Jellala, lecz nieomal wszyscy uczestnicy tej wyprawy przypłacili życiem swą odwagę. Trzydzieści siedem lat później w r. 1853, słynny Livingstone przeszedł Afrykę od Przylądka Dobrej Nadziei, aż do górnego biegu Zambezi, skąd skierował się on na północny wschód, do Konga. 31 maja 1854

roku dotarł do Luandy, a zatem on pierwszy utorował drogę ku nieznanym miejscom Angoli.

W epoce, gdy ”Pilgrim” rozbił się na wybrzeżach Afryki, Angola była jeszcze zupełnie nieznana. Wiedziano o niej tylko tyle, iż była ona głównym punktem handlu niewolnikami.

Największymi targowiskami były miejscowości: Bije, Cassinga i Kassande.

W taki kraj, o sto mil od morskiego brzegu, wciągnięty został podstępem Dick wraz z kobietą, jej chorym dzieckiem i z towarzyszącymi Murzynami, co było wyzwaniem dla chciwych takiej zdobyczy handlarzy niewolników. Dick Sand o krainie tej wiedział bardzo niewiele, tyle zaledwie, ile się wiedziało o niej z relacji misjonarzy oraz opowiadań kupców portugalskich, którzy krążyli pomiędzy Luandą, a położonym nad Kongiem San Salvador. Lecz wszystkie te wiadomości były takie, że jedynie potęgować mogły lęk. Tylko ręka Opatrzności mogła wyprowadzić gromadkę przyjaciół z tej puszczy afrykańskiej, podobnej do paszczy lwa.

# ROZDZIAŁ II

## Harris i Negoro

Na drugi dzień po uczynionym przez naszego młodego bohatera odkryciu, w odległości trzech mil od postoju miało miejsce spotkanie dwóch ludzi.

Byli to Harris i Negoro, starzy przyjaciele, którzy spotkali się niedawno na wybrzeżu najzupełniej przypadkiem. Przed laty zbliżyło ich do siebie wspólne rzemiosło - handel niewolnikami.

Spotkanie nastąpiło bardzo niedawno i para przyjaciół spoczywała teraz w cieniu olbrzymiego drzewa bananowego, nad brzegami niewielkiego strumyka, w papirusowych zaroślach, które chroniły ich przed spojrzeniami ciekawych oczu.

Rozmowa toczyła się o wypadkach ostatniej nocy.

- Czyż istotnie nie mogłeś wciągnąć dalej w głąb lądu tego zarozumiałego smarkacza ”kapitana Sanda”, jak go nazywają te głupie czarnuchy? - mówił Negoro zaciągając się papierosem.

Harris pokręcił głową.

- Wierz mi, przyjacielu, że stało się to niemożliwe. Nie tak to znów łatwo wyprowadzić w pole tego podejrzliwego wyrostka - odpowiedział Harris.

- Mogę cię zapewnić, iż bystrymi oczyma śledzić on zaczął każdy mój krok, ważył każde moje słowo. W ostatnich czterech dniach jego domysły zaczęły się stopniowo przeradzać w pewność, tak że w końcu musiałem myśleć o własnym bezpieczeństwie. A dodać muszę, iż młokos ten dobrze włada każdą bronią i bez chwili wahania był gotów poczęstować mnie kulą z rewolweru.

- Wielka szkoda, że nie poszli choćby tylko ze sto mil dalej; wtedy mielibyśmy ich w rękach.

Duża to byłaby dla nas strata, gdyby uciekli na wybrzeże, nie mówiąc już nic o tym, że ja mam swoje prywatne z tym ”kapitanem” porachunki.

- Przecież i tak wymknąć się nie zdołają - odpowiedział Harris wzruszając ramionami - i wierz, że będziesz miał jeszcze sposobność wyrównania naszych rachunków i to z procentami.

Dla mnie zaś pozostawanie w pobliżu rewolweru tego nie liczącego się z niczym chłopca stawało się z każdą chwilą coraz bardziej niebezpieczne. Już ci mówiłem, jak to było z ową muchą tse-tse, z żyrafami, z hipopotamami, śladem słoni. A słoni przecież nie tak wiele spotkać można w Ameryce! Jakby na złość, ten stary Murzyn odnalazł kajdany i łańcuchy niewolników, a nawet jakąś odrąbaną rękę. A jakby tego jeszcze było mało, w gęstwinie rozległ się potężny ryk lwa.

No, nic tu już teraz po mnie - powiedziałem sobie wtedy - wskoczyłem chyłkiem na konia i uciekłem.

- Doskonale sobie zdaję z tego sprawę - odpowiedział Negoro - że twoje położenie było bardzo trudne. Niemniej powtarzam, bo jest to zupełnie inna sprawa, iż byłoby o wiele lepiej, gdyby ten przyszły nasz łup znajdował się jeszcze dalej od morskiego brzegu.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, a nawet... może więcej niż mogłem - odpowiedział Harris gniewnym już nieco tonem - mówmy teraz o czym innym. Powiem ci więc przede wszystkim, iż było to bardzo mądre z twej strony, że trzymałeś się w należytej odległości od karawany. Mimo to twą obecność wyczuło to obrzydłe psisko, które czuje specjalną jakąś do ciebie antypatię.

Powiedz mi, proszę, cóż ty zrobiłeś temu psu?

- Jak dotychczas, jeszcze nic, niedługo jednak będzie on miał kulę z mego karabinu we łbie! - zasyczał Portugalczyk.

Harris roześmiał się głośno.

- W każdym razie doradzałbym ci ostrożność. Dick Sand bowiem nie będzie również ociągał się z posłaniem ci kuli. A

strzela tak, że niech go diabli wezmą. W ogóle przyznać muszę, że to dzielny chłopiec. Nie należałoby go zbytnio lekceważyć.

- No, jaki on tam jest, taki jest! Drogo mi zapłaci za wszystkie zniewagi, jakie znosić musiałem od niego, gdy byłem na statku - powiedział Portugalczyk przez zęby, błysnąwszy dziko oczyma.

- Wybornie! - zawołał Harris - Widzę, że mój stary przyjaciel nic a nic się nie zmienił.

Podróże po cywilizowanych krajach nie zmiękczyły ci serca, nie przeobraziły w sentymentalną babę!

Negoro przyjął w milczeniu te słowa. Harris zmienił temat.

- Powiedz mi, przyjacielu, gdzie ty się obracałeś przez ten czas? Gdym cię spotkał tak niespodziewanie przy ujściu Lungi, zaledwie miałeś tyle czasu, by mi ”polecić” swych byłych towarzyszy, z prośbą, bym ich wciągnął, o ile to możliwe, jak najdalej w głąb kraju, zapewniając przy tym, że znajdują się oni w Boliwii. Nic się nie dowiedziałem wtedy o twych przygodach w czasie ostatnich dwóch lat. Dwa lata zaś w naszym pełnym przygód życiu - to szmat czasu.

Pamiętam, że pewnego pięknego poranku opuściłeś nas, podjąwszy się przewodnictwa karawanie niewolników, na rachunek starego Alveza, dla którego obydwaj pracowaliśmy przez pięć lat z górą. Niespodziewanie dla wszystkich opuściłeś wtedy Cassingę, nie mówiąc nikomu słowa o swym zamiarze i odtąd wszelki słuch o tobie zaginął. Przyznaję się szczerze do obaw, żeś spotkał się z jakąś angielską fregatą, albo też, żeś miał jakieś nieprzyjemności z moimi rodakami...

Słowem, bałem się, czy cię czasem - mówiąc szczerze - nie powieszono!

- Byłem tego bliski, mój drogi Harrisie, i z największym trudem udało mi się wykręcić od stryczka.

- No, możesz być spokojny, mój miły Negoro, bo przecież, jak to mówią: co się odwlecze, to nie uciecze.

- Dziękuję za życzenia i wzajemnie je składam.

- Cóż? ... ja jestem zawsze na to przygotowany - z iście angielską flegmą odpowiedział Amerykanin. - Szubienica jest ryzykiem naszego zawodu, z którym trzeba się pogodzić. Ci,

którzy pragną umierać w łóżku, niechaj w domu siedzą. Ale opowiedz, jak to z tobą było? Więc cię pochwycił wojenny statek?

- Zgadłeś, bracie.

- Angielski, czy francuski?

- Stokroć gorzej! Portugalski.

- Oczywiście, musiało się to stać przed wyładunkiem? - uszczypliwie zapytał Harris.

- Nie - po chwili lekkiego wahania odpowiedział Negoro - pozbyliśmy się już wtedy naszych Murzynów. Na nieszczęście i Portugalczycy już zaczynają kręcić nosem na nasze przedsiębiorstwo i troszczyć się o miano uczciwych kupców. Ani słyszeć już nie chcą o handlu, z którego ciągnęli zyski przez tyle wieków, i który był źródłem ich bogactw. Zwąchali pismo nosem, zwłaszcza, że ktoś mnie zadenuncjował, byłem śledzony już od dawna, no i skorzystali z okazji, by mnie pochwycić w swe łapy.

- I cóż? Zostałeś oddany pod sąd?

- Gdyby tylko to! Skazali mnie na dożywotnie ciężkie roboty w Luandzie!

- Niech to diabli wezmą! Surowy wyrok. Być galernikiem przykutym do kuli, dla nas, którzy do wolności jesteśmy przyzwyczajeni... to gorsze niż śmierć! Przysięgam, iż wolałbym śmierć, aniżeli dożywotnią niewolę.

- Ech, bracie! Z szubienicy się nie urwiesz, a z galer można uciec.

- Co ty uczyniłeś - domyślił się Harris.

- Jak widzisz. Byłem tam zaledwie przez dwa tygodnie. Udało mi się nie tylko wydostać na wolność, lecz jeszcze zakraść się pod pokład amerykańskiego okrętu, płynącego do Auckland w Nowej Zelandii. Wcisnąłem się na nim między beczkę wody a skrzynię sucharów; w ten sposób miałem co jeść w trakcie całej podróży. Podróżowałem, jak to już sam zauważyłeś, najzupełniej jak królowie: incognito .

- Nie płacąc nikomu za przejazd - ze śmiechem dodał Harris - no, muszę ci przyznać, iż jesteś trochę bezceremonialny, mój

drogi przyjacielu. Bilet bezpłatny - zdarza się dość często, lecz zasiadać nie proszony do stołu, to już jest, wybacz...

Negoro znów się nachmurzył.

- No, co tam mówić o tych nieprzyjemnościach podróży - mówił dalej Harris, widząc niezadowolenie na twarzy przyjaciela - tak czy owak jechałeś, osiągnąłeś swój cel, jakim było wydostanie się z Luandy. Powiedz mi lepiej, co porabiałeś w Nowej Zelandii i jak porzuciłeś tę gościnną ziemię Maorysów? Czy powracałeś w ten sam sposób, jak stąd wyjechałeś?

- Tego by jeszcze brakowało! - odpowiedział z grymasem Negoro. - Każdy uczciwy człowiek kocha swój fach, więc i ja nie spałem i nie jadłem, myśląc o tym tylko, jakby się wydostać z kraju, w którym nie handluje się ”hebanem”. Marzeniem moim było wrócić do Afryki.

- Rozumiem cię doskonale - z ożywieniem potaknął Harris - w tym zawodzie trzyma nas zamiłowanie, a także korzyści wcale nie do pogardzenia! Twoja chęć powrotu do Afryki jest więc najzupełniej zrozumiała. Opowiadaj dalej.

- Przez półtora roku... - rozpoczął swą opowieść Negoro i nagle urwał.

- Harrisie - wyszeptał po chwili - nie słyszałeś szelestu w papirusach?

- Tak jakby... - szeptem również odpowiedział Harris, chwytając za broń. Przez parę minut obaj przyjaciele nasłuchiwali z uwagą, lecz wreszcie Amerykanin opuścił broń ze słowami:

- Przesłyszeliśmy się. To tylko wiatr. Opowiadaj więc dalej swe ciekawe przygody. Gdy skończysz z przeszłością, łatwiej będzie snuć plany na przyszłość.

Uspokojeni, z powrotem zajęli swe dawne miejsca pod bananowcem.

- Przez półtora roku tłukłem się jak ryba na lodzie w tym przeklętym Auckland. Jednego piastra nie miałem przy duszy. Więc z konieczności musiałem się najmować do najcięższych prac. Próbowałem wszystkiego!

- Nawet uczciwości? - z naiwną miną zapytał Amerykanin.

- Musiałem być tam uczciwym, mój przyjacielu - przyznał z przykrością w głosie rozżalony Negoro.

- Oj, biedaku! ☹le więc było tam z tobą!

- Nie najlepiej. Czyhałem jedynie na sposobność, aby się wydostać z tego piekła, w którym trzeba było pracować uczciwie! Wreszcie okazja nadeszła. Do Auckland zawinął ”Pilgrim”.

- Mówisz o tym samym brygu, który rozbił się u brzegów Angoli?

- Tak jest. Wracać na nim miała do męża, znajdującego się w San Francisco, żona bogatego właściciela statków, pani Weldon, ta sama, którą miałeś szczęście poznać. Na statku oprócz kapitana był jeszcze jego pomocnik, ów niedouczony mędrek Dick Sand. Wiesz dobrze, że jestem nie najgorszym marynarzem, niejednokrotnie przecież przyjmowałem na siebie obowiązki szypra statków z ”hebanem”. Poszedłem więc do kapitana ”Pilgrima” i zaofiarowałem mu swe usługi, mówiąc, iż gotów jestem przyjąć wszelkie obowiązki. Wakowała akurat posada kucharza i szczęśliwie zostałem przyjęty. Tak oto znalazłem się na pokładzie ”Pilgrima”.

- Wytłumacz mi - przerwał Harris - jakim cudem statek, który płynął, według opowieści Dicka Sanda, do Ameryki, znalazł się na wybrzeżach Angoli, która leży w Afryce?

- Tak... - odpowiedział z uczuciem zadowolenia i dumy Negoro - cud ten zdarzył się dzięki mej pomysłowości, memu geniuszowi. Jak to się stało? ... Tego Dick Sand nie odgadnie nigdy i nigdy się o tym nie dowie. Wiedziałem, iż ”Pilgrim” płynął do Valparaiso. Otóż tam właśnie miałem zamiar wysiąść, w nadziei, iż stamtąd już łatwiej mi będzie dostać się do Afryki zachodniej. W drodze jednak zaszły dwa niezwykłe przypadki. Naprzód na pokład dostało się pięciu Murzynów wraz z Dingiem, rozbitków z innego statku, a następnie kapitan ”Pilgrima”, Hull, zatonął wraz z całą załogą w czasie polowania na wieloryby. Wtedy na statku pozostało jedynie dwóch ludzi,

znających się na żegludze: niedorostek Dick Sand i kucharz okrętowy, a twój uniżony sługa.

- Teraz już wszystko rozumiem! Oczywiście objąłeś dowództwo? ...

- Myślałem o tym początkowo... nie dowierzali mi jednak. A na pokładzie znajdowało się pięciu rosłych i silnych Murzynów... Pojmujesz więc... Nie byli to, niestety, niewolnicy, lecz ludzie wolni, znający swe prawa i bądź co bądź kulturalni, gdyż urodzeni w Ameryce, z wyjątkiem starego Toma. O nakazaniu im posłuszeństwa wbrew ich woli nie mogłem marzyć.

Zrezygnowałem więc z zamiaru objęcia dowództwa i pozostałem na stanowisku kucharza, nie zdradzając się z tym, iż z rzemiosłem marynarza jestem nienajgorzej zaznajomiony.

- A więc zwykły przypadek sprawił, iż ”Pilgrim” znalazł się u afrykańskich wybrzeży?

- Bynajmniej, przyjacielu, ”nie ma żadnych przypadków ”- jak powiedział Darwin - ”są tylko takie lub inne okoliczności, które mają wpływ na bieg zdarzeń”. Cała sztuka polega więc na tym, by nimi kierować. Przypadkiem było to jedynie, iż cię tu spotkałem natychmiast po katastrofie ”Pilgrima”, jednak statek znalazł się właśnie tutaj dzięki mej woli, która z ukrycia wpływała na bieg wypadków. Wykorzystałem to mianowicie, że twój młody przyjaciel był zdolny do kierowania statkiem jedynie dzięki busoli. O kierowaniu według gwiazd nie miał najmniejszego pojęcia. Otóż pewnego pięknego poranka jeden z kompasów stłukł się przypadkowo, zaś drugi pewnej nocy został ”poprawiony”, przy pomocy zręcznie podłożonego żelaza, w ten sposób, że wskazywać zaczął fałszywy kierunek. Nie potrzebuję dodawać, że obydwa te wypadki były moim dziełem. Wynik tych zabiegów był taki, iż ”Pilgrim” zaczął płynąć nie na wschód, lecz na południowy wschód... A potem i log znalazł się na dnie morskim. Byłem wtedy już panem statku, bo tylko ja wiedziałem, w jakim ”Pilgrim”płynie kierunku. Przyznać zresztą muszę, że i szczęście mi sprzyjało, rozszalała się mianowicie burza, która pędziła statek wprost ku

przylądkowi Horn, który szczęśliwie ominął. Wtedy kompas, znów przypadkiem, zaczął wskazywać kierunek właściwy, co ostatecznie spowodowało, iż ”Pilgrim” znalazł się u brzegów Angoli, do której tak bardzo pragnąłem się dostać!

- I to akurat w chwili, gdy ja się tam znajdowałem. Twierdzę, że jedynie ludzie poczciwi nie mają zazwyczaj szczęścia. Bo ja jestem zawsze na twoje usługi, wiesz przecież, że darzę cię szczerą przyjaźnią. Dowiodłem tego choćby i teraz, gdy na twe życzenie wciągnąłem twych przyjaciół w głąb kraju. Co chcesz zrobić z nimi? - zapytał, kończąc swą wypowiedź Harris.

- Zobaczysz, mój drogi. Lecz przedtem zechciej mi powiedzieć, co porabia nasz dawny chlebodawca, Alvez?

- A cóż ma robić? Handluje niewolnikami, jak to robił dawniej. I żyje mu się nie najgorzej, jestem przekonany, że z radością cię powita.

- Spodziewam się, że jak zwykle przebywa w Bije?

- Mylisz się, już od roku ten stary łotr rezyduje w Kassande.

- I jego interesy wciąż idą dobrze, jak powiadasz?

- Stokroć lepiej niż dawniej, choć nasze zajęcie napotyka na coraz większe trudności.

Ogromnie przeszkadza nam w pracy nie tylko angielska flota, ale nawet władze portugalskie. W obecnych czasach jedynie w pobliżu Massamedes można dokonywać załadunku w miarę spokojnie. Toteż coraz częściej się zdarza, iż obozy są przepełnione towarem, oczekującym na możliwość wysłania go do kolonii hiszpańskich. Odcięto nam szlak przez Benguelę zamknięto dla nas port w Luandzie. Władze, zapewniam cię, Negoro, nie żartują teraz wcale, na nic już nie chcą patrzeć przez palce. Dobre czasy dawania łapówek minęły bezpowrotnie. Urzędnika przekupić obecnie nie sposób, choćby najwyższą sumą. Więc zadawalać się trzeba drogą lądową... i tak też robi stary Alvez. Życie nasze, jak widzisz, staje się coraz trudniejsze i obawiam się, że w końcu przyjdzie chwila, iż trzeba będzie rzucić ukochaną pracę i zlikwidować interesy.

Takie zdania i poglądy wyrażał ”łowca Murzynów” najspokojniej w świecie, jakby tematem rozmowy było istnienie

jakiejś instytucji społecznej czy humanitarnej.

Gdy Harris skończył, Negoro bez słowa odpowiedzi pogrążył się w głębokim zamyśleniu.

Amerykanin z uwagą zaczął mu się przyglądać. Harris wiedział już, co sądzić o swym przyjacielu. Dawny agent handlarza niewolnikami i zbieg z galer nie przestał być tym, czym był zawsze, czyli łotrem gotowym na wszystko. Nie mógł się jednak domyślić zamiarów, jakie miał Portugalczyk względem nieszczęsnych rozbitków z ”Pilgrima”, zagubionych w obecnej chwili w afrykańskich puszczach dziewiczych.

Postanowił zapytać o to wprost.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, Negoro, co zamierzasz uczynić z tymi rozbitkami?

- Jednych sprzedam jako niewolników, zaś pozostałych…

Negoro nie dokończył zdania, lecz dziki wyraz jego oczu najlepiej zastępował słowa.

- Których przeznaczyłeś na sprzedaż?

- Murzynów, oczywiście. Stary Tom, niestety, nie jest wart zbyt wiele, za czterech pozostałych jednakże zapłacą mi doskonale. Za Herkulesa zwłaszcza mam nadzieję dostać w Kassande grubą paczkę dolarów.

- Nietrudno będzie ich sprzedać - ze znawstwem przyznał Harris - ci czterej Murzyni to nie zwykły towar zapełniający rynek, lecz ludzie kulturalni, niezabiedzeni, znający pracę. To nie bydło ludzkie, które zwykle gnamy na targi, a które przy pierwszym zetknięciu się z cywilizacją wymiera masami. Toteż nie wątpię, że sprzedasz ten towar natychmiast i za doskonałą cenę.

Niewolnicy urodzeni w Ameryce to na targowiskach afrykańskich rzadkość, o którą kupcy będą się dobijać. Będą oni na wagę złota! Ale a propos - czy na statku nie było jakich pieniędzy?

- Ech, głupstwo, o którym nie warto mówić - niechętnie odpowiedział Portugalczyk, nie mający najmniejszej ochoty do dawania odpowiedzi bardziej szczegółowej.

- A więc jako zysk z rozbicia statku pozostaje jedynie ten czarny towar , który zresztą należy dopiero złapać? - spokojnie zapytał Amerykanin.

- Czyż złapanie ich wydaje ci się rzeczą bardzo trudną?

- Bynajmniej, kolego - głosem bardzo poważnym odpowiedział Harris - o dziesięć mil od miejsca w którym się znajdujemy, zatrzymała się karawana niewolników dowodzona przez mego przyjaciela Araba Ben Hamisa, która oczekuje na mój powrót, aby udać się w dalszą drogę do Kassande. Jest tam aż nazbyt wielu ludzi, by ująć Dicka i resztę gromadki. Cała trudność na tym polega, ażeby mój młody przyjaciel poszedł w stronę rzeki Kuanza. Jeżeli się tak stanie, ręczę za pomyślny wynik.

- Czy jednak ta myśl przyjdzie mu do głowy? - zaniepokoił się Negoro.

- Wszystko zdaje się wskazywać na to, że postąpi on właśnie tak, jak sobie życzymy. Ta, a nie inna myśl przyjść mu musi do głowy, zaś moje przekonanie opieram na tym, iż uważam Dicka Sanda za młodzieńca rozumnego. Jako taki, nie może on powracać na brzeg morski drogą przez las, jak ja to zrobiłem, ponieważ mógłby zabłądzić. Postara się więc o dojście do którejś z rzek, ażeby nią odbyć podróż na tratwie. To tylko mu pozostaje i jestem pewien, że tak zrobi.

- Możliwe... - przyznał Portugalczyk.

- Nie tylko jest to możliwe, ale zupełnie pewne - tonem nie dopuszczającym sprzeciwu powiedział Harris - jestem tego pewien tak, jakbym nad brzegami Kuanzy naznaczył Dickowi miejsce spotkania.

- W takim razie musimy się spieszyć, jeżeli chcemy się tam znaleźć pierwsi - powiedział Negoro, podnosząc się z miejsca. W tej samej chwili jednak dwaj nędznicy zamarli w bezruchu, usłyszawszy podejrzany szelest, który teraz się powtórzył z o wiele większą siłą. Nagle papirusowe liście rozchyliły się gwałtownie, rozległo się wściekłe ujadanie psa i nad brzeg rzeczki wyskoczył olbrzymi brytan z otwartą paszczą i dziko błyskającymi oczyma.

- Dingo! - zakrzyknął Harris - Jakim cudem on tutaj trafił! ?

- Przyszedł po swoją śmierć - wykrzyknął Negoro, chwytając za broń.

W tej chwili, gdy rozjuszony Dingo rzucił się na niego, padł strzał, po którym pies zawył boleśnie, głosem śmiertelnie ranionego zwierzęcia i znikł w gęstwinie krzewów.

Portugalczyk pobiegł śladem ranionego śmiertelnie, jak wnosił z upływu krwi, zwierzęcia, nie mógł go jednak nigdzie znaleźć.

Toteż po bezowocnych poszukiwaniach obaj gentlemani udali się wprost w stronę rzeki Kuanza.

# ROZDZIAŁ III

## W DZIEWICZYM LESIE

Afryka! Straszliwe słowo, które wyrwało się z ust Dicka w ową fatalną noc, w czasie której znikły już wszystkie wątpliwości, ani na jedną chwilę nie znikało z jego pamięci. W jaki sposób ”Pilgrim” mógł się znaleźć u afrykańskich brzegów? Jak błyskawica jego umysł nawiedziła myśl, że to busola musiała wskazywać zły kierunek. Przypomniał sobie tajemnicze rozbicie się pierwszego kompasu… Następnie, innej nocy, nagły krzyk starego Toma, który zasnął w tej właśnie chwili, gdy Negoro był przy budce kapitańskiej… Zerwanie się liny, podtrzymującej log… I powtórną tajemniczą wizytę Portugalczyka w pobliżu koła sterowego i jego mimowolny upadek na kompas…

Tak… wątpić dłużej byłoby już zbyt wielką naiwnością. To nie były pojedyncze przypadki, lecz z góry uplanowane czyny zbrodnicze, którymi kierowała wola Negora.

Lecz kim był właściwie ten nędznik? Oczywiście był to marynarz i to marynarz doświadczony, z dużą fachową wiedzą, gdyż inaczej nie byłby on zdolny do konsekwentnego przeprowadzenia tej, z iście szatańską zręcznością pomyślanej, intrygi. Lecz jakie wyrachowanie mogło kierować tym wszystkim? Czego pragnął, do czego dążył?

Nie było odpowiedzi na te pytania. Przeszłość była przesłonięta gęstą mgłą tajemnicy.

Teraźniejszość za to stała się przeraźliwie jasna. Bo przecież nie mogło być już żadnej wątpliwości, iż znajdują się w Afryce centralnej, a więc co możliwe, w Angoli.

Dick wiedział również i to, że spotkanie z Harrisem nie było przypadkowe. Jedynie człowiek będący w zmowie z Negorem

mógł twierdzić, że to jest Ameryka Południowa, Boliwia, pustynia Atakama...

Mówiąc to Harris mógł jedynie wypełniać rozkaz dany mu przez Negora. To za namową Portugalczyka oddalił ich on od morskiego brzegu. Lecz co było celem złoczyńców? Tego Dick Sand nie mógł jeszcze odgadnąć. Można było przypuszczać, iż Negoro ma zamiar złapania Murzynów, ażeby ich sprzedać na afrykańskich targowiskach jako niewolników... Mógł przypuszczać dalej, że pragnie dokonać na nim zemsty... Ale co uczynić miał zamiar ten nędznik z panią Weldon i z jej małym synkiem?

Jeżeli Dick Sand mógłby słyszeć rozmowę, przerwaną przez biednego Dinga, zrozumiałby część planów Negora i miałby możliwość oceny całej grozy położenia grupy, której przewodził.

Ale on o niczym nie wiedział, nie domyślał się zasadzek zastawionych na jego gromadkę.

Sytuacja ich była dramatyczna, lecz dzielny chłopiec nie upadał na duchu. Z ciężkim westchnieniem przyznawał, że obecnie położenie ich jest znacznie gorsze, niż było wtedy, gdy na drobnej łupinie wielkiego brygu był wydany na wściekłe ataki fal i wichru wielkiego oceanu.

Przyrzekał sobie wtedy, że panią Weldon i jej synka wyratuje z opresji. Teraz też musi ich ocalić.

Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca przedarły się przez gęste listowie drzew, młody wódz z całą energią i mocą ducha pierwszy zerwał się na nogi po nieprzespanej nocy. Podniósł oczy w górę i rzekł: ”Bądź wola Twoja, Panie, lecz jeżeli jest to możliwe, bądź dla nas miłosierny”, a następnie zbliżył się do starego Toma i łagodnie położył mu dłoń na ramieniu, budząc go w ten sposób.

- Tomie - powiedział szeptem - rozpoznałeś ryk lwa, widziałeś ślady przejścia karawany handlarzy niewolników i wiesz równie dobrze jak ja, że znajdujemy się nie w Ameryce, lecz na samym dnie ziemskiego piekła, to jest w krainie niewolników, w Afryce.

Stary Tom nisko pochylił swą posiwiałą głowę.

- Tak jest, kapitanie Sand, wiem o tym - odpowiedział drżącym głosem.

- A więc fakt ten musi pozostać naszą tajemnicą. Nikt z naszej gromadki nie powinien się tego domyślać. Nie powinna wiedzieć o tym pani Weldon; zbyt silnym byłoby to dla niej ciosem.

Stary Murzyn po chwili dłuższego namysłu odpowiedział:

- Tak jest, panie Sand, tak będzie najlepiej. Lecz bardzo ciężki jest teraz nasz los.

Po dłuższej naradzie młody wódz i jego stary doradca opracowali wspólny plan działania.

Obaj wychodzili z założenia, że Harris został niewątpliwie zaskoczony tym, iż Dick tak szybko odgadł prawdę. Dowodem była jego nagła ucieczka. Udało się pokrzyżować jego plany, gdyż nie doprowadził swych ofiar do umówionego miejsca, w którym, zgodnie z planem, miały być prawdopodobnie pochwycone. Zdrada Harrisa odkryta została, zanim jej cel był osiągnięty; nie groziło im więc chwilowo żadne niebezpieczeństwo.

Lecz cóż mają robić? Nie pozostawało nic innego, jak powracać możliwie najprędzej nad brzeg morski, a gdy się tam znajdą, pójść w jedną lub drugą stronę i tym sposobem dotrzeć do jakiegoś miasta portowego.

Jednak powrót tą samą drogą, to jest przez las - byłby wprost szaleństwem, nie mówiąc już o tym, że dałoby to ogromne szansę ludziom Harrisa, którzy wcześniej czy później zaczną ich ścigać. Zabłąkaliby się na pewno w tym dziewiczym lesie. Jedyna bezpieczna droga, która by ich z pewnością doprowadziła do morza, to droga brzegiem pierwszej lepszej napotkanej rzeki, a jeszcze lepiej - popłynięcie tą rzeką; ten sposób podróżowania ma jeszcze i tę zaletę, iż nie pozostawia za sobą śladów. W tych warunkach nawet napad tubylców zagrażał mniejszym niebezpieczeństwem, gdyż będąc na tratwie, dobrze uzbrojeni, bronić się mogli długo, z nadzieją zwycięstwa.

Tak rozumował Dick Sand. Jak widzimy Harris miał zupełną rację, gdy twierdził, że młody chłopiec do takiego, a nie innego dojdzie wniosku. Istotnie tylko tak mógł postąpić człowiek, umiejący myśleć logicznie.

Lecz jak znaleźć ową rzekę? Czy istniała ona w ogóle gdzieś w pobliżu?

Na pytanie to chłopiec mógł odpowiedzieć twierdząco, ponieważ w pobliżu miejsca, koło którego rozbił się ”Pilgrim”, wpadała do morza dosyć duża rzeka, która miała swój początek w górach, widniejących na krańcach horyzontu, które Dick brał kiedyś za Kordyliery. W obecnej chwili znajdowali się już w miejscu bardzo błotnistym, poprzerzynanym nieprzeliczoną ilością strumieni, które z konieczności zmierzać musiały ku jakiemuś większemu zbiornikowi wód. Otóż idąc brzegiem pierwszego lepszego napotkanego strumienia, wędrowcy musieli w końcu dojść do jakiejś rzeki, wodami której będzie można następnie dopłynąć do morza.

Szukać rzeki! - zakończyli swą naradę młody Dick i Tom, w tej właśnie chwili gdy reszta rozbitków zaczęła się budzić. Pierwsza otworzyła oczy pani Weldon, która nad ranem dopiero zdrzemnęła się chwilkę obok swego chorego synka. Pocałowawszy z ciężkim westchnieniem bladą twarzyczkę Janka, młoda kobieta podniosła się, a następnie zbliżyła do młodzieńca.

- Powiedz mi, Dicku, gdzie się podział pan Harris? Nigdzie go bowiem nie widzę.

Dick pojął natychmiast, iż ukrywanie odejścia Amerykanina nie doprowadziłoby do niczego, odpowiedział więc bez namysłu:

- Harrisa nie ma już z nami, pani.

- A więc udał się naprzód, by uprzedzić brata o naszym przybyciu? - zapytała, nic jeszcze nie rozumiejąca, pani Weldon.

- Ach, nie! Harris uciekł. I widzę, że będzie najlepiej, gdy powiem pani całą prawdę. Ów Harris był naszym wrogiem, sprzymierzeńcem Negora, który wciągnął nas w głąb lasu, na rozkaz byłego naszego kucharza.

- W jakim to zrobił celu? Dicku, zastanów się, co mówisz!

- Tego nie wiem. Wiem jedynie, iż powinniśmy jak najprędzej wracać nad morskie wybrzeże.

Pani Weldon smutnie pokiwała głową.

- Nie dziwi mnie ta wiadomość - odpowiedziała - już od dość dawna wyczuwałam coś niedobrego. Od pierwszej chwili nie dowierzałam temu człowiekowi, choć, co przyznaję, ujął mnie swą uprzejmością.

- Co się teraz stanie z moim Jankiem? - mówiła biedna matka - taka byłam pewna, że w owej farmie znajdę potrzebne lekarstwa. O moje dziecko! Moje biedne dziecko!

- Niech się pani nie martwi, dobra pani Weldon - odezwał się stary Tom - mały Janek odzyska zdrowie natychmiast, gdy tylko znajdziemy się nad brzegiem morza. A zresztą, ten przez wszystkich nas kochany chłopczyk jest chory mniej niebezpiecznie, niż się to z pozoru wydaje.

Znam ja dobrze febry tutejsze, są one groźne jedynie dla tych organizmów, które przez czas dłuższy były zmuszone przebywać w tym niezdrowym klimacie.

Pani Weldon w milczeniu uścisnęła rękę starego Murzyna, pokrzepiona ogromnie jego słowami.

- W takim razie ruszamy natychmiast w powrotną drogę - zawołał Dick - i do morza dążyć będziemy teraz z tym większym pośpiechem, że ma ono dać zdrowie naszemu drogiemu Jankowi.

- Jestem gotowa - odpowiedziała pani Weldon - jestem dość silna, by odbyć drogę powrotną, a nawet nieść będę mego synka.

- No, na to my wszyscy nie zgodzimy się nigdy - zawołał tonem nieśmiałym, lecz i stanowczym zarazem, syn Toma, Baty - dzięki Bogu, nie brakuje tutaj jeszcze silnych rąk, toteż nie tylko małego Janka, ale i panią poniesiemy, zmieniając się kolejno.

- Brawo, Baty, doskonale wyraziłeś naszą wspólną myśl. Tak jest, poniesiemy panią, zbudujemy tylko z gałęzi wygodne nosze.

- Dziękuję wam, moi przyjaciele - przemówiła ze łzami w oczach młoda kobieta - jestem dość silna na to, by iść. Jeżeli już koniecznie chcecie, to nieście mego synka. A teraz w drogę.

Zaledwie przeszli kilkaset kroków, gdy stary Tom zwrócił się do Dicka z pytaniem:

- A Dingo? ... Nie widziałem go jeszcze dzisiejszego ranka.

- Istotnie, Dinga nie ma od dawna - niespokojnym głosem odezwał się Herkules, który bardzo pokochał wierne zwierzę.

Wszyscy zaczęli nawoływać psa.

Odpowiedziała im głucha cisza. Nie odezwało się radosne szczekanie poczciwego Dinga.

Dick zaniepokoił się nie na żarty. Zniknięcie psa nie tylko był o przykre, ale zmniejszało bezpieczeństwo karawany. Lecz nie było czasu by go szukać. Toteż Dick nakazał dalszy marsz, w nadziei że Dingo w końcu ich odnajdzie.

Karawana podążała bardzo pośpiesznie, przy czym szczęśliwym trafem nie natknęli się na dzikie zwierzęta, tak iż podróż miała spokojny przebieg. Spotkali jedynie stado żyraf, a następnie bawołów.

# ROZDZIAŁ IV

## Afrykańskie bezdroża

W czasie krótkiego postoju mały Janek, który do tej pory spał smacznie i zdrowo, przebudził się i zupełnie przytomnymi oczami spojrzał na matkę. Febra mijała.

Ucieszony tą pomyślną zmianą Dick, wydał znów rozkaz marszu, wołając wesoło:

- W drogę!

Łatwiej jednak o drodze było mówić, niż ją odnaleźć w tym dziewiczym lesie. Dotychczas wędrowcy szli naprzód, krocząc ścieżynami, wydeptanymi przez dzikie zwierzęta, lecz i te stawały się coraz bardziej ”martwe”, według określenia tubylców, co oznaczało zdeptane ślady; zarastające świeżą trawą. Młodzi Murzyni coraz częściej byli zmuszeni uciekać się do pomocy siekier, by dać możliwość posuwania się naprzód. Na szczęście po jakimś czasie gromadka wkroczyła na drogę utorowaną przez słonie, które są jedynymi inżynierami afrykańskich lasów.

Tą przesieką, która się ciągnęła na ogromnej przestrzeni, grupa żywo i bez większego zmęczenia posuwała się naprzód.

Upał stawał się wprost nie do zniesienia, chociaż słońce nie prażyło już bezpośrednio, gdyż ciężkie zwały chmur przysłaniały niebo. Wkrótce i błyskawice zaczęły rozświetlać widnokrąg, a grzmoty z ciężkim hukiem przewalać się od wschodu do zachodu.

O grozie burz afrykańskich Dick słyszał od bardzo dawna, toteż młody wódz wyprawy zaczął się rozglądać za jakimś schronieniem, gdyż wprost nie do pomyślenia było, ażeby przetrwać burzę pod gołym niebem, biorąc pod uwagę, iż cała równina ulec mogła zalaniu.

Nie było innej rady, jak tylko pospieszać o ile to możliwe, by skryć się w przeciwległym lesie, w którym powódź, choćby największa, nie groziła niebezpieczeństwem utraty życia.

A burza się zbliżała z zatrważającą szybkością i mimo, że do zachodu słońca było jeszcze daleko, ciemności zapanowały zupełne.

Trzeba było uciekać. Mimo wielkiego zmęczenia wszyscy spieszyli się, ile im tylko sił starczyło. Deszcz nie padał jeszcze, gdy zaczęły już bić pioruny. Nie w nich jednak czaiła się największa groza.

Z niepokojem, z każdą minutą wzrastającym, Dick Sand spoglądał na czarne chmury, opadające coraz niżej ku ziemi. Ulewa się zbliżała, znalezienie jakiegoś schronienia stawało się więc koniecznością.

- Co robić? - zapytał Dick swego doradcy, starego Toma.

- Iść bez wytchnienia naprzód - odpowiedział starzec stanowczym tonem - musimy się dostać na jakieś wzniesienie lub choćby do lasu, ponieważ, gdyby ulewa zaskoczyć nas miała na tej równinie, mogłoby to być dla nas niezwykle groźne.

W tej samej chwili jaśniejsza od innych błyskawica oświetliła całą równinę. U jej krańca widać było szałasy, czy też namioty.

- Tomie! - zakrzyknął wtedy Dick. - Tomie! Czy widziałeś?

- Tak jest, kapitanie, dojrzałem coś, jakby duży obóz - odpowiedział Tom, bardzo niezdecydowanym głosem.

W świetle nowej błyskawicy można się było przyjrzeć o wiele lepiej domniemanemu obozowi. Składał się on z jakiejś setki namiotów, czy też szałasów, wysokości od dwunastu do piętnastu stóp, ustawionych równo w czterech rzędach i zajmujących dosyć dużą przestrzeń.

Dookoła nich nie było widać żywej duszy. Nawet na najdalszych krańcach obozowiska nie można było dostrzec choćby jednego wartownika. Czyżby schronili się przed burzą, czy może obóz nie był już zamieszkany? W pierwszym przypadku - należało uciekać stąd jak najszybciej, niebezpieczeństwa przyrody bowiem były mniej straszne, aniżeli zetknięcie się z niektórymi szczepami tubylców,

pomiędzy którymi i ludożerców nie brakowało. W przypadku drugim, czyli wtedy, gdyby się okazało, że namioty zostały, wszystko jedno z jakich przyczyn, opuszczone, należało czym prędzej z tego skorzystać.

- Ja sam udam się na zwiady - powiedział Dick - ty zaś. Tomie, obejmij komendę.

- Może byś pozwolił, kapitanie, by choć Herkules ci towarzyszył? - odezwał się nieśmiałym głosem Tom.

- Nie, mój zacny przyjacielu. Pójdę sam. I wierz mi, że jest to najbezpieczniejsze. Jedna osoba bowiem przemknąć się może niepostrzeżenie.

Mała grupka wędrowców zatrzymała się natychmiast, zgodnie z rozkazem swego młodego wodza, który ostrożnie się skradając, podążył w stronę tajemniczego obozu.

Po dłuższej chwili oczekiwania, Dick powrócił ze słowami:

- Chodźcie prędzej, chodźcie! I nie obawiajcie się niczego, to nie jest żaden obóz, to, cośmy brali za namioty, to mrowiska!

- Co! Mrowiska? - z nagłym zainteresowaniem zapytał kuzyn Benedykt.

- Tak jest, to są mrowiska, a raczej cała ich kolonia i to tej wysokości, iż są one wyższe od Herkulesa. Mam nadzieję, że możemy śmiało szukać w nich schronienia.

- Ale jeżeli te mrowiska zamieszkałe są przez mrówki, a raczej przez termity, gdyż te owady jedynie są zdolne do wznoszenia podobnie genialnych budowli, jakich nie powstydziłby się najbieglejszy choćby architekt.

- Jak się te owady nazywają jest to najzupełniej obojętne. W każdym razie musimy je wygnać z ich siedzib, bo jest to dla nas sprawą życia lub śmierci - gwałtownie odpowiedział Dick. - Dalej więc w drogę i to jak najprędzej, ponieważ spadać już zaczynają pierwsze krople deszczu, który za minutę zamienić się może w nawałnicę.

- Ależ owe termity zjedzą nas w zupełności i trzeba im to przyznać, będą miały do tego prawo - z oburzeniem zawołał entomolog.

- Ha! Zobaczymy jak to z nami będzie. W każdym razie musimy się schronić przed ulewą - zadecydował Dick.

- W dodatku, mój drogi Dicku, musiałeś się pomylić, ponieważ podobne budowle termitów znajdowały się dotychczas jedynie w Afryce - zdziwił się kuzyn Benedykt.

- W takim razie to nasza zasługa, iż my pierwsi odkryliśmy w Ameryce gniazda termitów! - odpowiedział zmieszany Dick, spoglądając ukosem na panią Weldon, która na szczęście nic nie słyszała. - A teraz w drogę, w drogę!

Zaczął padać coraz bardziej ulewny deszcz, jego wielkie krople z głuchym odgłosem kapały na rozpaloną ziemię. Stawało się jasne, że jeszcze parę minut, a ulewa zastanie ich na otwartej przestrzeni.

Na szczęście, jeszcze przed jej nadejściem udało się wędrowcom dobiec do pierwszego mrowiska, zbudowanego z czerwonawej gliny, równie twardej, jak najtwardszy cement. U dołu każdej budowli znajdował się mały otwór, przez który mogły wejść do wnętrza mrówki, lecz nie ludzie. Herkules musiał rozszerzyć nożem wejście, tak, by człowiek jego nawet wzrostu mógł przejść swobodnie. Ku wielkiemu zdziwieniu kuzyna Benedykta, w czasie całej operacji nie pokazał się ani jeden owad. Szczęśliwy traf najwidoczniej zaprowadził wędrowców do mrowiska opuszczonego. Korzystając z tego, wszyscy ze zrozumiałym pośpiechem weszli do wnętrza, w tej samej nieomal chwili, gdy deszcz padać zaczął z siłą nieznaną Europejczykom.

Dla bohaterów naszych był on jednak obojętny, gdyż już mieli dach nad głową. Szczęśliwy los pozwolił im napotkać schronienie niedostępne dla deszczu i wichury. Żadna lepianka, żadna najwspanialsza choćby chata murzyńska nie mogła być solidniej zbudowana, jak te mieszkania termitów, które, według określenia podróżnika Camerona, są o wiele bardziej zdumiewające, biorąc pod uwagę siły i wzrost budowniczych, aniżeli egipskie piramidy, przez ludzi wzniesione.

Gdyby cywilizacja nasza wzniosła gmach tak wielki jak szczyt Mont Blanc lub Everest, dopiero wtedy porównać by go można

było z arcydziełami tych małych budowniczych.

# ROZDZIAŁ V

## W MROWISKU

W czasie, gdy wędrowcy starali się najdogodniej ulokować w mrowisku, na dworze deszcz lał z tą nieposkromioną siłą, jaką obserwować można jedynie w krainach środkowej Afryki. Tutaj nie mogło być mowy o pojedynczych kroplach wody spadających z nieba; lała się ona całymi rzekami, z siłą największych wodospadów. Europejczyk, który nie widział takiego żywiołu, jakim jest ulewny deszcz afrykański, nie może go sobie wyobrazić. Jedynym możliwym porównaniem, które uzmysłowić by zdołało siłę tego zjawiska, jest obraz olbrzymiego jeziora opadającego niespodziewanie i nagle na ziemię. Deszcz afrykański, to jezioro Czad nad chmury wzniesione i stamtąd lejące się na dół! Jakim cudem podobnie wielkie masy wody w powietrzu mogą się utrzymywać - jest rzeczą niepojętą. Zagadnienie to nie zostało jeszcze przez naukę wyjaśnione. Jest jednak faktem, iż podobne nawałnice trwają czasami całe tygodnie. W okresach takich w Afryce powtarza się to, co miało miejsce w czasie biblijnego potopu.

Tak olbrzymich mas wody ziemia pochłonąć nie jest zdolna. Toteż w okolicach zalanych tworzą się momentalnie olbrzymie jeziora, rozciągające się czasami na dziesiątki mil.

Na szczęście, mrowiska budowane przez termity mają grube ściany, przez które woda przeniknąć nie potrafi. Objąwszy termitierę w posiadanie. Dick starał się poznać jej rozkład wewnętrzny. Stożek mający do dwunastu stóp wysokości, posiadał u dołu jedenaście stóp szerokości i tyleż długości; ku górze mrowisko zwężało się stopniowo, co upodobniało je do głowy cukru. Ściany były na stopę grube. Wnętrze miało wiele pięter i komór.

Wędrowcy mieli ogromne szczęście, że zajęta przez nich termitiera została opuszczona przez jej właścicieli. Gdyby było inaczej - niepodobna by było szukać w niej schronienia.

Od kiedy jednak była ona opuszczona?

Kuzyn Benedykt, który znalazł w mrowisku drobiny gumy świeżo zniesionej z drzew, ledwo zagęszczonej, był zdania, że termity wyszły stąd przed kilkoma, kilkunastoma zaledwie godzinami.

- Jaki pan wysnuwa z tego wniosek? - zapytał Dick.

- Taki, iż jakiś nakaz, albo inaczej mówiąc - instynkt, zmusił te stworzenia do porzucenia swych siedzib. Nie mogło się to stać bez uzasadnionej przyczyny. Jestem pewien, że przeczuły one powódź i aby jej uniknąć, schroniły się na konary pobliskich drzew.

Na tym rozmowa się urwała. Podróżni wyczerpani i zmęczeni nad miarę, ułożyli się na półkach, jak można najwygodniej i pozasypiali wkrótce.

Jedynie Dick nie spał, lecz zatonął w głębokiej zadumie. Jakim cudem ocalić zdoła ludzi, którzy ufali jego rozumowi? Miał dotrzeć do rzeki. Lecz czyją znajdzie? Zwłaszcza teraz, gdy całe połacie ziemi zamieniły się w jeziora?

- Jakie szczęście - powiedział do siebie półgłosem chłopiec - że tylko ja i Tom znamy całą grozę położenia, że nikt inny, nie domyśla się nawet, iż jesteśmy nie w Boliwii, lecz w samym sercu Afryki, w dzikiej Angoli!

Wtem Dick Sand uniósł się w górę z bijącym sercem. W ciemnościach nieprzeniknionych czuł, że jego ramienia dotknęła drobna ręka kobieca i usłyszał słowa:

- Ja wiem wszystko, Dicku kochany, od dawna. Bądź jednak spokojny o mnie. Nie rozpaczam i ufam Bogu, że wyprowadzi nas cało z tej niedoli.

# ROZDZIAŁ VI

## Dzwon dla nurków

Po rozmowie z panią Weldon biedny chłopiec rozpłakał się gorzko. Nie były to jednak łzy bezsilności, bólu, rezygnacji - lecz łzy niemocy.

Spędził bezsenną noc, z niecierpliwością oczekując świtu.

Dzień nie nadchodził jednak, najmniejszy odbłysk światła nie wnikał przez otwór u podstawy stożka. Odgłos grzmotów głuszony grubością ścian dowodził, że burza nie ucichła. Dick uważnie przysłuchiwał się odgłosom spadającej ulewy i zauważył, że deszcz nie spada już teraz na grunt spalony, że nie bębni o ziemię, lecz pluszcze, co dowodziło, że równina uległa zalaniu, że stoi już na niej wszędzie woda.

Okoliczność ta zaniepokoiła go nie na żarty. Przez wybity otwór potop mógł się dostać do wnętrza mrowiska, należało więc zasklepić wejście. Dick rozmiękłą gliną zalepił wybitą przez Herkulesa dziurę, pozostawiając u góry wystarczająco wielką szczelinę, by przez nią napływać mogło świeże powietrze.

Po wykonaniu tej pracy, która odebrała mu resztki sił, chłopiec postanowił, że zaśnie na dwie choćby godziny. Przez przezorność jednak położył się przy samym otworze i zapadł w głęboki sen.

Obudziło go uczucie dotkliwego zimna. Zerwał się prędko i ujrzał z przerażeniem, że woda zalewała mrowisko i to z taką szybkością, iż dochodziła już do wyższego piętra, to znaczy do komórek, które zajmowali Murzyni. Obudził ich natychmiast, powiadamiając o nowym niebezpieczeństwie.

Herkules zapalił natychmiast małą lampkę podróżną i przy jej świetle zaczął badać stan ich schronienia.

- Woda już się nie podnosi, kapitanie, lecz stoi w miejscu - powiedział po chwili - niebezpieczeństwo już nam nie grozi.

- Nie grozi nam jeszcze... - odpowiedział Dick - niewielka to pociecha! A gdy woda znów zacznie przybierać?

- To zalepimy otwór, a wtedy nic nas przybierająca woda obchodzić nie będzie - odezwał się Akteon.

- Wtedy znaleźlibyśmy się jakby w dzwonie dla nurków. Nie potonęlibyśmy, lecz za to się podusili - odpowiedział Dick.

- A to w jaki sposób?

- Z powodu braku powietrza. W dzwonie dla nurków bowiem powietrze jest odnawiane bezustannie przy pomocy pomp, dzięki czemu nurkowie swobodnie mogą oddychać; my natomiast tutaj bylibyśmy zupełnie odcięci od dopływu świeżego powietrza.

- Co więc mamy robić? - zapytał Tom.

- Wybijemy otwór w samym szczycie stożka, a następnie naradzimy się nad tym, co powinniśmy uczynić.

Herkules udał się na najwyższe piętro i toporem bardzo szybko wyrąbał otwór dość duży, by - się przezeń mógł przedostać człowiek.

Słońce właśnie wschodziło.

Wydźwignięty przez Herkulesa Dick Sand wychylił się przez otwór u szczytu termitiery.

Lecz w tej chwili stało się coś okropnego. Zaledwie Dick znalazł się na wierzchołku kopca, gdy usłyszał świst licznych strzał. Przerażony, cofnął się szybko, lecz zdążył w tej krótkiej chwili ogarnąć wzrokiem sytuację.

Cała równina zalana była wodą i zmieniła się w jedno wielkie jezioro. Jedyną wyspę na rozległej przestrzeni wody, stanowił szczyt góry, zauważonej już przez Dicka wczoraj, na którym rosło parę drzew. U stóp ich widniały liczne namioty jakiejś dużej karawany.

Wszystko to widoczne było na dalszym planie. Mrowisko zaś otaczało kilkanaście łodzi, wypełnionych dobrze uzbrojonymi tubylcami.

Młody wódz szybko zeskoczył z ramion Herkulesa i w krótkich słowach opowiedział, co zobaczył.

Herkules pochwycił broń, to samo uczynili pozostali jego towarzysze, lecz stary Tom ostudził ich zapał i chęć do walki.

- Nie gubcie pani Weldon i jej synka - mówił. - Bronić się chcecie? Jak? Zbyt wielka jest liczba wrogów. Walczyć będziemy godzinę, dwie, zabijemy wystrzałami kilkunastu, lecz reszta rzuci się na nas i wymorduje wszystkich, nie oszczędzając nikogo. Lepiej się poddać.

Ten głos rozsądku zwyciężył i nieszczęśliwi rozbitkowie dobrowolnie oddali się w niewolę.

Krajowcy wtargnęli do mrowiska, wyciągnęli z niego siłą panią Weldon wraz z synkiem, a następnie i wszystkich pozostałych. Nieszczęśnicy nie mogli zamienić ze sobą nawet kilku słów pożegnania, gdyż natychmiast brutalnie ich rozłączono.

Na pierwszej łodzi odpłynęli: pani Weldon, Janek i kuzyn Benedykt. Do drugiej wtłoczono razem Dicka i Murzynów i powieziono ich w przeciwległym kierunku niż pierwszą grupę jeńców.

Widać było, że napad był zaplanowany i że atakujący oddział działał według z góry wydanych rozkazów.

Po pewnym czasie łódź wioząca Dicka przybiła do brzegu.

W tejże chwili Herkules, korzystając z zamieszania, wyrwał karabin z rąk jednego z żołnierzy i pierwszy wyskoczył na brzeg, a następnie, waląc kolbą sztucera jak maczugą, zniknął w pobliskim lesie, ścigany gradem kul, które jednak go nie dosięgły.

Po tej utarczce, skończonej niepowodzeniem napastników, wysadzono Dicka, wraz z resztą towarzyszy, na brzeg po uprzednim skrępowaniu ich rąk.

Z ludzi wolnych stali się niewolnikami.

# ROZDZIAŁ VII

## W NIEWOLI

Zły los, zaiste, sprawił, że Dick ze swą drużyną zmuszony był szukać schronienia w mrowisku, znajdującym się w pobliżu obozu handlarzy niewolnikami. Gdyby nie to, byłby on niewątpliwie dostał się do rzeki Kuanzy i jej wodami, na tratwie, dopłynął do morskiego wybrzeża, na którym wcześniej czy później znalazłby jakiś ratunek.

Na nieszczęście stało się inaczej i rozbitkowie znaleźli się w mocy owego Ben Hamisa, o którym Harris mówił Negorowi.

Obóz arabskiego handlarza niewolnikami znajdował się pod potężnymi konarami olbrzymiego baobabu , w cieniu którego zmieścić się mogło wygodnie do pięciuset żołnierzy.

Niewiarygodnie wielkie rozmiary tych drzew wprawiają w podziw wszystkich podróżujących po Afryce środkowej. Cameron, który przeprawił się przez Kuanzę, w swej powrotnej drodze do Bengueli, opowiadał, że widział drzewa o wiele większe jeszcze, aniżeli baobab, mianowicie sykomory, figowce i banany.

Otóż w cieniu jednego z takich gigantów zatrzymała się karawana niewolników, należąca do znanego w całej Afryce handlarza Alveza.

Grupa nieszczęśliwców dozorowana była przez sporą ilość doskonale uzbrojonych żołnierzy, przeważnie tubylców. Prowadzono ją na targ do Kassande. Stamtąd dopiero niewolnicy mieli być wysłani bądź do osad na zachodzie, bądź do Niangue, gdzie osiągali zazwyczaj najwyższe ceny, a potem byli transportowani dalej, do Egiptu lub do faktorii Zanzibaru.

Gdy tylko łódka, w której się znajdował Dick z towarzyszami, przybiła do brzegu, czarni żołnierze, rozmawiający pomiędzy sobą w jakimś narzeczu najzupełniej dla Toma

niezrozumiałym, pochwycili nowo ujętych więźniów i zaciągnęli ich do obozu, w którym skrępowano ich w sposób, w jaki pętano wszystkich pędzonych na targ niewolników. Starego Toma, jego syna Baty'ego, Akteona i Austyna, traktowano ze specjalną surowością. Powiązano ich po dwóch, specjalnymi kajdanami, które obejmują szyję żelaznymi klamrami zamykanymi na kłódki. Tak skrępowani i złączeni razem niewolnicy musieli iść w szeregu, jeden za drugim, nie mając możliwości zboczenia na krok w tę lub inną stronę.

Ręce pozostawiono im wolne, by mogli nieść ciężary. Nogi również mieli nieskrępowane, bo o ucieczce nie mogli nawet marzyć.

Tom, Akteon, Baty i Austyn, a nawet i biedna, stara Noon, musieli poddać się losowi. Z przerażeniem spoglądali na dno otchłani i przeklinali los, który sprawił, iż w jednej chwili zmienili się z ludzi wolnych w niewolników. Z jakąż zazdrością myśleli o Herkulesie. I jak się dręczyli myślą, że nie mogą iść w jego ślady!

A jednak los tego ich towarzysza, chociaż uniknął on niewoli, nie był bynajmniej godzien pozazdroszczenia. Któż mógł przewidzieć, jakie niebezpieczeństwa oczekiwały samotnego śmiałka w dziewiczym afrykańskim lesie? Herkules był co prawda bardzo silny, lecz czyż sama siła okaże się zdolna do przezwyciężenia wszystkich niebezpieczeństw puszczy, z jej dzikimi zwierzętami, ulewami, głodem? Kto wie, czy nie pozazdrości on jeszcze losu współtowarzyszom, którzy nie mogli się przecież spodziewać żadnej litości od przewodników karawany - Arabów lub Portugalczyków - mówiących niezrozumiałym dla nich językiem. Nadzorcy porozumiewali się ze swymi ofiarami jedynie przy pomocy groźnych ruchów lub dzikich spojrzeń. Zimny pot oblewał twarze czarnych przyjaciół, gdy zaczynali myśleć o tym, co ich jeszcze czekało w przyszłości.

Niewiele lepsze było położenie Dicka. Prawda, nie ośmielili się zakuć go w niewolniczą deskę, lecz mimo to był również jeńcem. Ten, bądź co bądź przywilej, zawdzięczał temu, że był

białym, nie ośmielano się więc traktować go na równi z Murzynami. Odważny chłopiec nie stracił głowy w swym groźnym położeniu. Uważnie rozglądał się dokoła, tak iż nic nie zdołało ujść jego uwagi. Szukał bezustannie wzrokiem Harrisa lub Negora, gdyż nie wątpił, że uwięzienie jego i jego towarzyszy stało się za wiedzą dwóch złoczyńców, a zapewne także z ich rozkazu. Lecz nikczemników tych nie udało mu się nigdzie zobaczyć, tak że był prawie pewien, że nie ma ich w obozie, po którym krążyli Maurowie, czarni żołnierze i biali agenci.

Nieobecność Harrisa i Negora w obozie zaczęła nawet niepokoić Dicka, gdyż wskazywało to na to, że dwaj ci zbrodniarze znajdowali się w jakimś innym miejscu, do którego przewieziona została niewątpliwie pani Weldon. Zapominając o własnym losie, chłopiec niepokoił się, co się stało z jego opiekunką, jej małym synkiem i z kuzynem Benedyktem? Myślał tylko o tym, zapominając o własnych cierpieniach i niewoli.

Karawana niewolników, wśród których znajdował się również i nasz bohater, składała się z mniej więcej ośmiuset osób. Większość stanowili brańcy, w liczbie prawie pięciuset ludzi różnej płci i wieku. Pilnowało ich dwustu żołnierzy, na pozostałą setkę składali się dozorcy, naganiacze, agenci, tragarze oraz służba.

Tragarze, którzy zazwyczaj towarzyszą karawanom niewolników, są używani do dźwigania ładunku kości słoniowej, której ciężar bywa przeważnie ponad siły kobiet i dzieci. Tych ostatnich bowiem bywa w karawanach najwięcej, a to z tej przyczyny, że olbrzymi procent mężczyzn ginie w walkach bratobójczych; z konieczności więc do niewoli są brane kobiety oraz dzieci.

Przewodnicy karawan w przeważającej ilości przypadków są pochodzenia arabskiego lub portugalskiego. Trudno sobie wyobrazić okrucieństwo, z jakim obchodzą się oni z niewolnikami.

Widok tych nieszczęśników mógłby wzbudzić litość nawet w sercach dzikich zwierząt. W duszach handlarzy uczucie podobne nie gości nigdy. Niewolnicy są bici bezustannie, zaś tych, którzy padają na drodze z wyczerpania, dobija się bez litości.

Łatwo się domyśleć, iż agentami przedsiębiorstw handlowych tego rodzaju są największe łotry, którym zbyt ciasno było w Europie, lub z niej uciekli w obawie przed czekającą ich karą.

Są to skazańcy, dezerterzy, handlarze niewolników, którzy uniknęli stryczka. Jednym słowem - ostatnie szumowiny Europy. Do takiej kategorii nikczemników należeli Harris i Negoro.

W czasie wędrówki jak i odpoczynków jeńcy byli bardzo surowo strzeżeni. Dick od razu zrozumiał, że o ucieczce nie może być mowy.

Mimo swego tragicznego położenia, Dick Sand nie o sobie myślał, martwił się o los pani Weldon i był pełen obaw, że może być on okropny, gdy się weźmie pod uwagę, iż znajduje się ona w rękach takich nikczemników, jak Harris i Negoro.

- Boże! - szeptał, zgrzytając zębami z wściekłości. - Gdy sobie przypomnę, że miałem możliwość zabicia każdego z nich, ogarnia mnie rozpacz i żal, że tego nie uczyniłem! O, gdybym spotkał ich jeszcze kiedyś! Wtedy nie przepuściłbym już kolejnej sposobności!

Lecz cóż mógł zdziałać jeniec, będący tylko marionetką w pędzonym ludzkim stadzie? Gdyby był wolny jak Herkules, któremu się udało wydostać szczęśliwie z rąk oprawców!

Chociaż Dick nie znał ani portugalskiego, ani arabskiego, jak również żadnego z miejscowych narzeczy, zrozumiał, iż karawana dąży do Kassande i zatrzyma się w tym mieście niebawem.

Dawniejsza namiętność Dicka do rozczytywania się w opisach wypraw różnych podróżników, a także do nauki geografii, okazała się dla niego korzystną. Dzięki niej wiedział dość dokładnie czym są te olbrzymie, niezbadane przestrzenie, które my nazywamy Afryką środkową. Wiedział również, co oznacza

słowo ”Kassande”, tak często wymawiane przez wszystkich uczestników karawany. Otóż miasto to, a mówiąc ściślej: osada, znajdowało się w odległości około czterystu mil od Luandy, a więc w odległości dwustu pięćdziesięciu mil od Kuanzy, nad brzegami której był rozłożony obóz karawany Ben Hamisa. Rozmyślając nad tym Dick doszedł do wniosku, że nawet wyzuci z sił niewolnicy okażą się zapewne zdolni do przebycia tej drogi w trzy tygodnie.

Dick pragnął zakomunikować to Tomowi i jego towarzyszom, a to dlatego, iż stać by się to mogło dla nich pociechą, gdyby wiedzieli, że nie zostaną zapędzeni w głąb Afryki, skąd się już nie wraca, lecz do bliskiego morza Kassande.

By to swoje pragnienie zrealizować, Dick powinien był postarać się o to, aby zbliżyć się, o ile to będzie możliwe, do swych współtowarzyszy niedoli, a następnie pierwszemu lepszemu z nich szepnąć do ucha jedno choćby tylko słowo ”Kassande”.

Na szczęście, Tom i jego syn Baty, połączeni zostali jednymi kajdanami i znajdowali się na prawym skrzydle obozowiska.

Lecz jak można się zbliżyć do nich, bez zwrócenia uwagi dozorców?

Nie zważając na niesprzyjające okoliczności Dick, udając że go zabolała noga, zaczął postępować wolniej, co chwila się zatrzymując, tak iż w krótkim czasie Tom i Baty zbliżyli się bardzo do niego. Wtedy Dick podskoczył i zdołał szepnąć Baty 'emu, że karawana dąży do Kassande i że stanie na miejscu za jakieś trzy tygodnie.

Rozmowę natychmiast zauważyli strażnicy i jeden z żołnierzy rzucił się na Dicka. Powalił go na ziemię z nadzwyczajną wprost brutalnością. Dick bronił się zaciekle, lecz w końcu uległ przemocy. Rozwścieczeni oporem żołdacy byliby go być może zarąbali i Dick polecał już duszę Bogu, gdy nagle na miejscu walki znalazł się wysoki Arab ubrany w biały burnus. Uspokoił żołnierzy, którzy na jego głos zamarli w bezruchu. Był to, jak się później Dick dowiedział, sam Ben Hamis - przywódca karawany.

Tylko zjawieniu się Ben Harrisa zawdzięczał Dick swe ocalenie, toteż przyrzekł sobie, iż w przyszłości będzie ostrożniejszy.

Zgodnie z dalszymi rozkazami wodza, Dick został odprowadzony na dawne miejsce. Gorzej było z Tomem i jego synem, którzy bezlitośnie bici batami, zostali odprowadzeni do oddziału specjalnie surowo strzeżonego. Znajdowali się tam zbuntowani niewolnicy.

Dick wywnioskował, że co do jego osoby wydane zostały jakieś specjalne rozkazy, dzięki którym mógł się on nie obawiać natychmiastowej śmierci. Kto za tym stał? Oczywiście Harris i Negoro, którym najwidoczniej na jego życiu zależało. Jaki mieli cel? Dick myślał o tym z przerażeniem, lecz starał się zachować spokój.

Pochód ruszył dalej. Po chwili z szeregów idących dotychczas w głuchym milczeniu niewolników, wzbił się ku niebu śpiew, któremu towarzyszyły dźwięki jakiegoś prymitywnego instrumentu muzycznego, podobnego do harfy o trzech strunach:

”Myśmy niewolnicy - bezwolni w waszych bezlitosnych rękach. Lecz nie na długo. Śmierć targa okowy, więc wyzwoli nas z waszej przemocy. Pędzicie nas lasami, bagnami, dolinami rzek... Podróż nasza trwa miesiącami. Lecz nasza droga powrotna będzie szybsza! Wracać będziemy na skrzydłach śmierci niesieni wiatrem zemsty. Żywi - jesteśmy waszą własnością, po śmierci - będziemy wolni, a wtedy nadejdzie czas strasznej zemsty! Mścić się będziemy nie tylko na was, lecz i na waszych dzieciach i na dzieciach waszych dzieci. Zemsta nasza będzie trwać wiecznie, wiecznie, wiecznie...”

# ROZDZIAŁ VIII

## Z pamiętnika Dicka

Chociaż burza i połączona z nią ulewa ucichła z pierwszymi blaskami wschodzącego słońca, ciężkie chmury ciągle jeszcze przewalały się po niebie. Nie należało się spodziewać, by pogoda zmieniła się szybko, pora deszczowa bowiem trwa tu parę tygodni. Rzadko zdarzał się taki dzień, w którym by deszcz nie padał. Zazwyczaj ulewa rozpoczynała się pod wieczór i trwała do rana.

Taka aura, rzecz zrozumiała, zwiększała jeszcze męki niewolników.

Cierpiały zwłaszcza kobiety, pomiędzy którymi było wiele matek z potomstwem. Wraz z innymi ciężki swój los dźwigała z wytrwałością Noon, którą skuto z jakąś młodą matką dwojga dzieci. Jedno z nich było przy piersi, zaś drugie, trzyletnie zaledwie, do tego stopnia osłabło, że nie mogło się utrzymać na swych cienkich nóżkach. Stara Noon, choć wyczerpana, nie mogła patrzeć spokojnie na cierpienia maleńkiej dziewczynki i wzięła ją na ręce. Lecz ciężar ten okazał się ponad jej siły, toteż uginała się pod nim. Dźwigała jednak maleństwo resztkami sił, ponieważ niesione dziecko miało stopy całe w krwawych ranach.

Dick Sand szedł w samym środku karawany, w pobliżu Ben Hamisa, który niejednokrotnie zbliżał się do niego na koniu, ażeby sprawdzić jak się więzień zachowuje.

Okolica, przez którą wędrowała karawana, była nieomal porośnięta lasem, dość rzadkim na szczęście, tak iż przejście jej było łatwe. W niektórych tylko miejscach pochód ginął w gąszczu bambusowych krzewów.

Dzień w dzień karawana wyruszała w drogę z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca i szła bez wytchnienia aż do

postoju, który miał miejsce w południe. Wtedy wszyscy niewolnicy dostawali po parę garści maniokowej mąki, którą jeść musieli na surowo, popijając wodą. Jeżeli przechodzili przez uprawne pola, co się zdarzało zresztą bardzo rzadko, do tej skromnej porcji żołnierze dodawali każdemu po parę surowych kartofli, które tam noszą nazwę patatów. Choć porcje nie były głodowe, nie wszyscy byli zdolni do ich spożywania. Zwłaszcza kobiety, które padały ze znużenia, w minutę po zatrzymaniu się na postoju zapadały w sen lub leżały apatycznie z otwartymi oczami, nieczułe już na głód.

Taki stan wyczerpania niewolników zwiększał ich śmiertelność, więc bardzo często okazywało się, że ci, którzy po przyjściu na postój zapadali w sen, w chwili ponownego ruszania karawany w dalszą podróż byli już martwi. Nie upłynął jeszcze tydzień od chwili opuszczenia przez karawanę brzegów Kuanzy, gdy około dwudziestu niewolników różnej płci i wieku zmarło w drodze i pozostało przy szlaku, na pastwę dzikich zwierząt. Lwy, pantery i lamparty szły nieprzerwanie za karawaną w oczekiwaniu na świeże ofiary i codziennie po zachodzie słońca ich wycia rozlegały się tak blisko, iż w każdej chwili obawiać można się było napaści.

By się uchronić od takiego ataku, co noc dookoła obozu płonęły wielkie stosy porąbanych drzew. Nierzadko koncerty dzikich zwierząt były tak głośne, że całą noc nie sposób było na chwilę zmrużyć oka.

W chwilach takich Dick Sand ze strachem myślał o Herkulesie, lękając się o jego los, który w takich warunkach mógł być straszny, lecz także o innych członków grupy, którym olbrzym ten mógł ułatwić ucieczkę.

W rękach autora tej powieści znajdowały się, przez czas bardzo krótki zresztą, autentyczne notatki Dicka Sanda, z których zamieszczamy wyjątki, dotyczące pochodu karawany niewolników.

Oto co napisał bohater powieści:

Od 25 do 27 kwietnia: Przechodziliśmy w pobliżu małej osady murzyńskiej, otoczonej trzcinowym płotem, przewyższającym

wzrost dorosłego człowieka. Dookoła niej widniały pola uprawne, na których rosła kukurydza, sorgo i pataty. Nasi żołnierze wdarli się poza palisadę.

Mieszkańcy, na szczęście, ukryli się już w pobliskim lesie. Zdołano jednak pochwycić dwóch chłopców, którym, gdy ich do karawany przyprowadzono, natychmiast zatrzaśnięto kajdany na szyi.

Nieco opodal znajdowała się druga wioska. Jej mieszkańcy stanęli do walki. Zabito piętnastu.

Pomiędzy nimi znalazły się kobiety i dzieci. Wzięto do niewoli jedną kobietę i troje dzieci, pozostali uciekli. Nie byli ścigani, zapewne z braku czasu.

Następnego dnia przeprawiliśmy się przez jakąś rzekę po prowizorycznym moście, zbudowanym przez żołnierzy bardzo sprawnie i szybko, z pni, które łączono lianami, rosnącymi nad brzegami rzeki. Przejście przez most było bardzo niebezpieczne. Jedna z Murzynek w czasie przeprawy dostała zawrotu głowy i pociągnęła za sobą w odmęty drugą kobietę, trzymającą dziecko na ręku. Nie starano się nawet ich ratować! Po chwili fale zabarwiły się krwią, a z wody wychylił się szkaradny łeb krokodyla.

28 maja. Przechodziliśmy przez las drzew niezwykle czerwonych, które nazywają ”żelaznymi”. Od rana pada deszcz; grunt rozmiękł bardzo, co utrudnia marsz. Widziałem Noon.

Dźwigała z trudem paroletnią dziewczynkę. Ledwo powłóczyła nogami. Całe plecy miała oblane krwią, która jeszcze nie zakrzepła. Były na nich ślady bata. Nocą ryki lwów i ujadania szakali były tak głośne, że oka nie można było zmrużyć. Żołnierze zabili w samym obozie panterę, przy tym jednak zastrzelili również dwie kobiety, a parę ciężko poranili. Około północy liczbę płonących stosów powiększono znacznie. O biedny Herkulesie, jak tam sobie radzisz w tym lesie, jeżeli podążasz naszymi śladami?

29 i 30 maja. Dają się już odczuwać pierwsze chłody tak zwanej ”zimy afrykańskiej”, pora deszczowa kończy się, co nie przeszkadza, że pola wszędzie jeszcze stoją pod wodą. Wieje

silny wiatr północno-zachodni, bardzo niezdrowy, sprowadzający febrę.

Nie napotkałem nigdzie najmniejszego śladu pani Weldon, Janka i kuzyna Benedykta. Dokąd mogli ich wywieźć? Boże, miej litość nad nami!

Od 1 do 6 czerwca. Kroczymy całkowicie zalaną niziną. Nieszczęśliwi, nadzy niewolnicy cierpią katusze w tej wodzie i panującym zimnie. Gdy nadeszła pora noclegu, nie można było znaleźć nigdzie suchego miejsca. Wszędzie woda, dochodząca chwilami do pasa. Trzeba było iść dalej, bez względu na ciemność i zmęczenie. Co chwila ktoś upada i już się nie podnosi. Żałować ich? Nie! Należy im raczej zazdrość. Nie cierpią już, są wolni. Z posępnej zadumy rozbudziły mnie głośne krzyki i wołania. Żołnierze zapalili pochodnie. Okazało się, że to stado krokodyli napadło na tabor. Kilka kobiet stało się ofiarą napadu. Jeden z potworów otarł się swym chropawym cielskiem o moje nogi i pochwycił młodego chłopca idącego za mną, którego z ogromną siłą wydarł z kajdanów i wciągnął pod wodę. Jeszcze teraz dzwoni mi w uszach rozpaczliwy krzyk nieszczęśnika.

7 i 8 czerwca. Sporządzono rachunek strat. Okazało się, iż krokodyle porwały dwadzieścia cztery ofiary. Jak się dowiedzieć, czy nie zginął któryś z moich przyjaciół? Od dawna ich nie widziałem. Długo szukałem ich wzrokiem, aż wreszcie pod wieczór dojrzałem. Chwała Bogu, wszyscy żyją. Tylko Noon zobaczyć nie mogłem. Czyżby nie przetrwała tej nocy?

Otóż i koniec nizin, jak się wydaje. Od dwudziestu czterech godzin znajdujemy się na gruncie nie zalanym wodą, miejscami zupełnie suchym. A i niebo zaczyna się przecierać. Nawet słońce świeci. Mokra odzież wyschła. O, cóż to za rozkosz móc położyć się na suchej ziemi, w suchym ubraniu, bez obawy o ukąszenia pijawek, które od tylu dni ssały krew z mych nóg! Czy i pani Weldon była narażona na takie cierpienia? Nie zniosłaby ich ona ani jej maleńki synek.

Pomiędzy Murzynami szerzy się ospa i zabiera liczne ofiary. Kto z chorych iść nie może i kładzie się na ziemi - już na niej

pozostaje. Karawana idzie dalej.

9 czerwca. Widziałem Noon. Jest to już szkielet, a nie żyjąca istota. Już nie niosła na ręku dziecka, lecz wlokła się sama. Nie można było patrzeć na nią bez żalu. Pozwolono mi zbliżyć się do niej. Stara niańka długo przypatrywała mi się zamglonymi oczami, aż chrapliwym głosem wyszeptała:

- To pan, mister Dick! Umieram. I już nigdy nie zobaczę mej dobrej pani, ani mego drogiego Janka!

Potknęła się. Podskoczyłem, ażeby ją podtrzymać, lecz wtedy bezlitosne uderzenie bicza spadło na jej wychudzone plecy. Rzuciłem się na nikczemnika, znęcającego się nad umierającą kobietą, lecz mą wzniesioną w górę rękę pochwycił jeden z przewodników karawany, który żołnierzowi powiedział jedno tylko słowo: ”Negoro”, co sprawiło, że ten oddalił się natychmiast.

- Negoro - pomyślałem sobie wtedy - a więc jego wpływ sprawia, że jestem tutaj na odmiennych aniżeli wszyscy inni niewolnicy prawach. Oszczędza mnie. Z jakiego powodu? Co za los mi szykuje?

10 czerwca. Przechodziliśmy przez dwie palące się wioski. Pola dookoła spustoszone. Moc trupów. Z żyjących nikogo. Widocznie nie tak dawno odbywały się tutaj łowy na niewolników.

Na nocleg zatrzymaliśmy się na krańcach jakiegoś większego lasu. Mimo ogromnego znużenia nie mogłem zasnąć. Wtem w pobliskich krzakach usłyszałem jakiś szelest. Początkowo zaniepokoiłem się. Może to dzikie zwierzę? Lecz szybko nadeszło uspokojenie. Cóż... może lepiej by było... Jedno uderzenie potężną lwią łapą i byłoby po wszystkim... Szelest powtórzył się i był coraz bliższy. Jakiś zwierz rzucił się na mnie. Chciałem krzyknąć, co by wzbudziło ogólną trwogę, lecz na szczęście nie zrobiłem tego. Na szczęście! ... Bo to był Dingo! Mój drogi, wiemy i poczciwy Dingo. W jaki sposób mógł mnie znaleźć? Instynkt? ... Czy wolno instynktem nazywać podobną wierność?

Położył się obok mnie i zaczął lizać moją twarz i ręce. A więc poczciwy pies nie zginął, nie zabili go. Objąłem go za szyję, przyciskałem do piersi i całowałem jego łeb. Przy pieszczotach tych przypadkiem wyczułem, że za jego obrożą znajduje się kawałek trzciny umocowany lianą.

Wyjąłem trzcinę natychmiast, następnie ją przełamałem i znalazł em w jej wnętrzu kawałek papieru, którego nie mogłem jednak przeczytać, ze względu na nocne ciemności.

Od kogo list ten może pochodzić?

Gdy tak rozmyślałem, Dingo znów lizać mnie zaczął po twarzy, następnie szarpnął się, wyrwał z mych objęć i znikł w ciemnościach.

Z otwartymi oczami wyczekiwałem dnia, a gdy tylko się rozwidniło, rozwinąłem kartkę. List, pisany ręką Herkulesa, był następującej treści:

*Pani Weldon i mały Janek odbywają podróż na noszach. Razem z nimi znajdują się Harris i Negoro. Pan Benedykt również należy do tego małego oddziału, który główną karawanę wyprzedza o jakieś trzy dni drogi. Porozumieć się z panią Weldon nie miałem jeszcze możliwości. Dinga znalazłem w lesie, ciężko rannego, lecz na szczęście wrócił on szybko do zdrowia. Odwagi, panie Sand. Ja o was myślę, a i uciekłem dlatego, by mieć szansę wam pomóc.*

*Herkules*

A więc, Bogu dzięki, pani Weldon żyje! Nie stało się nic także i jej małemu synkowi!

Podróżują w dość wygodnych warunkach. Lecz jakie względem niej mogą być zamiary Harrisa i Negoro? Niegodziwcy ci podążają również do Kassande. W takim razie może mi się uda panią Weldon tam zobaczyć?

Od 11 do 12 czerwca. Karawana nieprzerwanie dąży naprzód. Niewolnicy już tylko z trudem są zdolni iść dalej. Wszyscy mają rany na nogach, więc ich przejście znaczone jest śladami krwi.

Według moich obliczeń, do Kassande mamy jeszcze dziesięć dni. Iluż z nas nie ujrzy końca tej podróży! Lecz ja… dojść

muszę, a więc dojdę!

Drogą naszą szła niedawno jakaś inna karawana niewolników. Co krok napotykamy liczne trupy lub żywych ludzi, którzy na naszych oczach umierają z głodu.

Od 16 do 24 czerwca. Opuszczają mnie siły; lecz muszę wytrwać. Mnie nie wolno, ja nie mam prawa umierać!

Pora deszczowa przeminęła. Pochód nasz odbywa się teraz w przyspieszonym tempie.

Idziemy nieprzerwanie pod górę, wśród wysokich traw, które utrudniają posuwanie się naprzód.

Ten rodzaj trawy nazywa się njasi i jest niesłychanie ostry, kłujący i twardy, toteż bezustannie rani ciało. Moje obuwie, na szczęście, jest jeszcze całe.

Agenci zaczynają segregować niewolników; ze słabszych zdejmują kajdany i wyrzucają ich poza obręb karawany, na los szczęścia, a raczej na pewną śmierć głodową. Są do tego zmuszeni, ponieważ zapasy żywności już się kończą. Dziś, 20 czerwca, dwudziestu ludzi, a w tym starą Noon, zarąbano toporami. Obraz ten był zbyt okropny, by go opisać. Biedna Noon!

Co noc oczekuję Dinga. Lecz się nie zjawia. Czyżby spotkało go jakieś nieszczęście? A może coś przytrafiło się Herkulesowi? Nie, nie! … Nie chcę, nie mogę tak myśleć. Zgasłaby wtedy ostatnia nadzieja! Milczenie jest tylko dowodem na to, że Herkules nie ma dla mnie żadnych wiadomości, więc nie chce Dinga niepotrzebnie narażać na niebezpieczeństwo.

# ROZDZIAŁ IX

## Kassande

Dnia 26 czerwca karawana Ben Hamisa doszła wreszcie do Kassande. Z liczby pięciuset niewolników, złapanych w czasie ostatnich obław, zaledwie dwustu pięćdziesięciu doszło do miejsca przeznaczenia, lecz i tak kupcy doskonały zrobili interes, gdyż nabywców było wielu i ceny bardzo wysokie.

Bez względu na zakazy, Angola, tak samo jak i dawniej, przodowała w handlu niewolnikami, dyktując ceny.

Portugalskie władze w Luandzie i w Bengueli były wobec tego procederu najzupełniej bezsilne, z tego choćby powodu, że eksport niewolników odbywał się teraz drogą lądową, a nie morzem, przez porty Angoli.

Miasto Kassande leży w odległości trzystu mil od ujścia rzeki Kuanzy i było w tych czasach jednym z ważniejszych punktów handlu żywym towarem. Jak wszystkie większe miasta handlowe Afryki środkowej, dzieliło się na dwie niepodobne do siebie części, z których jedna była zamieszkana przez kupców arabskich, portugalskich i miejscowych, natomiast druga była siedzibą tubylców. Pośrodku niej znajdowała się rezydencja miejscowego kacyka, czyli murzyńskiego króla.

Dzielnicą handlową Kassande władał niepodzielnie Antonio Alvez, którego agentami byli Harris i Negoro. W mieście znajdował się główny oddział jego wielkiej firmy, podczas gdy w Bije i Cassindze były tylko filie.

Część handlowa Kassande to szereg licznych domków zbudowanych z gliny, o płaskich, zarosłych trawą dachach, na których pasły się kozy. Budowle te stały wzdłuż jednej, bardzo długiej ulicy, na końcu której znajdował się obszerny plac, na którym odbywały się targi niewolników.

Nad całą dzielnicą wystrzelały w górę liczne drzewa bananowe i daktylowe palmy.

O wiele gorzej prezentowała się dzielnica tubylców, pokryta licznymi lepiankami, nad wyraz brudnymi. Pośrodku nich znajdowało się tembe, to znaczy pałac króla.

Sam król był mężczyzną przedwcześnie zgrzybiałym, wskutek pijaństwa, któremu z zapamiętaniem się oddawał. Był niepoczytalny i z iście afrykańską dzikością rządził swym krajem, dla kaprysu uśmiercając swych poddanych lub obcinając im dla zabawy, ręce, nosy, uszy... Zezwierzęcony władca miłościwie panował pod imieniem Muani Lunga.

Karawana, w której szedł Dick i jego przyjaciele, wkroczyła do miasta uroczyście, przy dźwiękach instrumentów z bawolich rogów oraz warczenia bębnów, w które bito bez żadnego taktu, ale z ogłuszającą za to zaciekłością.

Idący ostatkiem sił jeńcy, zapędzeni zostali do baraków, w których znajdowało się już około trzy i pół tysiąca niewolników, spędzonych z innych okolic kraju. Wszyscy oni mieli być po upływie dwóch dni wystawieni na sprzedaż. Gdy już nowo przybyłych zamknięto w barakach, zdjęto im kajdany z ramion, pozostawiając jednak na ich szyjach łańcuchy.

Wyzwolony z hańbiącego jarzma Baty mógł po pięciu tygodniach rozłąki rzucić się ojcu na szyję, by zapłakać na jego piersi. Pozostali towarzysze niedoli: Tom, Austyn i Akteon - w milczeniu uścisnęli sobie ręce.

Trzej wyżej wspomniani Murzyni, silni, młodzi i do wszelkich trudów przyzwyczajeni, wytrzymali jako tako morderczą podróż, stary Tom był jednak do ostatnich granic wyczerpany.

Jeżeli marsz trwałby jeszcze parę dni dłużej, jego zwłoki pozostałyby z pewnością na drodze, wydane na pastwę dzikich zwierząt.

Czterej nasi przyjaciele znaleźli się w straszliwie brudnym baraku, w którym z trudnością można było oddychać. W pomieszczeniu tym dano im jakąś strawę, którą pokrzepili swe sterane siły. Następnie z niecierpliwością oczekiwać zaczęli Alveza, aby mu powiedzieć, że są wolnymi obywatelami Stanów

Zjednoczonych Ameryki Północnej, i że tknąć ich nikt nie ma prawa.

Natomiast Dick pozostał na placu, pod nadzorem specjalnie wyznaczonego strażnika.

Był więc w Kassande, do którego, przed paroma już dniami niewątpliwie, została przyprowadzona pani Weldon z synkiem i z kuzynem Benedyktem. Przechodząc z karawaną przez miasto, wszędzie szukał ich wzrokiem, niestety, na próżno.

- Możliwe to, by ich zaprowadzili gdzie indziej? - zapytywał sam siebie, zmartwiony - Gdzie w takim razie przebywać mogą teraz? ... Lecz nie! Herkules nie przysłałby mi mylnej informacji.

Z drugiej strony, nie dostrzegłem przecież tutaj ani Harrisa, ani też Negora. Gdzież oni przebywają?

Głośne okrzyki, wiwaty i odgłosy rogów przerwały tok jego myśli.

- Alvez! ... Alvez! ... - wołano ze wszystkich stron.

Alvez! Człowiek, od którego chwilowego kaprysu zależało życie tysięcy ludzi. Za chwilę będzie tutaj. A może zjawi się w towarzystwie Harrisa i Negora? W serce Dicka znów wstąpiła nadzieja, że uda mu się wpaść na ślad zaginionej pani Weldon. Z niepokojem zaczął wpatrywać się w tłum. Serce tłukło mu się w piersiach, lecz był gotów spojrzeć śmiało w oczy wrogów.

Niedoczekanie, by kapitan ”Pilgrima” miał zadrżeć przed swym byłym kucharzem!

Aż wreszcie na samym końcu jedynej w Kassande ulicy ukazała się osłonięta firankami lektyka, w której był niesiony stary handlarz. Gdy pochód doszedł do placu, Alvez wysiadł z lektyki i ukazał się oczom Dicka.

Jednocześnie z Alvezem, który był otoczony przez liczne grono służby, na placu zjawił się jego zausznik, Coimbra. Był to zastępca Alveza, nikczemne narzędzie wszystkich najbardziej bezecnych czynów starego handlarza i organizator wszystkich rzezi. Już sam jego wygląd był ohydny. Handlarz był niezwykle brudny, a jego ubranie poszarpane.

Alvez, w swym tureckim stroju, wyglądał o wiele przyzwoicie, choć jego fizjonomia pozostawiała bardzo wiele do życzenia.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Dicka, nigdzie nie było widać ani Harrisa, ani Negora.

Naczelnik karawany, Arab Ben Hamis uściśnieniami dłoni powitał Alveza i Coimbrę. Alvez, gdy usłyszał relację Ben Hamisa, że połowa niewolników padła w drodze, zmarszczył się nieco, lecz nie wypowiedział ani jednego słowa nagany, przecież i tak wyprawa miała przynieść pokaźne zyski.

Dick przysłuchiwał się rozmowie, jaką prowadzili ci ”przemysłowcy” na wielką skalę, lecz nie mógł nic zrozumieć, ponieważ była ona prowadzona w jakimś kosmopolitycznym żargonie, w którym mieszały się wyrazy wszystkich chyba narzeczy i języków. Zrozumiał jedynie to, że w pewnej chwili mówiono o nim oraz o jego towarzyszach.

Domysły Dicka okazały się słuszne, ponieważ jeden z dozorców udał się po chwili w stronę baraku, w którym zamknięci byli czarni rozbitkowie i po chwili Tom, Baty, Akteon i Austyn stanęli przed obliczem handlarza.

Nie chcąc stracić ani jednego słowa z rozmowy, Dick Sand zbliżył się jeszcze bardziej ku grupie otaczającej Alveza.

Na widok czterech Murzynów, rosłych i doskonale się prezentujących, twarz Alveza zajaśniała radością. Na pierwszy rzut oka ocenił wysoką wartość tej zdobyczy, na Toma spojrzał pogardliwie, ponieważ jego wiek nie obiecywał, by można było uzyskać zań wysoką cenę.

Alvez w paru słowach w języku angielskim pozdrowił przybyłych, winszując im, że szczęśliwie odbyli podróż.

Tom zrozumiał słowa powitania i natychmiast odpowiedział, wskazując na siebie i na swych towarzyszy:

- My jesteśmy ludźmi wolnymi, obywatelami Stanów Zjednoczonych!

Alvez, pojął znaczenie słów, udał jednak, że ich nie rozumie.

- Tak, tak! … Amerykanie! Witajcie, witajcie!

- Witajcie, Amerykanie - powtórzył słowa swego patrona Coimbra, który następnie podszedł do Austyna i oglądać go

zaczął jak kupiec, badający wady i zalety konia na targowisku.

Dotknął jego ramion i piersi, chciał mu też otworzyć usta, lecz w tej chwili Austyn wymierzył mu tak potężny cios w twarz, jakiego naczelnik miasta Bije nie otrzymał nigdy w życiu.

Zaufany Alveza potoczył się w tył, jak pies kopnięty. Kilku żołnierzy rzuciło się natychmiast na Austyna i byłby on prawdopodobnie opłacił drogo ten wybuch gniewu, gdyby nie gest Alveza, który śmiał się do rozpuku z przygody swego przyjaciela, choć ten, z sześciu posiadanych zębów, aż dwa utracił po tym uderzeniu.

Alvez obronił Austyna nie z racji uczuć humanitarnych, jakie nieznane były jego sercu, lecz z obawy, by żołnierze nie uszkodzili w bijatyce tak cennego towaru. O swego totumfackiego dbał o wiele mniej, zwłaszcza, że jego wypadek ubawił go serdecznie.

By zatrzeć przykre dla wszystkich wrażenie, naczelnik straży podprowadził Dicka Sanda ku Alvezowi, który znał historię naszego bohatera.

- Mały Jankes - rzekł stary handlarz ironicznie na jego widok.

- Tak jest, jestem Amerykaninem - odpowiedział śmiało Dick - a jako taki chciałbym wiedzieć, co zamierzacie zrobić z mymi towarzyszami, którzy są również, jak i ja, obywatelami wolnej Ameryki?

- Jankes, Jankes... mały Jankes - powtarzał bezmyślnie z pozoru Alvez udając, że nie rozumie pytania.

Dick Sand raz jeszcze powtórzył pytanie, zwracając się z nim również i do Coimbry, którego twarz, choć spalona słońcem i zniszczona napitkami, wydawała się być twarzą Europejczyka.

Jednak Coimbra zajęty ciągle jeszcze wygrażaniem pięścią Austynowi, nie usłyszał ani słowa.

Co zaś do Alveza, ten, jakby chcąc pokazać, że lekceważy sobie pytanie, nawiązał rozmowę z Ben Hamisem, dotyczącą gromadki przyjaciół. O ile Dick zdołał zrozumieć, zamierzano ich rozłączyć. Jeżeli tak, nie mieliby już nigdy możliwości porozmawiania z sobą.

Wobec tego Dick Sand, na nic już nie zważając, szybko podszedł do starego Toma i jego towarzyszy, ze słowami:

- Przyjaciele moi, Herkules, za pośrednictwem Dinga przysłał mi krótki list, w którym zawiadomił mnie, że szedł bez przerwy za karawaną. Harris i Negoro uprowadzili panią Weldon wraz z małym Jankiem i kuzynem Benedyktem. Dokąd? ... Nie wiem. W Kassande, jak mi się zdaje, ich nie ma. Nie upadajcie na duchu i bądźcie zawsze gotowi, a może przyjdzie wyzwolenie.

- A Noon? - zapytał stary Tom.

- Nie żyje.

- Pierwsza z nas...

- I ostatnia, ponieważ my...

W tej samej chwili ktoś uderzył Dicka po ramieniu, a następnie usłyszał on słowa wypowiedziane dobrze znanym mu głosem:

- A, mój młody przyjaciel, jeżeli się nie mylę? Jestem bardzo szczęśliwy ze spotkania.

Dick Sand odwrócił się gwałtownie i ujrzał Harrisa.

Krew uderzyła mu do głowy.

- Gdzie jest pani Weldon? - zawołał.

- Ach, Boże! - pełnym smutku głosem odpowiedział Harris. - Biedna matka nie mogła przeżyć trudów podróży...

- Umarła! ? - głosem pełnym rozpaczy zakrzyknął Dick. - A mały Janek?

- On pierwszy opuścił ten świat, a jego śladem podążyła matka.

Tak więc Dick utracił wszystko, co kochał na tej ziemi. Uczucie zemsty jak czerwona mgła ogarnęło całe jego ciało. Zanim ktokolwiek mógł przewidzieć jego ruch, Dick rzucił się na Harrisa, wyrwał mu nóż zza pasa i wbił w jego pierś aż po rękojeść.

- Przekleństwo! - zdołał krzyknąć Amerykanin, padając na ziemię.

Ręka Dicka zadała mu cios śmiertelny.

# ROZDZIAŁ X

## Dzień targowy

Gdy widzowie tej krótkiej walki zrozumieli, co się stało, pierwszym ich odruchem było rzucić się na Dicka. Byłby on zapewne zginął w męczarniach, gdyby w tej samej chwili nie ukazał się na placu Negoro. Rozkazujący gest Portugalczyka powstrzymał rozwścieczonych tubylców i zmusił ich do odsunięcia się od Dicka.

Alvez i Coimbra byli bardzo postępkiem Dicka wzburzeni i domagali się natychmiastowej śmierci chłopca, lecz Negoro szepnął im coś tajemniczo i Dick, na rozkaz Alveza, został odprowadzony do więzienia.

Pragnienie Dicka Sanda aby ujrzeć Negora stało się więc ciałem. Zobaczył go. I doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że był on po stokroć bardziej winny od Harrisa.

Harris powiedział, że pani Weldon i jej synek umarli. Wobec tego faktu własny los był dla chłopca obojętny.

Dicka, skutego wtrącono do ciasnej izdebki, bardzo ciemnej, bo pozbawionej okna. Nie mógł on komunikować się więc już z nikim i znajdował się teraz w absolutnej władzy Negora.

W dwa dni potem, 28 czerwca, na wielkim targowym placu w Kassande odbył się wielki doroczny jarmark, na który zjeżdżali się najpoważniejsi kupcy i przemysłowcy Afryki środkowej.

Na targ dostawiono około cztery tysiące niewolników. Większość z nich prezentowała się dobrze, ponieważ od paru miesięcy przebywali w barakach. Dzięki długiemu odpoczynkowi i pożywnej strawie mieli czas na to, by zregenerować siły po trudach podróży.

Wraz z innymi i stary Tom z towarzyszami został zapędzony na targ.

Gdy się tam znaleźli, pierwszy odezwał się Baty:

- Nie widzę tutaj pana Dicka, na szczęście.

- Nie ma go - odpowiedział Akteon - nie będzie on widocznie sprzedawany.

- Z nim może być gorzej - odezwał się stary Tom - jego zabiją najprawdopodobniej, jeżeli już tego nie zrobili. Co zaś do nas, to tego tylko możemy chcieć, aby nas nabył jeden kupiec.

Baty zapłakał gorzko.

- Ojcze - zawołał - nie mogę wprost wyobrazić sobie tego, byś ty mógł być zmuszany do ciężkiej pracy niewolniczej na plantacjach.

- Och! ... Gdyby tutaj był z nami Herkules! - zawołał Austyn. - Może wtedy wydostalibyśmy się jakoś na wolność!?

Rozpoczęła się sprzedaż. Niewolników dzielono na małe grupy, które oprowadzano przed kupcami. Nabywano co silniejszych mężczyzn, którzy mieli wyruszyć do kolonii hiszpańskich, dokąd i przyjaciele nasi dostać się pragnęli, a to dlatego, iż tam najłatwiej udałoby się im wnieść skargę do władz, powołując się na swe amerykańskie obywatelstwo.

Wszyscy czterej stanowili jedną grupę, o którą zaczęli się dobijać poszczególni kupcy, proponując coraz wyższe ceny.

W końcu los Murzynów został zdecydowany: wszystkich kupił pewien bardzo bogaty Arab, zamierzając ich wysłać do Zanzibaru.

# ROZDZIAŁ XI

## Woda ognista

Około godziny czwartej po południu odgłos trąb, rogów i bębnów powiadomił całe miasto, iż sam król Kassande, Muani Lunga, przybywa, ażeby zaszczycić swą obecnością wielkie handlowe święto. Towarzyszyła mu bardzo liczna świta, składająca się z kobiet, żołnierzy i niewolników.

Sędziwy Alvez na czele innych kupców i handlarzy przyjął go z oznakami najwyższej czci i poważania, co się niesłychanie spodobało staremu pijakowi, z wyglądu podobnemu do małpy.

Król przybył na plac w starym palankinie , z którego wysiadał wolno, pragnąc tym dodać sobie jak najwięcej powagi.

Muani Lunga miał lat około pięćdziesięciu, lecz wyglądał na osiemdziesięcioletniego starca.

Na głowie miał coś w rodzaju korony. Gdy wysiadł z palankinu, nad tą jego koronowaną głową rozpostarto natychmiast jakiś stary, pełen łat parasol, zaś każdy mógł wywnioskować z jego chwiejnego chodu, że wielki władca jest pijany.

Niepewnie kroczącego małżonka podtrzymywała pierwsza żona króla, Moilla, czterdziestoletnia jędza podobna do czarownicy.

Należy dodać, iż gdy tylko król wysiadł z palankinu, ze wszystkich stron rozległy się ogłuszające wycia i wrzaski, które zagłuszyły całkowicie huk wiwatowych wystrzałów.

Gdy król wysiadł z palankinu, a następnie usiadł na plecach jednej ze swych żon-niewolnic, stary Alvez wysunął się naprzód i ofiarował kacykowi paczkę świeżej tabaki, która w języku miejscowym nosi nazwę ”uspakajającej trawy”. Podarek ten był bardzo na miejscu, ponieważ Muani Lunga był nie wiedzieć czemu w fatalnym humorze.

Po krótkiej chwili odpoczynku, czarny król podniósł się i zaczął zwiedzać targowisko.

”Monarsze” towarzyszyli Alvez i Negoro.

- Witaj, królu, na dorocznym jarmarku w Kassande - rzekł Alvez.

- Pić mi się chce - odpowiedział monarcha.

- Król mój i pan otrzyma, jak zawsze, należną mu część zysków - ciągnął dalej Alvez.

- Pić - odpowiedział król, głos nieco podnosząc.

- Przyjaciel mój, Negoro, który przybył na targ po długiej nieobecności, jest szczęśliwy, że cię widzi, królu.

- Pić! … - uporczywie, na nic nie zważając, ryknął majestat.

- Miodu i wina! Natychmiast - rozkazał Alvez.

- Nie, nie chcę tego - zaprotestował król - dajcie mi wody ognistej! Za każdą jej kroplę dam ci, Alvezie…

- Kroplę krwi białego człowieka… - niewinnie, niby żartem wtrącił Negoro, dając Alvezowi porozumiewawczy znak oczyma.

Słowa te rozbudziły bestialskie instynkty króla. Zamigotały jego małe oczka.

- Białego… Zabić białego człowieka? - zapytał.

- Przed twoim przybyciem jeden z najlepszych agentów twego sługi, Alveza, zabity został przez białego młodzieńca, królu - wyjaśnił Negoro.

- Tak jest - potwierdził słowa Portugalczyka Alvez - nazywał się Harris i mam nadzieję, że jego niewinna krew będzie pomszczona.

- A więc posłać tego białego królowi Massailo, tam go zjedzą na surowo.

Lecz nawet kara tak straszna nie zdawała się być dla Negora wystarczająco wielka. A zresztą Portugalczyk chciał być widzem męki swego wroga.

- Ten biały zabił tutaj, więc tutaj zginąć również powinien - zawołał z nienawiścią.

- Ależ doskonale, róbcie sobie z nim co chcecie, byle byście mi dali wody ognistej.

- Będziesz ją miał, królu - powiedział Alvez - i w dodatku mieć ją będziesz taką, którą całkowicie potwierdzi, że godna jest swej ognistej nazwy. Moja woda naprawdę będzie płonąć, królu.

Król aż zaklaskał z uciechy. Był jak w ekstazie, jeszcze nigdy nie widział płonącej wody. Jego zachwyt podzielały również i wszystkie jego żony, które i bez tego były już w siódmym niebie, ponieważ spodziewały się ujrzeć śmierć białego.

Biedny Dick! Jakiż okropny los go czekał!

Nadszedł wieczór, a następnie noc przysłoniła swym kirem całe miasto. Na nią wyczekiwał Alvez, ażeby w najlepszych warunkach zaprezentować królowi wazę płonącego ponczu. Była to idea iście afrykańska, dać królowi napój, godny jego królewskiego gardła - buchającą płomieniami gorzałkę.

Program tej improwizowanej uczty miał być następujący: naprzód poncz, a później śmierć Dicka Sanda.

Alvez, słuchając rad Negora, zajął się przygotowaniami. Przede wszystkim przyniesiono ogromny kocioł miedziany, do którego wsypano najpierw kilkanaście funtów cukru, potem wlano parę butelek jakiegoś kwaśnego soku owocowego, wreszcie naczynie wypełniono po brzegi gorzałką, najgorszego zresztą gatunku.

W czasie tych przygotowań Muani Lunga stał pochylony nad kotłem, z takim wyrazem twarzy, jakby miał zamiar się do niego rzucić.

- Zapalaj! - krzyknął wreszcie drżącym głosem.

Płonąca głownia dotknęła alkoholu i momentalnie buchnęły w górę sino czerwonawe płomienie. Alvez długą warząchwią zaczął mieszać w kadzi, wrzucając w płonący płyn cynamon i turecki pieprz. Płonący alkohol rzucał upiorne światło na całą otaczającą kocioł dziką zgraję.

Podniecony wonią palącego się spirytusu Muani Lunga wyrwał w pewnej chwili warząchew z rąk Alveza, zaczerpnął nią trunku, a następnie podniósł do ust. Gdy to uczynił, z jego piersi wydarł się przejmujący ryk, żelazna łyżka wypadła mu z ręki, zaś on sam stanął w płomieniach. I płonął jak bańka z naftą.

Na ten widok wierni ministrowie rzucili się na ratunek swemu monarsze, lecz nic już nie mogli zrobić. Alvez i Negoro stali bezsilni, nie wiedząc jak postąpić. Kobiety zaczęły uciekać z krzykiem, powstało ogólne zamieszanie.

Król tarzał się po ziemi w najokropniejszych męczarniach i skonał po upływie kilku minut.

# ROZDZIAŁ XII

## Pogrzeb królewski

Nazajutrz po śmierci króla całe Kassande wyglądało inaczej niż zwykle. Przerażeni krajowcy kryli się w swych lepiankach. Biedacy nie widzieli jeszcze nigdy palącego się władcy, toteż byli pewni, że niedługo żywy ogień spadnie z nieba, ażeby spopielić wszystko, co tylko na ziemi pozostało. Nie wiedzieli, czym można przebłagać gniew bogów?

Nawet Alvez stracił nieco pewności siebie i zamknął się w swym domu, w obawie, by go nie obwiniono o śmierć króla... Lecz z tego niebezpieczeństwa wybawił go Negoro, który umiejętnie zaczął rozsiewać po mieście wieści, że straszliwy wypadek był dziełem sił nadprzyrodzonych, że właściwie był najwyższą łaską, jaką Wielki Nzambi zsyła czasami na swych umiłowanych.

- Przez ogień wstępować do nieba - mówił - może tylko bóstwo!

Zabobonni tubylcy dawali posłuch tym bredniom, przy czym głośno krzyczeli, że doczesne szczątki tego, który się stał bóstwem, muszą być z należytą czcią pochowane.

Negoro całkowicie się z nimi zgadzał, dodając, iż żar ognia, który spopielił króla, może być ochłodzony jedynie krwią ludzką, najlepiej - krwią człowieka białego.

Takie stały się więc pragnienia ludu.

Decyzja co do ceremonii mogła wyjść tylko od króla.

Następczynią Lungi miała zostać jego starsza małżonka, królowa Moilla. Błyskawicznie objęła ona władzę rozpoczynając od wydania rozkazów, które dotyczyły pogrzebu króla, czym uprzedziła innych pretendentów.

Objęcie rządów dawało królowej Moilli jeszcze tę olbrzymią korzyść, iż dzięki temu ona jedna spośród wszystkich żon

królewskich miała pozostać przy życiu.

Wolą królowej było, ażeby pogrzeb królewski odbył się wieczorem, nazajutrz po śmierci.

Dekret ten, ogłoszony w sposób prymitywny, bo przy pomocy nie tylko bosych, ale zupełnie gołych heroldów, przyjęty został przez całą ludność bardzo przychylnie, co oznaczało uznanie królowej przez mieszkańców kraju. A że i Alvez przeciwko rządom kobiety nie stawiał veta, niedawna pierwsza żona została władczynią.

Tego samego jeszcze dnia zajęto się przygotowaniami do pogrzebu. Tuż za Kassande płynął potok bardzo głęboki i burzliwy - Koango. Otóż królowa rozkazała, ażeby jego bieg został odwrócony, a gdy to już zostanie wykonane, w dawnym łożysku strumienia ma być wykopana mogiła króla, w której będzie on ze wszystkimi ofiarami pochowany. Po dopełnieniu obrządków, wody strumienia wrócić miały w swe dawne koryto.

Dick Sand został na skutek zabiegów Negora zaliczony do liczby ofiar, które miały swą krwią skropić mogiłę króla.

Negoro, jak każdy nikczemnik, był tchórzem, toteż pamiętając o losie Harrisa nigdy nie ośmieliłby się zbliżyć do Dicka Sanda, gdyby ten się znajdował na wolności. Jednak, doskonale wiedząc, że więzień ma skrępowane ręce i nogi, postanowił udać się do niego.

Na widok Portugalczyka, nasz młody bohater aż się skurczył, a następnie szarpnął więzami, w nadziei że je może zerwie... Niestety, były one na tyle mocne, że o ich potarganiu nie było co marzyć. Dick zrozumiał to w jednej chwili, porzucił więc wysiłki, zdając sobie sprawę, że teraz walka inną musi przybrać formę. W milczeniu wpił więc tylko w twarz Negora swe przenikliwe spojrzenie, postanawiając, że nie zrobi mu zaszczytu udzielając odpowiedzi.

- Uważałem za swój obowiązek - zaczął mówić Negoro - przyjść się pożegnać z byłym kapitanem i wyrazić mu ubolewanie, że nie rządzi on tutaj, jak to miało miejsce na pokładzie ”Pilgrima”.

Widząc, iż Dick nie odpowiada, ciągnął dalej:

- Cóż to, kapitanie, czyżbyś nie poznawał swego kucharza? On przyszedł właśnie po rozkazy i na nie oczekuje, nie wiedząc co ma przygotować na śniadanie?

Dick tylko zacisnął zęby.

- Mój kapitanie, jeszcze tylko jedno pytanie: jakim to cudem się stało, u licha, żeś ty, kierując statkiem w stronę Valparaiso, dopłynął... do Angoli afrykańskiej?

Dick Sand już poprzednio był prawie pewien, że Negoro uszkodził kompas, a jego ostatnie słowa dały mu niezbitą pewność.

- Przyznaj, kapitanie... za młody trochę - ciągnął dalej Negoro - iż dla was wszystkich wielkim szczęściem było, że na pokładzie ”Pilgrima” znajdował się choć jeden marynarz. Gdyby nie to - gdzieżbyś ty mógł dopłynąć, biedaku! ... Boże drogi! Rozbiłbyś się na pierwszych lepszych skałach podwodnych, gdzie by zapędziła was burza. Że się stało inaczej, że znaleźliśmy się w kraju zaprzyjaźnionym, podziękuj za to marynarzowi temu, na którym ty... nie umiałeś się poznać.

Wszystko to Negoro mówił głosem spokojnym, z trudem się opanowując. Lecz w końcu wybuchnął:

- Fortuna kołem się toczy! - zaczął krzyczeć, wyprowadzony z równowagi pogardliwym milczeniem Dicka. - Dziś to ja jestem tutaj panem i twoje życie w moich się znajduje rękach!

- A więc weź to moje życie - przemówił Dick Sand zimnym tonem - pamiętaj jednak, że jest Bóg na niebie, który zna wszystkie twe zbrodnie i że dzień twej kary się zbliża.

- Jeżeli Bóg nie tylko karze za zbrodnie, lecz i nagradza cnotliwych, to czas najwyższy, by się zajął tobą.

- Jestem gotów stanąć przed sądem Najwyższego, co zaś do samej śmierci, to się jej nie obawiam.

- Jeszcze zobaczymy! - zapienił się Portugalczyk. - Widzę, że liczysz na jakąś pomoc! Ha, ha! ... Licz na nią, licz, tutaj, w Kassande, gdzie ja i Alvez jesteśmy wszechmocni! Jesteś szalony!

Myślisz może, że twoi Murzyni znajdują się jeszcze tutaj? Jakżeż ogromnie się mylisz! Są już w drodze do Zanzibaru.

- Niezbadane są drogi Opatrzności - odpowiedział Dick. - Herkules jest na wolności.

- Herkules? - zakrzyczał Negoro, tupiąc z wściekłości nogą. - Dawno rozszarpały go lwy i pantery, a jestem z tego powodu niepocieszony, bo zabrały mi one tym samym moją zemstę!

- Jeżeli umarł Herkules, to żyje jeszcze Dingo, a jest on wystarczająco silny, by mógł porachować się z tobą.

- Głupcze! - zawył niemal nieprzytomny z gniewu Negoro. - Z Dingiem załatwiłem się już dawno. On zdechł, jak zdechną ci wszyscy, którzy się znajdowali na pokładzie ”Pilgrima”, gdy byłem tam kucharzem.

- I jak ty sam zdechniesz niedługo - dodał chłodnym głosem Dick.

Portugalczyk szalał z wściekłości. Już się rzucił na Dicka, by go zadusić gołymi rękami, lecz powstrzymała go myśl, że jeżeli zabije swą ofiarę, tym samym oszczędzi jej tortur. Powściągnął swój gniew i opuścił barak, nakazując baczne pilnowanie więźnia.

Cała ta scena nie tylko nie osłabiła silnej woli Dicka, lecz wróciła mu wręcz całą moc i energię.

Zdawało mu się, iż Negoro, który w furii zaczął nim potrząsać, rozluźnił nieco więzy, ponieważ sznury uciskały go o wiele słabiej teraz. Lecz choćby nawet zdołał wyswobodzić ręce, to cóż by mu z tego przyszło? Przecież wyjść z więzienia nie potrafi bez pomocy udzielonej z zewnątrz.

Godziny mijały jedna za drugą i dzień skłaniał się już ku końcowi, gasnąć zaczęły ostatnie blaski na niebie. Przycichły echa dochodzące z ogromnego placu targowego. Przyszła noc i w więzieniu zapanowały zupełne ciemności.

Wyczerpany Dick zasnął i spał spokojnie około dwóch godzin. Gdy się obudził, pokrzepiony snem, zdołał oswobodzić z więzów jedną rękę. W tej samej chwili wyostrzony jego słuch złowił dość silny szelest, który dochodził zza drzwi; sprawiało to wrażenie, jakby ktoś podkopywał się pod nie.

- Herkules! - pomyślał Dick. - Gdyby to on był istotnie!

Korzystając z odzyskanej swobody ruchów, Dick przyczołgał się do drzwi i w ich progu wyszeptał imię Herkulesa.

W odpowiedzi usłyszał ciche i żałosne skomlenie.

- To Dingo - z radością zawołał Dick. - Mój Dingo żyje! Czyżby mi znów przynosił od Herkulesa kartkę?

Jeszcze jakiś czas mądre zwierzę odrzucało pazurami ziemię, aż wreszcie w wykopanej jamie ukazała się jego łapa. Lecz jeżeli miał on jakąś kartkę, to musiała ona być, jak poprzednio, przywiązana do obroży. Co począć? Należy rozszerzyć podkop chociaż na tyle, ażeby Dingo mógł przezeń przecisnąć swój łeb. Dick zaczął jakimś drągiem odrzucać ziemię. Lecz ledwo rozpoczął tę pracę, gdy na placu rozległo się głośne ujadanie psów, które zwietrzyły obcego i Dingo był zmuszony ratować się ucieczką. Dick usłyszał parę wystrzałów. Widząc, iż w tych warunkach nie było co marzyć o podjęciu próby ucieczki, Dick wrócił na swe miejsce w kącie izby, gdzie spędził resztę nocy. Wstał dzień, po którym dla Dicka Sanda nie miało być już jutra.

W ciągu całego dnia trwały nieprzerwanie przygotowania do pogrzebu króla; pracowano z pośpiechem, ponieważ wszystko musiało być gotowe na oznaczoną godzinę.

Wody potoku skierowane zostały w inną stronę, a w osuszonym łożysku wykopano obszerną mogiłę, długości pięćdziesięciu, szerokości dziesięciu i głębokości również dziesięciu stóp.

Pod wieczór dno i ściany grobu wykładać zaczęto żywymi cegłami - żonami zmarłego króla.

Zazwyczaj, nieszczęsne ofiary są zasypywane ziemią, wraz ze zwłokami ich męża. Tym razem, ze względu na wyjątkową śmierć królewską, miały być wraz z całym grobem zatopione falami potoku, powracającego do swego dawnego łożyska.

Obrządek pogrzebowy miał się odbywać przy świetle pochodni, z okazałą pompą. W pogrzebie zobowiązana była uczestniczyć cała ludność Kassande, nie wyłączając cudzoziemców.

Gdy zapadł wieczór z siedziby królewskiej ruszył ku przygotowanej mogile olbrzymi pochód, przy czym bez przerwy rozlegały się ogłuszające ryki. Ciało zmarłego króla niesione było na samym końcu procesji. Postępowała za nim królowa Moilla, w towarzystwie Alveza, Coimbry, Negora i innych znamienitych cudzoziemców.

Gdy ciało znalazło się nad mogiłą, przy świetle pochodni ujrzano, iż czarne ciała nieszczęśliwych żon zmarłego drgały nieprzerwanie, chociaż były silnie skrępowane powrozami.

W jednym końcu grobu był wbity w ziemię słup na czerwono pomalowany, do którego przywiązano ”białego człowieka”.

Był nim oczywiście Dick.

Gdy ciało zmarłego króla zostało już umieszczone w grobie, na dany znak przerwano tamy, wczorajszej nocy wzniesione i fale potoku szybko zalały swymi wodami cały grób wraz z Dickiem i pięćdziesięcioma żonami zmarłego.

Było coś wstrząsającego i straszliwego w tej jednoczesnej cichej i bezkrwawej śmierci kilkudziesięciu istnień, która tym większe sprawiała wrażenie, iż w chwili, gdy wody potoku zalewać zaczęły grób, na rozkaz królowej zaczęto gasić pochodnie, rzucając je w spienione fale.

# ROZDZIAŁ XIII

## Propozycja Negora

Harris i Negoro skłamali mówiąc Dickowi, że pani Weldon i jej synek nie żyją. Oboje, wraz z kuzynem Benedyktem, znajdowali się już od dość dawna w Kassande.

Pochwyceni w mrowisku przewiezieni zostali do mniejszego obozu nad rzeką Kuanza, skąd pani Weldon wraz z Jankiem odbyła podróż względnie wygodnie, gdyż niesiona był a w palankinie przez niewolników. Z jakiej przyczyny miano dla niej takie względy - tego pani Weldon nie umiała sobie wytłumaczyć. Przybyli do Kassande tydzień wcześniej niż wielka karawana, prowadzona przez Ben Hamisa. Gdy znaleźli się w mieście, pani Weldon wraz z Jankiem i kuzynem Benedyktem została uwięziona w faktorii Alveza.

Po opuszczeniu błotnistych okolic mały Janek, zgodnie ze słowami starego Toma, bardzo szybko pozbył się febry, po której nie pozostało śladu. Chłopczyk prędko wracał do pełni sił.

O towarzyszach swej niedoli pani Weldon niczego nie mogła się dowiedzieć. Widziała jedynie ucieczkę Herkulesa, nic ponadto.

O losie Dicka nie wiedziała nic, uspokajało ją to, że Harris i Negoro byli wraz z nią, a więc nie mieli możliwości znęcania się nad chłopcem. Pocieszała się również tym, iż Ben Hamis nie odważy się postępować z młodzieńcem jak ze zwykłym niewolnikiem, ze względu na jego przynależność do białej rasy.

Noon, Tom, Baty, Akteon i Austyn byli Murzynami. Ich los był przesądzony; bolała nad tym, lecz poradzić nic nie mogła.

Wiadomość o przybyciu karawany do Kassande również nie dotarła do pani Weldon. Kobieta była zamknięta w

pomieszczeniu, które nie miało żadnej styczności ze światem zewnętrznym.

Nie wiedziała, rzecz prosta również i tego, że Noon umarła, zaś Tom z jego towarzyszami sprzedani zostali do Zanzibaru.

Nie miała wiadomości o Dicku, nawet wieść o śmierci Muani Lungi nie dotarła do jej pustelni.

Nie wiedziała więc tym samym o jego strasznym pogrzebie, jak i o tym, że biedny Dick znalazł się w gronie ofiar, które były poświęcone pamięci zmarłego despoty.

I o swym losie również nic nie wiedziała. Przez cały czas podróży z wybrzeży Kuanzy do Kassande Harris i Negoro nie przemówili do niej jednego słowa. A i w Kassande nie pokazali się również ani razu.

W faktorii miała względną swobodę, gdyż wolno jej było opuszczać domek. Poza wysoką palisadę przedostać się jednak było nie sposób.

Jankowi wolno było również chodzić wszędzie, lecz on sam nie chciał się od matki oddalać.

W faktorii miejsca do biegania miał dosyć, bowiem ogród Alveza miał około mili czyli 1600 m obwodu. Oprócz budynków mieszkalnych i składów pełno tam było drzew rosnących na łąkach szmaragdowej barwy. Wiele tam było różnych składów, zapełnionych najrozmaitszego rodzaju towarami, jak tkaniny czy kość słoniowa.

Pani Weldon wraz z Jankiem zajmowała oddzielną chatę, zaś kuzyn Benedykt drugą. Jadali razem, a pożywienie, składające się z koziego mięsa, baraniny, owoców, sorgo, patatów i innych płodów urodzajnej Afryki, było nie tylko pożywne, ale i smaczne. Przeznaczona do posług niewolnica, Halima, okazała się stworzeniem nad wyraz dobrym, życzliwym i posłusznym.

Okazywała swej nowej pani duże przywiązanie.

Alveza, który zajmował duży i bogato urządzony dom w zupełnie innej stronie faktorii, pani Weldon widywała bardzo rzadko. Negora, o czym już wspominaliśmy, pani Weldon nie widziała również ani razu, co ją bardzo, przyznać należy, dziwiło. To milczenie było niezwykłe i mogło poważnie

niepokoić. Kryć się za nim mogło bowiem coś bardzo groźnego. Nie bez powodów pochwycił ją przecież, a następnie w Kassande uwięził?

Tak minął cały tydzień. W czasie swych rozmyślań pani Weldon nie zapominała również i o mężu. Myślała bezustannie o tym, w jakiej okropnej on tam musi żyć trwodze, nie mając żadnych wieści od swych najbliższych.

Pan Weldon nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, że jego żonie przyszła do głowy myśl powrotu na ”Pilgrimie” do San Francisco. A gdy się o tym dowiedział, to wtedy jego statek przepadł bez wieści. Co wtedy przedsięwziął, gdzie szukał? Szukał ich z pewnością na wybrzeżach Ameryki Południowej i na wyspach Oceanu Spokojnego... Lecz nigdy nie przyszło mu na myśl, by los nielitościwy mógł wyrzucić jego żonę i dziecko na wybrzeża środkowej Afryki!

Takimi myślami dręczyła się młoda kobieta dniami i nocami. Lecz cóż mogła poradzić?

Uciekać? Lecz jak? Przede wszystkim była bardzo pilnie strzeżona; lecz gdyby nawet sama ucieczka była możliwa... co miała uczynić dalej? Uciekać - znaczyło przecież odważyć się na przebycie dwustu mil dziewiczym lasem, z dzieckiem na ręku, bez zapasów żywności i bez obrony. Nie, o tym nawet nie można było myśleć, to byłoby czyste szaleństwo.

W trzy dni po pogrzebie Muani Lungi, Negoro zjawił się w chacie zajmowanej przez panią Weldon. Zastał ją zupełnie samotną, ponieważ mały Janek był na spacerze z Halimą.

Portugalczyk powitał ją brutalnymi słowami:

- Pani Weldon, twoi czarni przyjaciele są już sprzedani do Zanzibaru, zaś Noon zmarła w drodze.

- Nieszczęśliwi! ... O, nieszczęśliwi - powiedziała pani Weldon i łzy zabłysły w jej oczach.

- I Dick Sand zginął również.

- Dick Sand nie żyje! ? ... O Boże! - blednąc, zawołała biedna kobieta.

- Tak jest, piętnastoletni kapitan został ukarany śmiercią za zabójstwo Harrisa. Tak więc, pani Weldon, jesteś teraz sama w

Kassande, w absolutnej władzy swego dawnego kucharza. Zupełnie sama. Czy to rozumiesz?

- Pani Weldon - ciągnął dalej Portugalczyk - mógłbym się teraz mścić za twe nietaktowne postępowanie w stosunku do mnie na pokładzie ”Pilgrima”. Jednak śmierć Dicka nasyciła mą zemstę. I teraz jestem znów całkowicie kupcem, który na każdej rzeczy, jakiej się dotknie, musi zarobić. A oto, jakie są moje plany dotyczące was: ty, pani, mały Janek i ten trzeci - idiota uganiający się za muchami - przedstawiacie pewną wartość. Więc was sprzedam.

- Jestem obywatelką wolnego kraju - odpowiedziała twardym tonem pani Weldon.

- Mówisz, pani, że jesteś wolną obywatelką? Mylisz się, jesteś moją niewolnicą.

- Nikt nie kupi białej kobiety!

- Mylisz się raz jeszcze. Znam człowieka, który mi zapłaci za ciebie każdą sumę, jakiej tylko zażądam.

W oczach pani Weldon było przerażenie, nie mogła się zdobyć na jedno choćby słowo odpowiedzi.

- Czy mnie pani zrozumiała? - ze złością, głos podnosząc, zapytał Portugalczyk.

- Zrozumiałam. Tutaj wszystko jest możliwe. I komuż to chcesz mnie pan sprzedać?

- Jakubowi Weldon.

- Memu mężowi? - zawołała nieszczęsna kobieta, nie wierząc własnym uszom.

- Tak jest, twemu mężowi. I musi mi za was oboje zapłacić drogo, za to kuzyna Benedykta oddam mu za darmo.

Pani Weldon zamyśliła się. Starała się zrozumieć, jaka w tych słowach czaić się może zasadzka? Doszła do wniosku, iż przynajmniej w tym jednym wypadku Negoro mówił prawdę.

Przecież dla niego jedynie pieniądz miał wartość, a te, w tym wypadku, miał możność otrzymać.

Można więc było mu wierzyć.

- Jak pan zamierza tę sprawę załatwić?

- Sam udam się do San Francisco i zawiadomię twego męża o tym, gdzie się pani znajduje.

Pieniędzy wystarczy mi na drogę.

- Mówisz o pieniądzach, jakie skradłeś z mej kasy na ”Pilgrimie”?

- Nie tylko o tych, mam tutaj trochę i francuskiego złota - odpowiedział bez najmniejszego zmieszania bezwstydny nędznik. - Otóż myślę, że pan Weldon zapłaci mi za was sto tysięcy dolarów.

- Niewątpliwie, jeżeli tylko będzie mógł dość szybko zebrać podobną sumę - odpowiedziała chłodno pani Weldon - jest jednak inna trudność, to mianowicie, iż mąż mój nie uwierzy ci bez dowodów, że jestem w niewoli tutaj w Afryce, spodziewam się, iż nie będzie na tyle nieostrożny, by jechać aż tutaj, wierząc jedynie twoim słowom.

- Ale uwierzy, jeżeli mu pokażę list, przez panią do niego napisany, w którym pani przedstawi swe rozpaczliwe położenie, zaś mnie poleci jako wiernego sługę, któremu udało się uciec z niewoli.

- Podobnego listu nie napiszę nigdy.

- Więc pani odmawia?

- Tak jest. Stanowczo.

Pani Weldon odmówiła, ponieważ przyszły jej na myśl niebezpieczeństwa, na jakie narazić by mogła swego męża po napisaniu takiego listu, który oddawałby go na łaskę i niełaskę takiego nędznika, jakim był Negoro. Przecież mógł on zwabić jej męża do Kassande, a następnie uwięzić, po odebraniu mu okupu i wszystkich innych pieniędzy, przeznaczonych na podróż.

- Musisz taki list napisać - z groźbą w głosie zawołał Negoro.

- Nie.

- Strzeż się, pani Weldon! ... Nie jesteś, pamiętaj o tym, sama, masz dziecko, a ja potrafię...

Pani Weldon chciała coś odpowiedzieć, lecz głos zamarł jej w gardle; serce tłukło się w piersi rozpaczliwie.

- Pani Weldon - powiedział po chwili, spokojnym już głosem Negoro - w interesach nie ma złości. Daję ci osiem dni do namysłu. Po upływie tego czasu albo mi dasz taki list, albo też... żałować tego, żeś mi go nie dała, przyjdzie ci gorzko.

Po wypowiedzeniu tych słów Portugalczyk wyszedł z chaty, powtarzając:

- Za osiem dni, pani Weldon.

# ROZDZIAŁ XIV

## Parę słów o doktorze Livingstone

Gdy młoda kobieta pozostała sama, westchnienie ulgi wydarło się z jej piersi: miała przed sobą osiem dni! Miała więc czas na namysł; była bowiem przekonana, iż przed upływem tygodnia nic złego się nie stanie ani jej, ani też jej ukochanemu Jankowi.

- Przez ten czas - marzyła pani Weldon. - Bóg raczy wiedzieć, co się jeszcze może stać... kto wie, czy nie zdarzy się możliwość ucieczki? W każdym razie - myślała dalej młoda kobieta - nie zgodzę się na to nigdy, by mój mąż miał przybyć aż do Kassande. Znacznie lepiej byłoby, na co w ostateczności mogłabym się zgodzić, ażeby miejsce spotkania i wymiany wyznaczyć w jakimś mieście portowym, gdzie Negoro nie byłby już wszechwładnym panem i nie miałby sposobności popełnienia nowej zdrady.

Myśl, że mogłaby narazić męża na dostanie się w szpony Negora odbierała jej przytomność, toteż przyrzekła sobie solennie, że nie da żadnego listu. Jednak lęk, że nikczemny Portugalczyk mógłby spełnić swą groźbę i zabrać jej Janka, przyprawiał ją o bicie serca.

- Czyżby on istotnie myślał o zabraniu mi mego synka? - zapytywała siebie z lękiem.

W tej chwili mały Janek wszedł do pokoju i nieszczęśliwa matka odruchowo pochwyciła go w objęcia, tuląc do piersi, jakby Portugalczyk był tuż tuż i za moment chciał jej odebrać chłopca.

Janek zauważył natychmiast niepokój na jej twarzy.

- Masz zmartwienie, mateńko? - zapytał.

- Nie, Janku ukochany. Myślałam jedynie o twym tatusiu. Czy bardzo pragnąłbyś go zobaczyć?

- O, bardzo, bardzo, mamusiu! Czy tatuś tu do nas przyjedzie?
- O, nie, Janku. Tatuś nie powinien tu przyjeżdżać.
- W takim razie my pojedziemy do tatusia?
- O, Janku! Pragnęłabym tego bardzo.
- I pojechalibyśmy ze wszystkimi mymi przyjaciółmi: Dickiem, Herkulesem i starym Tomem?
- Ależ tak - odpowiedziała biedna matka, pochylając głowę, ażeby ukryć łzy spływające po jej twarzy.
- Czy tatuś pisał do ciebie, mamusiu?
- Niestety, dziecino, tatuś nie wie, gdzie jesteśmy!
- A więc ty do niego napisz, mamusiu, koniecznie!
- Kto wie, dziecino, może tak właśnie zrobię - odpowiedziała matka, na której prośba dziecka zrobiła wrażenie.

Dodać musimy, iż jedną z przyczyn, która skłaniała panią Weldon do oporu, była okoliczność, o której czytelnicy nasi nic nie wiedzą, a która dawała nadzieję, że przyjaciele nasi mogliby być uwolnieni z niewoli wbrew woli Negora.

Przed paroma dniami mianowicie pani Weldon słyszała rozmowę, która w jej sercu rozbudziła iskierkę nadziei.

Rozmowę tę prowadził Alvez z jakimś handlarzem, przybyłym z głębi kontynentu. Głównym tematem był handel niewolnikami, przy czym Alvez dowodził, iż powodem wszystkich niepowodzeń, jakie na handel ten spadają, są wyprawy naukowe.

- Odkrywców tych - mówił podnieconym głosem Alvez - należałoby przyjmować kulami!

- To już miało miejsce - odpowiedział handlarz - ale cóż? Na miejsce jednego usuniętego podróżnika przybywa dziesięciu następnych: Spike, Grant, Livingstone, Stanicy... i wielu, wielu innych. Zachodnia Afryka jakoś szczęśliwie unikała dotychczas najścia tej ”szarańczy”.

Wprawdzie do Kassande jeszcze nigdy nie zawitał wędrowiec, zdarzali się oni jednak w Bije i w Cassindze.

W tym miejscu Alvez dodał, że niestety i w Kassande znaleźć się może w krótkim czasie ekspedycja Dawida Livingstone'a.

Gdy pani Weldon usłyszała tę wieść, zadrżała z radości, podróżnik ten był bowiem popularny w całym świecie i władze portugalskie w Angoli okazałyby mu wszelką pomoc. Pani Weldon łudzić się zaczęła nadzieją, że w razie przybycia Livingstona do Kassande uda jej się wydostać z niewoli bez sprowadzania do Afryki męża.

Dawid Livingstone, urodzony 15 marca 1813 roku; był drugim synem drobnego kupca herbacianego z Blantyre, jednego z miasteczek hrabstwa Lenark. Po ukończeniu medycyny i teologii i paroletniej pracy w London Missionary Society , udał się w 1840 roku do Południowej Afryki, by pracować razem z misjonarzem Moffatem. Przyszły podróżnik zwiedził wtedy kraj ludu Tswana , po czym wrócił do misji nad rzeką Kuruman, gdzie zaślubił córkę Moffata, kobietę wielkiego serca i odwagi. W parę lat później, w 1843 roku, założył misję w dolinie Mabotsa. Podróżnicza żyłka nie pozwalała mu jednak zbyt długo przebywać w jednym miejscu.

W 1849 roku udał się w podróż i 1 sierpnia tegoż roku odkrył Jezioro Ngami. W dwa lata później dotarł do Zambezi.

Po tych odkryciach jego imię stało się głośne. Nieustraszony podróżnik nie spoczął na laurach, lecz po odesłaniu swej rodziny do Anglii powziął śmiałą myśl przejścia Afryki od morza do morza, tak, by dotrzeć do Luandy.

Podróż tę Livingstone rozpoczął 3 czerwca 1852 roku z niewielką eskortą , składającą się z tubylców. Wyruszył znad rzeki Kuruman, przeszedł przez pustynię Kalahari dotarł do Mutubarumu, a następnie do ziem zamieszkanych przez Tswana, a spustoszonych przez Burów.

Raz jeszcze doszedł do górnego biegu Zambezi i jej zalewu z rzeką Lebou. Wreszcie, 25 lutego 1853 roku dotarł do jeziora Dilono.

Od tego momentu na wyprawę spadać zaczęły najrozmaitsze ciosy. Przede wszystkim tubylcy zaczęli się zachowywać względem ekspedycji wrogo, następnie i w gronie jej uczestników szerzyć się zaczął bunt. Energia podróżnika przezwyciężyła jednak te wszystkie trudności i 4 kwietnia

karawana doszła do brzegów Kuango, wpadającego do Zairu. W sześć dni potem Livingstone wszedł do Cassingi, gdzie go widział Alvez. W dniu 31 maja dotarł do swojego celu - Luandy.

Po czteromiesięcznym pobycie, 24 września Livingstone porzucił to miasto, a posuwając się prawym brzegiem Kuanzy, która tak złowroga okazała się dla Dicka Sanda i jego towarzyszy, doszedł do jej dopływu Lombe. W podróży tej spotykał się on często z karawanami niewolników.

Po zbadaniu Lombe, wrócił do Cassingi, którą po dłuższym odpoczynku opuścił dopiero 20 lutego 1854 roku. Przeprawił się przez Kuango i dotarł do Zambezi przy Kawade.

8 czerwca raz jeszcze znalazł się przy jeziorze Dilolo, którego okolice badał przez czas dłuższy, tak iż dopiero w początkach 1855 roku skierował się na północny wschód.

Podczas podróży obejrzał ruiny Zumbo, miasta należącego kiedyś do Portugalczyków i 2 marca przybył do Tete, nad brzegami Zambezi.

Takie były główne punkty tej długiej podróży. 22 kwietnia Livingstone opuścił wspomniane miasto i brzegiem Zambezi udał się w dół rzeki, zaś dnia 20 maja wszedł do Kilimane, miasta portowego nad brzegami Atlantyku. Było to po upływie czterech lat od chwili opuszczenia Przylądka Dobrej Nadziei.

12 lipca tego roku wsiadł na okręt, a po zatrzymaniu się na wyspie Św. Maurycego, 22 grudnia ujrzał brzegi Anglii, których nie widział od piętnastu lat. Londyn przyjął go, rzecz jasna, bardzo uroczyście. Londyńskie Towarzystwo Geograficzne wybrało go na swego członka honorowego i ofiarowało mu medal zasługi.

Livingstone mógł wtedy śmiało odpocząć. Dzielny podróżnik jednak dnia 1 marca 1858 roku jeszcze raz opuścił ojczyznę w towarzystwie swego brata Karola i kapitana Beadingsfelda i wylądował w Afryce na wybrzeżach Mozambiku, z zamiarem gruntownego zbadania niziny Zambezi.

Na małym statku ”May Robert ”odkrywcy popłynęli w górę rzeki, do ujścia Kongone i dalej, aż do jeziora Chiroi. Po

dłuższych poszukiwaniach odkryli nieznane dotąd jezioro Niasa i 9 września 1860 roku wrócili do wodospadu Wiktorii.

31 stycznia 1861 roku, na statku ”Lady Nyassa” przybyła do swego męża pani Livingstone, lecz nie mogła znieść zabójczego klimatu i 27 kwietnia zmarła na rękach doktora.

Pod koniec listopada tego roku Livingstone ponownie udał się w górę Zambezi, lecz wyprawa ta pociągnęła za sobą duże ofiary. Zmarł Tornton, zaś Karol Livingstone i doktor Keern wycieńczeni febrą byli zmuszeni powrócić do Europy. Wtedy Livingstone ruszył dalej sam i 30 listopada po raz trzeci zobaczył jezioro Niasa. Opracował wtedy jego hydrografię.

20 lipca 1864 roku, po pięcioletniej nieobecności, Livingstone powrócił do Anglii, gdzie wydał swe dzieło: ”Zambezi i jej dopływy”. Wkrótce jednak niestrudzony badacz raz jeszcze znalazł się w Afryce. 28 stycznia 1866 roku wylądował w Zanzibarze i już 8 września, z bardzo nieliczną eskortą zatrzymał się nad brzegami Niasy. W parę tygodni potem towarzyszący mu krajowcy porzucili go i powrócili do Zanzibaru, rozsiewając fałszywe pogłoski o śmierci znakomitego podróżnika.

Lecz nawet ta nikczemna zdrada nie osłabiła energii Livingstone 'a i dalej prowadził swe poszukiwania na obszarach pomiędzy jeziorem Niasa a Tanganika, 10 grudnia, w towarzystwie paru tubylców, przeprawił się przez rzekę Loanga i 2 kwietnia 1867 roku odkrył jezioro Liemba.

Jednakże nawet niezwykle silny organizm misjonarza nie wytrzymał trudów i znakomity podróżnik zachorował tak, że przez miesiąc nie mógł stanąć na nogach. Po powrocie do sił natychmiast ruszył w dalszą drogę i 10 września doszedł do jeziora Mueru, a 21 listopada wszedł do miasta Kazemba, w którym odpoczywał przez sześć tygodni. Następnie skierował swe kroki ku jezioru Tanganika. Zły los nie pozwolił mu jednak kontynuować wyprawy, dlatego, iż jego druga przypadkowo zebrana eskorta znów go porzuciła. Wtedy Livingstone zmuszony był do odwrotu. Wrócił do Kazemby, skąd, 6 czerwca

udał się nie na północ, lecz na południe i po upływie sześciu tygodni dotarł do jeziora Bangueulu.

Jego zdrowie było już mocno nadszarpnięte. Zdarzały się chwile, iż nie mógł wcale się poruszać. Jednak nieprzerwanie myślał o nowych podróżach.

Nęciło go zwłaszcza jezioro Tanganika, ponieważ przypuszczał, że po gruntownym jego zbadaniu uda mu się odkryć źródła Nilu.

Wyruszył więc w drogę i 21 sierpnia przybył do miasta Bambare, znajdującego się na ziemiach zamieszkałych przez ludożerców. Miasto to jest położone nad brzegami Lualaby, która, jak przypuszczał Cameron (hipoteza ta znalazła następnie potwierdzenie w odkryciach zrobionych przez Stanleya), była źródłem Zairu, czyli Konga.

W Bambare Livingstone znów przeleżał trzy miesiące, mając przy sobie zaledwie trzech ludzi.

Po tej chorobie powstał z łoża chudy jak szkielet.

9 listopada Livingstone spotkał się ze Stanley'em, Amerykaninem, współpracownikiem magazynu ”New York Herald”, wysłanym przez wydawcę pisma, Jamesa Gordona Benneta na poszukiwania doktora, którego w Europie i Ameryce uważano za zmarłego.

W październiku 1870 roku dziennikarz bez wahania wsiadł w Bombaju na statek i przybył do Zanzibaru, a idąc tą samą drogą, jaką podążali Spike i Berton, po przezwyciężeniu wielu trudności odnalazł wreszcie Livingstona.

Dwaj podróżnicy połączyli swe wysiłki i już razem wyruszyli na dalsze poszukiwania, poczynając od zbadania jeziora Tanganika. Kiedy praca dobiegła końca. Stanley zaczął się zbierać do powrotu.

Wrócili więc do Kungary i 12 marca 1871 r. przyjaciele pożegnali się.

- Odważył się pan na czyn - powiedział dr Livingstone do Stanley 'a, żegnając go - na który nie każdy by się ważył. I zrobił to pan lepiej, niż najbardziej doświadczony podróżnik. Dziękuję

za ratunek i jestem panu bardzo wdzięczny. Niech ci Bóg zapłaci, mój przyjacielu!

- I ciebie niech Bóg ma w swej opiece - odpowiedział Amerykanin, potrząsając silnie dłonią Livingstone 'a.

Po tych słowach Stanley ze łzami w oczach wsiadł na okręt i 12 lipca 1873 roku wylądował w Marsylii.

Livingstone znów pozostał sam, co mu nie przeszkodziło zabrać się ponownie do wypełniania swego posłannictwa.

25 października, po pięciomiesięcznym odpoczynku w Kungara, na czele oddziału składającego się z pięćdziesięciu ludzi, pozostawionych mu przez Stanley'a, udał się do południowych brzegów Tanganiki.

Podróż nie była pomyślna; tubylcy zaczęli się buntować, a co gorsza - wiele zwierząt pociągowych padło od ukąszenia muchy tse-tse.

Ta właśnie wyprawa Livingstone 'a była pilnie obserwowana przez handlarzy niewolników, którzy widzieli w niej, i słusznie, groźne dla swych interesów niebezpieczeństwo. Alvez wiedział, iż słynny podróżnik posuwać się zaczął na zachód i że bardzo szybko znaleźć się może w Kassande.

Na to właśnie liczyła pani Weldon.

Na nieszczęście, 18 czerwca, w przeddzień pojawienia się u niej Negora po otrzymanie stanowczej odpowiedzi i po list do męża, do Kassande dotarła smutna wieść, która jednak w gronie handlarzy wywołała radość. Głosiła ona, że dr Livingstone zmarł niespodzianie 1 maja 1873 roku, wycieńczony zbyt wielkimi trudami.

Wieść ta była niestety prawdziwa. Dnia 29 kwietnia, gdy karawana doszła do wioski Chitambo, stan zdrowia Livingstona był tak niedobry, że niesiono go już na noszach.

W nocy z 30 kwietnia na 1 maja wpadał w częste omdlenia, aż wreszcie nad ranem zmarł.

Jego ciało po przezwyciężeniu licznych trudności, zostało przetransportowane do Zanzibaru, a potem do Anglii. 12 kwietnia 1874 roku pochowano go w podziemiach Opactwa Westminsterskiego w Londynie, w grobach dla zasłużonych.

Tak więc ostatnia nadzieja ocalenia pani Weldon zniknęła. Nie pozostawało jej nic innego, jak napisać list.

# ROZDZIAŁ XV

## Ucieczka kuzyna Benedykta

Gdy po upływie oznaczonego terminu Negoro zjawił się po odpowiedź, młoda kobieta powiedziała:

- Jeżeli pragnie pan zrobić dobry interes, nie powinien stawiać warunków niemożliwych do przyjęcia. Chcę więc, by zamiana nastąpiła w jakimkolwiek mieście portowym, choćby w Luandzie.

Po krótkim namyśle Negoro zgodził się na to, zaznaczając jedynie, iż pan Weldon ma zapłacić okup w Mossamedesie, małej portowej mieścinie w południowej Angoli, dokąd w odpowiednim momencie agenci Alveza dowiozą panią Weldon, małego Janka i kuzyna Benedykta.

Na tym stanęło. Wówczas pani Weldon napisała żądany list, a wtedy Negoro bez zwłoki wyruszył w drogę w towarzystwie dwudziestu żołnierzy, którzy stanowili jego eskortę. Nie udał się jednak, jakby się można spodziewać na zachód w stronę wybrzeża, lecz na północ. Z jakich powodów wybrał on ten właśnie kierunek - pozostało to dla wszystkich zagadką.

Według obliczeń Negora, jego powrót do Afryki mógł nastąpić po upływie trzech do czterech miesięcy. Dla pani Weldon rozpoczęły się więc teraz dni męczącego wyczekiwania.

Za to mały Janek czuł się w faktorii Alveza jak w domu. Tryskał zdrowiem i po całych dniach wraz z Halimą uganiał się po łąkach i ogrodach.

Co zaś do kuzyna Benedykta, temu było dobrze zawsze i wszędzie tam, gdzie można było znaleźć wystarczająco dużą ilość much i innych owadów.

W faktorii Alveza szczęściło mu się bardzo, toteż był całkowicie z pobytu zadowolony. W ostatnich dniach udało mu

się pochwycić jakąś maleńką pszczółkę, bardzo mało, jak twierdził, zbadaną oraz owada zwanego sphexa.

Pewnego dnia zachwyt kuzyna Benedykta doszedł do szczytu na widok owada, który parokrotnie przeleciał ponad jego głową.

- Boże Miłosierny - zawołał w pewnej chwili - przecież to okaz napotykany niesłychanie rzadko w najbogatszych nawet zbiorach - Manticora tuberculosa! Nie, chociażbym miał życiem to przypłacić, muszę go złapać.

Przyrzeczenia te kuzyn Benedykt dawać mógł tym łatwiej, że manticora tej odmiany biega raczej, lub podlatuje, a nie fruwa. Zaczął więc podążać za nią wytrwale. Biegł, gdy ona podlatywała ku górze, lub pełzał, gdy spacerowała po ziemi. I tak uganiał się za nią aż do ogrodzenia.

Przy palisadzie, nazbyt wysokiej dla jej wątłych skrzydełek, manticora opadła na ziemię, natrafiła na dość szeroką jamę, pozostałość wielkiego kretowiska i w niej zniknęła. Uczony entomolog sądził już, że cenny okaz jest dla niego stracony na zawsze, gdy nagle spostrzegł, że otwór jest na tyle duży, iż człowiek tak szczupły jak on śmiało się przecisnąć może.

Zapuścił się więc w kretowisko bez chwili namysłu, następnie uczynił kilka ruchów jak wąż i nawet się nie spostrzegł, gdy znów wydostał się na powierzchnię. Znalazł się poza obrębem faktorii. Ale widział jedynie to, że jego manticora unosiła się właśnie w powietrze.

Uczony zerwał się natychmiast i nie zwracając najmniejszej uwagi na to, gdzie się znajduje, popędził dalej za owadem.

Manticora tym razem unosiła się w powietrzu wyjątkowo długo, kierując swój lot w stronę pobliskiego lasu, w którym wreszcie zniknęła.

Kuzyn Benedykt nie dał tak łatwo za wygraną i zaczął jej uporczywie wypatrywać na gałęziach drzew, lecz owada nigdzie nie zobaczył.

- Przekleństwo - krzyknął uczony, załamując z rozpaczy ręce - uciekła mi, uciekła! O, cóż to za niewdzięczny owad! A ja chciałem go umieścić w mych zbiorach na pierwszym miejscu!

Poczekaj no jeszcze! Ja nie ustępuję tak łatwo i muszę cię znaleźć!

Kuzyn Benedykt był do tego stopnia pochłonięty swą namiętnością, że będąc już nawet w lesie, nie spostrzegł, że dzięki manticorze odzyskał wolność. Nie zdając sobie z tego sprawy, biegał bez wytchnienia, z wytrwałością godną lepszej sprawy, od drzewa do drzewa i zagłębiał się w dżunglę coraz dalej i dalej.

Dokąd pędził i jak powróci - nie myślał o tym. Przecież po to miał swą kuzynkę Emilię, aby za niego myślała!

Gdy był już bliski utraty przytomności z wyczerpania, nagle z gęstwiny wychyliła się jakaś czarna postać, pochwyciła go w swe potężne objęcia, a następnie zniknęła wraz z nim w głębi lasu.

# ROZDZIAŁ XVI

## Mganga

Gdy pani Weldon spostrzegła zniknięcie kuzyna, zaniepokoiła się tym bardzo. Gdzież się mogło podziać jej ”duże dziecko”? Nawet na myśl jej nie przyszło, że mógł on uciec z faktorii, porzucając swą sławną kolekcję. Znała go przecież! Na taki czyn nie zdecydowałby się nigdy.

Więc pani Weldon obawiać się zaczęła, iż jej kuzyn uprowadzony został na rozkaz Alveza.

Ale jaki był tego cel? Przecież układ zawarty z Negorem obejmował i kuzyna Benedykta.

Bardzo prędko młoda kobieta przekonać się mogła, jak bardzo się myliła. Gdy bowiem wieść o zniknięciu więźnia doszła do uszu handlarza, uniósł się on straszliwym gniewem i nakazał go wszędzie szukać. Co się więc z kuzynem Benedyktem mogło stać? Nie było odpowiedzi na to pytanie. Uczony wprost zapadł się pod ziemię. Nawet poszukiwania w dżungli nie dały rezultatu.

Uwagę od tego zdarzenia usunęła inna sprawa, doniosła dla całego kraju.

Nastąpiła nagła zmiana pogody. Dzień w dzień zaczęły bowiem padać ulewne deszcze, które stać się mogły klęską, bowiem grunty, na których dojrzewały zbiory, były stopniowo zalewane, co groziło całemu krajowi głodem.

Ani królowa Moilla, ani jej ministrowie nie wiedzieli, jak zaradzić złemu. Nie pozostawało nic innego, jak uciec się do pomocy czarowników. Zrobiono to, lecz czary miejscowych mganga nie dały wyniku. Deszcze zaczęty padać z większą siłą.

W końcu królowej Moilli przyszła do głowy myśl zbawcza, ażeby sprowadzić słynnego czarownika, żyjącego w północnej

stronie Angoli. Był to znachor, w którego nadprzyrodzone siły wierzono tym łatwiej, że nie był on w Kassande jeszcze nigdy.

Na wezwanie królowej Moilli mganga zjawił się w Kassande, natychmiast o przybyciu swym obwieszczając rozgłośnym dzwonieniem. Udał się wprost na wielki plac targowy, gdzie już olbrzymie tłumy oczekiwały na niego.

W dniu tym chmury były nie mniej czarne i niskie, jak w dniach poprzednich i co chwila groziły deszczem.

Zebranym gapiom zaimponowała niezwykle już sama postać czarownika. Był to Murzyn bardzo młody, lecz już w pełni męskich sił, obdarzony olbrzymią, co się od razu wyczuwało, siłą fizyczną. Jego pierś została upiększona malowidłami w białym i czerwonym kolorze. Na szyi miał naszyjnik z ptasich łebków, na głowie zaś coś w rodzaju kasku, przybranego piórami tak gęsto, że zakrywały mu one całą twarz.

Widocznymi oznakami jego czarodziejskiej władzy był koszyk napełniony wężami, ropuchami, glistami, muszlami oraz wielką ilością błota nieodzownego przy czarach.

Osobliwością wielkiego mgangi było to, iż był on niemową, co jeszcze bardziej powiększyło szacunek i cześć mu okazywaną. Wydawał tylko jakieś gardłowe, chrapliwe dźwięki bez żadnego znaczenia.

Czarownik po wyjściu na plac stał długo na jednym miejscu, rozglądając się pilnie po niebie i po ziemi, a następnie rozpoczął czary od wykonania tańca podobnego do pawany, który wprawił w ruch wszystkie dzwoneczki znajdujące się na jego biodrach. Tłum podążał za nim, naśladując wszystkie jego ruchy, zupełnie jak stado małp. Gdy w tańcu tym czarownik zbliżył się ku wylotowi głównej ulicy, nagłym ruchem zmienił kierunek i w pląsach iść zaczął ku królewskiej rezydencji.

Gdy tylko zawiadomiono o tym królową Moillę, wyszła ona natychmiast z pałacu na spotkanie czarownika, na czele całego swego dworu.

Mganga, gdy ją zobaczył, skłonił się do samej ziemi, a następnie porwał ją za rękę i pędem zaczął biec z nią, rękami pokazując orszakowi, by podążał za nim. Tak dobiegli do bramy

faktorii Alveza. Gdy tam się znaleźli, czarownik, jednym potężnym uderzeniem ramienia wywalił drzwi i wtargnął do wnętrza pomieszczeń handlowych możnego przemysłowca.

Handlarz niewolników przybiegł natychmiast na czele swych żołnierzy, aby ukarać śmiałka, który nie czekając na otwarcie drzwi ośmielił sieje wyważyć, struchlał jednak, gdy zobaczył, iż stało się to w obecności królowej, a więc za jej wiedzą i zgodą.

Czarownik, nie zwracając najmniejszej uwagi na Alveza, wykonywał dalej swe błazeńskie ruchy. Wyciągnął więc w górę ramiona i pięściami wygrażać zaczął chmurom i niebu. Rozganiał je, podskakiwał, jakby w pragnieniu pochwycenia ich i rzucenia następnie o ziemię.

Zabobonna Moilla była zachwycona nowym obrzędem. Więcej - była nim olśniona. Nie panowała już nad sobą. Z jej gardła wydobywały się jakieś bezwolne okrzyki. Bezwiednie naśladowała wszystkie ruchy mgangi, co zresztą robili wszyscy na placu, tak iż wkrótce gardłowe dźwięki, wydawane przez niemowę czarownika, ginęły w chaosie krzyków, wrzasków i wycia gawiedzi.

Lecz działania te wcale nie rozproszyły chmur, wręcz przeciwnie - niebiosa pociemniały jeszcze, a po chwili pierwsze ciężkie krople zbliżającej się ulewy zaczęły spadać na ziemię.

To momentalnie zmieniło uczucia tłumu. Zmarszczyły się nawet i brwi królowej. Mganga opuścił wtedy ramiona wygrażające niebu i spojrzał po zebranych zdumionym wzrokiem, jakby pytając ich - jak się to stało, że chmury nie uciekły?

Gdy wielki czarodziej przyglądał się ze zdziwieniem tłumowi, wzrok jego padł nagle na panią Weldon, która z progu swej chaty obserwowała wraz z synkiem jego zaklęcia.

Widok białej kobiety podziałał w elektryzujący sposób na czarownika, gdyż podskoczył on ku niej jak obłąkany, a potem zwracając się ku tłumom, groźnym gestem wskazał najpierw na panią Weldon, a następnie na czarne deszczowe chmury, jakby mówił:

- To ona, to ta biała kobieta jest sprawczynią klęski! To ona sprowadziła deszcz!

Gest mgangi był tak wyrazisty, że go zrozumieli wszyscy, zrozumiała go też królowa.

Groźnym ruchem wskazała nieszczęsną żołnierzom, którzy natychmiast rzucili się, by spełnić rozkaz i pochwycić panią Weldon.

Lecz uprzedził ich w tym mganga. Jednym skokiem, jak lew, podbiegł ku nieszczęśliwej kobiecie, brutalnym ruchem wyrwał z jej ramion Janka, a następnie podniósł go w górę, jakby w zamiarze roztrzaskania jego główki o róg chaty.

Pani Weldon na ten widok wydała z piersi okrzyk boleści i padła zemdlona.

Czarownik dał wtedy królowej znak porozumiewawczy, jakby dla uspokojenia jej, a następnie, zarzuciwszy sobie na jedno ramię zemdloną panią Weldon, zaś na drugie Janka, ruszył z tym ciężarem w stronę lasu.

Wzburzony tym Alvez próbował protestować, lecz wywołało to ogólne poruszenie; wszędzie rozległy się groźne szemrania, a i królowa również wyraziła mu swe niezadowolenie, że się ośmielił przeszkadzać czarom wielkiego cudotwórcy.

Mganga, nie bacząc na dźwigany ciężar, szedł pewnym, nieomal swobodnym krokiem w stronę lasu, a gdy się znalazł na jego skraju, odwrócił się ku odprowadzającym go tubylcom, dając znak, iż nie życzy sobie, ażeby ktokolwiek go odprowadzał dalej.

Tłum zamarł w bezruchu, chociaż widać było, iż był zawiedziony.

Czarownik zaś, szedł dalej ku północy jeszcze około trzech mil, aż doszedł do brzegów dość szerokiej rzeki.

W zaroślach nabrzeżnych schowana była łódź pokaźnych rozmiarów. Mganga ostrożnie złożył swój ciężar na jej dnie, następnie wskoczył do niej, a odbijając się wiosłem od brzegu, zawołał wesoło:

- Kapitanie, mam zaszczyt przedstawić ci panią Weldon i jej małego synka, Janka!

# ROZDZIAŁ XVII

## Na rzece

Słowa te wypowiedział Herkules, jak się tego czytelnicy sami już zapewne domyślili, zaś zwrócone były do Dicka Sanda, który znajdował się w łodzi wraz z kuzynem Benedyktem i wiernym Dingo.

Gdy łódź znajdowała się już na rzece, unoszona jej prądem, pani Weldon przebudziła się z omdlenia i nie dowierzając swym oczom, z radością zawołała:

- Dicku! ... A więc ty żyjesz?

Chłopiec w odpowiedzi padł do nóg swej przybranej matki i zaczął gorąco całować jej ręce.

A mały Janek ze zdziwieniem zwrócił się do Herkulesa:

- Dlaczego ja cię nie poznałem, Herkulesie?

- Co, udała się maskarada, nieprawdaż? A to dlatego, bo twarz miałem ukrytą w piórach.

- O, jaki byłeś niełady - wydymając usta mówił chłopczyk.

- Jeszcze czego? ! ... Przecież udawałem czarownika, więc czyż mogłem być ładny? - zawołał, śmiejąc się, Herkules.

- Tobie, Herkulesie, zawdzięczamy ocalenie - zawołała ze wzruszeniem pani Weldon, wyciągając ku zacnemu olbrzymowi rękę - opowiedz nam jednak, co się z tobą działo od chwili, gdyśmy się ze sobą rozłączyli.

Wtedy olbrzym w krótkich słowach zdał relację ze swych przygód: jak szedł za karawaną, jak znalazł rannego Dinga, przez którego posłał następnie list do Dicka Sanda; jak spotkał niespodziewanie kuzyna Benedykta, który mu opowiedział, gdzie pani Weldon była uwięziona; wreszcie, jak udało mu się ją oswobodzić w przebraniu czarownika.

O jednym tylko nie wspomniał opowiadający, o tym mianowicie, jak udało mu się uratować Dicka.

- No, a ty, Dicku, jakim cudem odzyskałeś wolność? - zapytała pani Weldon.

Dick w kilku słowach opowiedział, jak w czasie pogrzebu króla był przywiązany do słupa i jak go zalewać zaczęła woda.

- Co się dalej stało? Nie wiem. Straciłem bowiem przytomność. Gdy przyszedłem do siebie, leżałem nad brzegiem rzeki i zobaczyłem klęczącego nad sobą Herkulesa.

- Jak udało ci się wydobyć z tej toni biednego Dicka? Opowiedz nam o tym, Herkulesie - proszącym tonem zapytała pani Weldon.

- A cóż w tym trudnego? - prostodusznie odpowiedział olbrzym. - W ciemnościach ukryłem się pomiędzy ciałami skrępowanych niewolnic, a gdy wody potoku zaczęły zalewać grób, wyrwałem z ziemi bardzo płytko umieszczony słup i wraz z nim, bez najmniejszego trudu, wypłynąłem na powierzchnię. Nikt tego zobaczyć nie mógł, ponieważ wszyscy zajęci byli rzucaniem pochodni w wodę.

Tak to Herkules w bardzo prosty sposób uratował Dicka z objęć śmierci. Lecz by tego dokonać, trzeba było być bohaterem.

Na tym zakończone zostały wyjaśnienia. Wszyscy mieli łzy w oczach, gdy przypomnieli sobie o losie starego Toma i jego towarzyszy.

Następnie pomyślano o przyszłości.

Marzenie Dicka, ażeby drogą wodną dostać się do morza, spełniło się teraz. Rzeka, po której płynęli, toczyła swe fale ku północy i prawdopodobnie wpadała do Zairu.

Podróż ich była teraz wygodniejsza, ponieważ odbywali Janie na tratwie, lecz w solidnej i bezpiecznej łódce. Dick znalazł ją w pobliżu jakiejś opuszczonej przez mieszkańców wioski.

Postanowili płynąć tylko nocą, zaś w dzień ukrywać się w nabrzeżnych gąszczach, ażeby w ten sposób uniknąć zetknięcia z tubylcami.

Prąd rzeki był bardzo bystry, tak iż łódź przebywała na godzinę więcej niż dwie mile; to znaczy, iż co noc przepływali

około trzydziestu mil. O pożywienie nie było trudno, gdyż na brzegach rosły drzewa owocowe.

Podróżowali więc nie tylko wygodnie, ale i bezpiecznie, toteż Janek był zachwycony.

Rzeka, po której płynęli, miała miejscami do stu pięćdziesięciu stóp szerokości. Jej wybrzeża zdawały się być niezamieszkałe.

Osiem nocy łódź płynęła bez przygód.

Lasy, które rosły po obu stronach rzeki, na przestrzeni kilkudziesięciu mil za Kassande stopniowo przeobrażać się zaczęły w dżunglę, która ciągnęła się nierzadko aż po kres horyzontu.

Kraj był najzupełniej pustynny, toteż Dick odważył się zapuszczać w dżunglę na polowanie. Miał dubeltówkę, tę którą chwycił Herkules podczas swej ucieczki. Rozpalali nawet ogień, przy którym piekli i wędzili upolowaną zwierzynę. Żywili się też rybami, których w rzece było wiele.

Dick obliczał, że podczas ośmiu dni przepłynąć musieli około dwustu mil. Nic jednak nie wykazywało, że są blisko morza. Młody kapitan z pewnym niepokojem zaczął więc zapytywać siebie, dokąd ich zaprowadzi ta zdająca się nie mieć końca rzeka? Pocieszało go to jedynie, że płynęła ona teraz nie wprost na północ, lecz na północny zachód. Musiała więc w końcu doprowadzić ich do morza.

Pewnego dnia Dick w czasie polowania dał dowód nie tylko odwagi, ale i zimnej krwi, tak rzadkiej w młodym wieku. Strzelił właśnie do antylopy, gdy wtem z zarośli wyskoczył lew, który prawdopodobnie na tę samą zwierzynę polował i ani myślał teraz zrzec się swej zdobyczy. Był to zwierz naprawdę wspaniały, mający do pięciu stóp wysokości. Jednym skokiem rzucił się na upolowaną przez Dicka antylopę.

Chłopiec na nieszczęście nie zdążył jeszcze nabić fuzji po poprzednim strzale, lew zaś wpijał w niego swe gorejące ślepia. Dick przypomniał sobie w tej chwili, że w takich wypadkach spokojne jedynie zachowywanie się może uratować życie. Stał

więc jak posąg, nie myśląc nawet o nabijaniu dubeltówki, a tym bardziej o ucieczce.

Lew spoglądał na niego dalej czerwonymi oczami. Wahał się.

Tak upłynęły ze dwie minuty. Lew wpatrywał się w Dicka, zaś Dick w niego, ani na moment nie zmrużywszy oczu. Wreszcie lew jednym chwytem porwał zdobycz, jakby pies zająca i wraz z nią skrył się w gęstwinie.

Dick jeszcze parę minut stał nieruchomo i dopiero potem wrócił do łodzi. Nikomu ani jednym słowem nie wspomniał o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło.

Drugi tydzień podróży dobiegał końca, gdy rzeka płynąć zaczęła pomiędzy brzegami całkowicie już pustynnymi, pozbawionymi odrobiny roślinności. Jałowy grunt nie przypominał niczym urodzajnych ziem górnego biegu.

Tymczasem końca podróży nie było widać. O żywność w tych warunkach było bardzo trudno.

Dawne zapasy wędzonego mięsiwa oraz owoców wyczerpywały się. Nawet połów ryb stawał się coraz trudniejszy. O polowaniu nie było co myśleć, gdyż na zupełnie nagim stepie nie można było dostrzec żadnego stworzenia.

Widząc troskę kapitana o żywność, Herkules wskazał Dickowi paprocie i papirusy, które gęsto rosły nad samą wodą, mówiąc, iż mogą one zastąpić pożywienie. I istotnie tak było. Słodkawy ich mlecz bardzo smakował nie tylko Jankowi.

Nie był to jednak pokarm nazbyt pożywny. Dzięki kuzynowi Benedyktowi znaleziono lepszy.

Uczony entomolog często towarzyszył Dickowi w jego wyprawach. Otóż pewnego razu Dick zobaczył jakiegoś ptaka, rzadkość na tych terenach i już chciał do niego strzelić, gdy kuzyn Benedykt zawołał nagle:

- Nie strzelaj, Dicku. Jeden ptaszek dla pięciu osób jest zupełnie bez znaczenia.

- Będzie chociaż dla Janka.

- Nie, nie... nie strzelaj - raz jeszcze powtórzył uczony - zobaczysz, że jeżeli darujesz ptaszynie tej życie, to ona ci się za to odwdzięczy. Obecność tego ptaka wskazuje, iż gdzieś w

pobliżu znajdować się muszą ule. Gdy pójdziemy za nim, na pewno nas do nich zaprowadzi.

Uczony mówił prawdę. Idąc w ślad za ptakiem doszli szybko do grupy spróchniałych pni, nad którymi unosiły się całe roje pszczół.

Dick bez trudu dymem wykurzył z ula owady, a następnie wydobył pokaźną ilość plastrów miodu i ze słodkim łupem uradowany wrócił do łodzi.

Lecz nawet i miód nie był pożywieniem odpowiednim. Nie mogło go starczyć na zbyt długi okres czasu. Na szczęście następnego dnia łódź ich wpłynęła do przystani, w pobliżu której brzegi pokryte były odpoczywającą po locie szarańczą. Benedykt nie zaniedbał pouczyć Dicka, że tubylcy żywią się chętnie tymi owadami. Postanowiono więc spróbować afrykańskiego przysmaku. Było go tak wiele, że można było naładować nim setki łodzi.

Upieczona na wolnym ogniu szarańcza, zwłaszcza z miodem, stanowi pożywienie smaczne; toteż wędrowcy raczyli się tym przysmakiem do syta.

Nawet kuzyn Benedykt go spróbował, choć przedtem bardzo się użalał nad losem nieszczęsnych owadów.

Rzeka nieprzerwanie toczyła swe wody w kierunku północno-zachodnim, aż wreszcie krajobraz się zmienił.

Pewnego dnia mały Janek stojąc na przedzie łodzi, zawołał niespodziewanie:

- Morze!

Dick Sand, gdy to usłyszał, drgnął cały, spojrzał bystro na widniejące w dali obszary wód i odpowiedział chłopczykowi:

- Nie, Janku, to nie morze, to tylko jakaś wielka rzeka. Lecz jaka? Bardzo możliwe, że jest to Zair, czyli Kongo.

- Dałby Bóg - odezwała się pani Weldon - płynie on wprost na zachód, dopłyniemy więc nim prędzej do morza.

Jeżeli istotnie była to rzeka Zair, to podróżnicy w niedługim już czasie znaleźliby się w koloniach portugalskich, w cywilizowanym świecie.

Przez następne trzy dni łódź płynęła już nieprzerwanie po srebrzystych falach wielkiej rzeki.

Pustynna okolica zmieniła się w bardziej urodzajną.

Jeszcze tylko parę dni, a może biedni rozbitkowie ”Pilgrima” doczekają się końca swoich cierpień i trudów?

Lecz rankiem czwartego dnia podróży po wielkiej rzece, zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego.

Około godziny trzeciej nad ranem dał się słyszeć jakiś głuchy, z oddali idący szum.

Zatrwożony Dick natychmiast przywołał do siebie Herkulesa i rozkazał mu wsłuchać się w te dalekie echa jak najuważniej.

- To szum morza - powiedział olbrzym po chwili, a oczy rozbłysły mu radością.

- Nie - odpowiedział Dick - to nie jest szum fal. Jest on mi zbyt dobrze znany, bym go miał nie poznać.

- A więc cóż to jest?

- Doczekamy dnia, to wtedy się dowiemy.

Herkules wrócił na tył łodzi, do swego wiosła sterowego, zaś Dick pozostał na przedzie, pilnie nasłuchując dalej.

Gdy zaczęło się rozjaśniać, chłopiec zauważył w odległości jakiejś mili od nich obłok wiszący nad rzeką.

- Do brzegu! - zakomenderował wtedy natychmiast. - To wodospad! Jak najprędzej do brzegu!

Młody wódz się nie mylił. O jakieś pół mili przed nimi wody rzeki spadały w dół z taką gwałtownością, że gdyby łódź podpłynęła jeszcze paręset stóp - zginęłaby w otchłani.

# ROZDZIAŁ XVIII

## S. V.

Herkules paroma mocnymi uderzeniami wioseł zwrócił łódź ku lewemu brzegowi, porosłemu gęstym, wysokopiennym lasem. Dick Sand z niepokojem spoglądał w tę gęstwinę, starając się ocenić czy nie kryje ona w swym wnętrzu jakichś niebezpieczeństw. Zwróciło jego uwagę niezwykłe zachowywanie się psa.

W miarę zbliżania się ku brzegowi, Dingo przejawiać zaczynał bowiem coraz większy niepokój. W jego rozumnych oczach widniał wielki smutek, lecz i wściekłość zarazem.

- Popatrzcie - zawołał w pewnej chwili mały Janek, obejmując za szyję swego ulubieńca - Dingo płacze! Naprawdę płacze!

Uwaga ta przyjęta została przez wszystkich w milczeniu.

Gdy łódź była oddalona o jakieś dwadzieścia stóp od brzegu, pies jednym susem wyskoczył i popłynął do niego, a gdy się tam dostał, popędził do lasu i wkrótce zniknął za drzewami.

W minutę potem łódź dobiła do lądu. Herkules przymocował ją do drzewa mangowego, następnie wszyscy udali się do lasu na poszukiwanie Dinga.

Bardzo szybko go znaleźli. Rozumne zwierzę warowało przy ziemi, tropiąc jakiś ślad.

Gdy Dingo ujrzał Dicka z dubeltówką i Herkulesa z toporem w ręku, zagłębiać się zaczął w gęstwinę, ciągle zwracając swój łeb w stronę idących za nim, jakby prosząc, ażeby szli dalej.

Po przejściu kilkuset kroków oczom idących ukazała się mała chatka z gałęzi drzew, na widok której Dingo zawył boleśnie, a następnie z łbem pochylonym wszedł do środka.

Dick i Herkules w milczeniu weszli za nim, a gdy się znaleźli w chacie, ujrzeli na podłodze ludzki szkielet, którego kości sczerniały już zupełnie.

Na środku małej izdebki stał stół zrobiony z pnia drzewa, na powierzchni którego ostrym nożem wycięte były dwie litery: S. V.

- S. V. - zawołał Dick - to te same litery, które Dingo ma na swej obroży.

Na pniu, obok liter leżało małe pudełeczko miedziane, pozieleniałe zupełnie. Gdy Dick je otworzył, wypadł z niego kawałek papieru, zapisanego drżącym, nierównym charakterem pisma.

Można było, choć z trudem, odczytać na nim słowa:

*Jestem śmiertelnie ranny... i okradziony przez mego przewodnika, Negora. 3 grudnia 1871 roku, w odległości stu dwudziestu mil od morskiego brzegu. Dingo! ... do mnie! S. Vernon*

Tych kilka słów wyjaśniało wszystko.

Samuel Vernon, podróżnik francuski, miał zamiar przejść przez Afrykę środkową jedynie w towarzystwie swego psa. Gdy się już znalazł w Angoli, wziął za przewodnika Europejczyka, Negora. Przybywszy nad brzegi Konga, zamieszkał w małej chacie, w której zdrajca Negoro zabił go podstępnie, a następnie ograbił.

Po dokonaniu zbrodni nikczemnik uciekł, lecz wpadł w ręce Portugalczyków, którzy go skazali na dożywotnie więzienie. Jak jest to już wiadome czytelnikom, zdołał on wydostać się z więzienia i uciec do Nowej Zelandii.

Nieszczęśliwy Vernon przed zgonem znalazł w sobie jeszcze tyle siły, iż zdołał napisać ową wiadomość, która ujawniała nazwisko mordercy i powód zbrodni.

Dingo przesiedział zapewne długie godziny przy trupie swego pana, wpatrując się w wyryte na pniu inicjały. W ten sposób wbił je sobie w pamięć do tego stopnia, że je w przyszłości rozpoznawał.

Po dłuższej chwili rozmyślań nad losem nieszczęśliwego podróżnika Dick i Herkules zaczęli się krzątać, by oddać

ostatnią posługę zmarłemu. Nagle Dingo ze wściekłym ujadaniem wypadł z chaty.

W tym samym niemal momencie w pobliżu rozległ się krzyk rozpaczy.

Herkules, słysząc to, pierwszy wybiegł z szałasu, za nim pospieszyli pozostali. Wszyscy ujrzeli Negora, powalonego już na ziemię, a nad nim Dinga, który wpił swe ostre kły w gardło nikczemnika.

Zmierzając do ujścia Zairu, aby stamtąd odpłynąć do Ameryki, zbrodniarz, pozostawiwszy eskortę nad brzegami rzeki, sam udał się do chaty, zamieszkałej niegdyś przez Samuela Vernona.

Przybył tam po to, by zabrać złoto, które po dokonaniu zbrodni zakopał w ziemi.

Podróżni dopiero teraz zobaczyli skarb, gdyż o kilkadziesiąt kroków od chaty widniał świeżo wykopany dołek, a w nim kilkadziesiąt luidorów .

Herkules rzucił się ku miejscu walki, by wyrwać zbrodniarza z paszczy rozjuszonego Dinga, lecz pomoc ta okazała się spóźniona. Nędznik dogorywał z przegryzionym gardłem.

Sprawiedliwość boska dosięgła go w tym samym miejscu, na którym dokonał jednej ze swych zbrodni.

Zbrodniczy Negoro zginął, lecz czarni żołnierze, będący jego eskortą, znajdowali się w pobliżu i mogli się zjawić w każdej chwili, w poszukiwaniu swego dowódcy.

Dick Sand i pani Weldon zaczęli się naradzać, co czynić? Nie ulegało już teraz wątpliwości, że rzeka, po której płynęli, było to Kongo, nazywane również Zairem, a także Lualabą. Z kartki pozostawionej przez Samuela Vernona wiedzieli, iż znajdują się w odległości 120 mil od jej ujścia.

Podróżować dalej łodzią było niemożliwością z powodu olbrzymich wodospadów. Należało więc iść dalej pieszo, przynajmniej do czasu, aż katarakty się nie skończą. Wtedy można było zbudować tratwę i płynąć dalej z prądem rzeki.

Bez zwłoki przyjaciele wspólnymi siłami pochowali szczątki zmarłego podróżnika i szybko udali się w drogę.

# ROZDZIAŁ XIX

## Zakończenie

Cierpienia i trudy naszych rozbitków skończyć się miały prędzej, niż się tego spodziewali.

W dwa dni później, 20 lipca, tułacze spotkali karawanę, dążącą do Embema, miasta znajdującego się u ujścia Konga. Byli to portugalscy kupcy, handlujący kością słoniową.

Przyjaciele przyjęci zostali życzliwie i resztę podróży odbyli bez najmniejszych już przygód.

Dnia 11 sierpnia karawana dotarła do celu swej podróży i pani Weldon wraz z całą grupką została życzliwie przyjęta przez władze. Po krótkim odpoczynku wszyscy wsiedli na statek płynący do Panamy i szczęśliwie dotarli do brzegów Ameryki.

Telegram posłany do San Francisco zawiadomił pana Weldona o szczęśliwym powrocie z Afryki jego małżonki i synka, a dnia 25 sierpnia wszyscy znaleźli się w stolicy Kalifornii.

Jakub Weldon, gdy się dowiedział o czynach bohatera naszej powieści, pokochał go jak syna.

Herkules również był przyjęty do domu państwa Weldon w charakterze przyjaciela.

Co zaś do kuzyna Benedykta, to ten natychmiast po przybyciu do domu państwa Weldon, znalazł zaledwie tyle czasu, że z wielkim pośpiechem uścisnął rękę pana domu, po czym zasiadł natychmiast do pracy w swym gabinecie.

Dingo pozostał nieodstępnym towarzyszem Janka i było mu tak dobrze, że cukru nie chciał jeść, lecz tylko kremowe czekoladki.

Dick Sand jeszcze w Afryce doszedł do wniosku, że zdołałby uniknąć wszystkich nieszczęść, gdyby jego wiedza była większa,

a więc natychmiast po powrocie bardzo energicznie wziął się do nauki i po trzech latach wytrwałych trudów zdał egzamin na szypra z odznaczeniem, co spowodowało, że został natychmiast prawdziwym kapitanem na jednym ze statków Jakuba Weldona.

I byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby niejedna myśl, która go stale prześladowała. Bezustannie myślał o starym Tomie, o jego synu Batym, jak również o Austynie i Akteonie.

A i dla pani Weldon niewiadoma, co się dzieje z byłymi towarzyszami wspólnie przebytej niedoli, była przyczyną niejednej nieprzespanej nocy.

Pan Weldon dokładał wszelkich starań, aby odnaleźć miejsce ich pobytu, co w końcu zostało uwieńczone sukcesem. Dzięki handlowym stosunkom, jakie dom Jakuba Weldona miał na całym świecie, otrzymał zawiadomienie, iż Tom wraz z towarzyszami zostali sprzedani w Zanzibarze pewnemu bogaczowi, mającemu swe plantacje na Madagaskarze.

Pan Weldon wydał natychmiast gdy się o tym dowiedział, polecenie wykupienia ich i 15 listopada 1877 roku Tom, Baty, Austyn i Akteon znaleźli się w domu Jakuba Weldona.

Na ich cześć została wydana w domu zacnego właściciela okrętów uczta, w czasie której pan Weldon wzniósł toast za zdrowie ”piętnastoletniego kapitana”.

# Spis treści


Okładka
Strona tytułowa
CZĘŚĆ PIERWSZA
- ROZDZIAŁ I Na pokładzie ”Pilgrima”
- ROZDZIAŁ II Dick Sand i historia jego życia
- ROZDZIAŁ III Rozbity statek
- ROZDZIAŁ IV Ocaleni pasażerowie ”Waldecka”
- ROZDZIAŁ V Tajemnicze litery
- ROZDZIAŁ VI Ukazanie się wieloryba
- ROZDZIAŁ VII Przygotowania do połowu
- ROZDZIAŁ VIII Walka z wielorybem
- ROZDZIAŁ IX Kapitan Sand
- ROZDZIAŁ X Pierwsze dni rządów piętnastoletniego kapitana
- ROZDZIAŁ XI Huragan
- ROZDZIAŁ XII Ziemia!
- ROZDZIAŁ XIII U brzegów
- ROZDZIAŁ XIV Co dalej?
- ROZDZIAŁ XV Mr Harris
- ROZDZIAŁ XVI W drodze
- ROZDZIAŁ XVII Sto mil w dziesięć dni
- ROZDZIAŁ XVIII To Afryka!

CZĘŚĆ DRUGA
- ROZDZIAŁ I Handel niewolnikami
- ROZDZIAŁ II Harris i Negoro
- ROZDZIAŁ III W dziewiczym lesie
- ROZDZIAŁ IV Afrykańskie bezdroża
- ROZDZIAŁ V W mrowisku
- ROZDZIAŁ VI Dzwon dla nurków
- ROZDZIAŁ VII W niewoli
- ROZDZIAŁ VIII Z pamiętnika Dicka
- ROZDZIAŁ IX Kassande

ROZDZIAŁ X Dzień targowy
ROZDZIAŁ XI Woda ognista
ROZDZIAŁ XII Pogrzeb królewski
ROZDZIAŁ XIII Propozycja Negora
ROZDZIAŁ XIV Parę słów o doktorze Livingstone
ROZDZIAŁ XV Ucieczka kuzyna Benedykta
ROZDZIAŁ XVI Mganga
ROZDZIAŁ XVII Na rzece
ROZDZIAŁ XVIII S. V.
ROZDZIAŁ XIX Zakończenie